


GACEK  **SZCZEPAŃSKA**



**ZABÓJCZY
SPADEK**
UCZUĆ

NOWY ŚWIAT

Kiedy śmiertelnie zakochana kobieta przygotowuje się do ślubu z zabójczo przystojnym narzeczonym, a najlepsza przyjaciółka do upadłego zaklina, by z nim zerwać, to historia może się skończyć albo sakramentalnym „tak”, albo... trupem!

„Zabójczy spadek uczuć” to porywający kobiecy kryminał, osadzony we współczesnych realiach wielkiego miasta, pełen zaskakujących zwrotów akcji, barwnych postaci i humoru. Świetnie dozowane napięcie, romantyczne komplikacje i błyskotliwy dowcip zadowolą najbardziej wymagających wielbicieli kryminalnych zagadek z miłością w tle.



KATARZYNA GACEK – dziarska brunetka, z racji wzrostu stanowiąca łakomy kąsek dla selekcionera każdej drużyny koszykarskiej, żyje rytmem podmiejskim. Boczne drogi przemierza w adidasach, samochodów się raczej boi, a jej podstawowym środkiem lokomocji jest rower. Teorię zdobyła na psychologii usiłuje zamienić w praktykę hodując stadko dzieci i pisząc felietony do babskiego czasopisma.



AGNIESZKA SZCZEPAŃSKA – delikatna, niska blondynka, prowadzi z wdziękiem klasyczne city life oraz całkiem spory samochód. Stale się spiesząc, pędzi gdzieś na niebotycznych obcasach, potykając się i wpadając na ludzi, może dlatego, że wymyśla właśnie kolejny książkowy dialog. Z wykształcenia prawnik, z powołania artystka, prowadzi firmę organizującą imprezy, im bardziej zwariowane, tym lepiej.

Wspólny stan posiadania: dziesięć lat przyjaźni, prawie osiemdziesiątka na karku, czworo ruchliwych dzieci różnej płci, dwóch przeważnie niezadowolonych mężów, trzy psy i jeden wiecznie głodny kot oraz liczne grono przyjaciół.

Zabójczy duet Gacek-Szczepańska pisze kolejny kryminał. „Zielony trabant” ukazał się po morderczej pracy już niebawem...

PATRONAT

merlin.pl

ISBN 978-83-7386-277-7



cena det. 27,90 zł

NOWY ŚWIAT

WYDAWNICTWO NOWY ŚWIAT

OFICJALNA STRONA

KLUB CZYTELNIKÓW

BLOG WYDAWNICTWA

www.nowy-swiat.pl

klub.nowy-swiat.pl

blog.nowy-swiat.pl

*Wszystkim naszym bliskim oraz tym dalekim,
którzy przyczynili się do powstania tej książki*

GACEK & SZCZEPAŃSKA

ZABÓJCZY

SPADEK

UCZUC

© Copyright by

Katarzyna Stachowicz-Gacek

& Agnieszka Szczepańska, 2008

© Copyright by Wydawnictwo Nowy Świat, 2008

Projekt okładki: Agnieszka Herman

Fotografie na okładce: Pikselstock

Korekta: Anna Czubska

ISBN 978-83-7386-277-7

Wydanie I Warszawa 2008

Wydawnictwo Nowy Świat

ul. Kopernika 30, 00-336 Warszawa

tel. (22) 826 25 43, faks (22) 826 25 47

internet: www.nowy-swiat.pl

blog: blog.nowy-swiat.pl

klub czytelników: klub.nowy-swiat.pl

e-mail: wydawnictwo@nowy-swiat.pl

**GŁÓWNI
BOHATEROWIE**

BEATKA - ładna trzydziestoletnia blondyneczka, najbardziej romantyczna z pracownic pewnego ministerstwa. Porządna i praworządna, spadkobierczyni babcinych hektarów. Ślepo zakochana w niejakim Pawełku. Ofiara (nie tylko losu).

PAWEŁEK - jej narzeczony, lat 36, oficjalnie - przedsiębiorca budowlany. Mężczyzna przystojny i zadziwiająco obrotny. Ma w stosunku do Beatki konkretne plany, ale czy tylko matrymonialne?

MONIKA - najlepsza przyjaciółka Beatki, która dałaby się za nią pokroić na plasterki. Osoba energiczna, logiczna i wysportowana. Nie ma auta ani nawet psa, za to niewyparzony język.

WERONIKA - postać równie zielona jak oślizgła. Potrafi być przemiała, choć nigdy bezinteresownie. Wyrafinowana elegancja jej strojów nie idzie niestety w parze z elegancją poczynań.

MICHAŁ - młodszy brat Beatki, rozrzutny choleryk. Nie wiemy, gdzie pracuje ani ile zarabia, ale na pewno - za mało. Z siostrą w poważnym konflikcie, rzecz jasna na tle finansowym.

SEBASTIAN - sympatyczny i wysportowany kolega Moniki z pracy. Posiada ograniczone zaufanie co do jej umiejętności jako kierowcy, przez co zostaje wplątany w skomplikowane czynności śledcze.

PANI HELENA - sąsiadka Moniki, właścicielka przepięknego mieszkania. Staruszka dziarska, choć zadziwiająco łatwowierna. Na swoje nieszczęście nie posiada spadkobierców.

PANI ANIELA - również staruszka, dla odmiany sąsiadka Beatki z podwarszawskiej wsi. Ma malutki domek, malutki ogródek i psa, którego przekarmia niemiłosiernie, co ma swoje romantyczne konsekwencje.

ANDRZEJ - przystojny wiejski weterynarz. Pod mocną opalenizną kryje wrażliwość i poczucie humoru. Bezradne blondynki z miasta wzbudzają w nim instynkty opiekuńcze.

ZBYSZEK - najlepszy, bo jedyny, przyjaciel Pawła, budowlaniec. Z powodu problemów małżeńskich przemieszkuje kątem w biurze firmy, przez co spadają mu na głowę problemy dużo poważniejsze w postaci Moniki.

JASIO - pracownik Pawła. Na co dzień kierowca, od święta szofer. Brudzi ręce nie tylko w garażu. Małomówny, ale skuteczny.

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ I

o zgubnych skutkach absencji w pracy

Jeszcze rano życie wydawało się Beacie takie piękne. Jak zresztą każdej młodej, zakochanej i zaręczonej kobiecie. Jeszcze rano jej myśli zaprzętała wyłącznie wizja przygotowań do ślubu, a jedynym problemem było ustalenie listy gości, wzoru ślubnych zaproszeń i wybór restauracji na uroczysty obiad...

Sytuacja uległa gwałtownej zmianie około piętnastej.

Tego popołudnia Beata wyszła z ministerstwa godzinę wcześniej. Jak na połowę września, dzień był wyjątkowo ciepły i słoneczny. W powietrzu unosił się jeszcze gęsty i słodki zapach lata, napływający intensywną falą z pobliskiego Ogrodu Botanicznego. Słysząc było wesoły świergot ptaków i pokrzykiwania dzieci, dobiegające z placu zabaw w parku.

Beatka zatrzymała się na przystanku autobusowym przy placu Na Rozdrożu. Czowała się zmęczona, bo całe przedpołudnie spędziła, pisząc jakieś nudne sprawozdanie na komputerze. Tym chętniej wystawiła twarz do słońca, ciesząc się ciepłem i perspektywą wolnego popołudnia, które miała zamiar poświęcić na poszukiwanie ślubnych pantofli.

Nagle drgnęła. Czy to możliwe? Słońce świeciło jak oszalałe, więc przymrużyła oczy, żeby się lepiej przyjrzeć oddalonej męskiej sylwetce, która wydała jej się znajoma. Wysoki, przystojny mężczyzna w idealnie skrojonym, jasnym garniturze charakterystycznym ruchem przeczesywał palcami

krótko ostrzyżone, ciemne włosy.

Tak. To był Paweł, jej narzeczony!

Stał jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej, przed kawiarnią, i rozglądał się, jakby na kogoś czekał. „Czyżby miał mieć jakieś oficjalne, biznesowe spotkanie?” - pomyślała w pierwszej chwili i w tym momencie dostrzegła w jego dłoni metrowej długości czerwoną różę.

„Czeka na mnie - ucieszyła się - ale skąd wiedział, że dziś wcześniej kończę?”

Nie namyślając się, ruszyła w jego kierunku, lawirując między ludźmi stojącymi na przystanku. Już podnosiła rękę, żeby mu pomachać, kiedy od strony Bagateli pojawiła się prześliczna, szczupła brunetka w eleganckiej, ciemnozielonej sukience. Prawie biegła, głośno stukając wysokimi obcasami. „Pewnie też się spieszy na spotkanie z chłopakiem” - przeleciało Beatce przez głowę i w tym momencie zamarła, obserwując, jak jej narzeczony rusza naprzeciw nieznanym.

O cholera!

Nagle zrozumiała, na kogo Paweł tak niecierpliwie czekał!

Nie mogła, co prawda, widzieć jego twarzy, ale sposób, w jaki pocałował dłoń tamtej kobiety oraz wręczył różę, zdecydowanie nie miał nic wspólnego z oficjalnością!

Również to, jak objął tę kobietę w pasie i pociągnął do wnętrza kawiarni, oficjalne nie było!

Cholera jasna!

Stała zdezorientowana na środku chodnika, nie wiedząc zupełnie, co robić dalej. Na pewno musi być jakieś logiczne wytłumaczenie tej sytuacji, na pewno... Drżącą ze zdenerwowania dłonią odnalazła w torbie telefon komórkowy i wybrała numer narzeczonego. Po pięciu sygnałach usłyszała:

„Tu Paweł, nie mogę teraz odebrać telefonu, po sygnale nagraj wiadomość”.

Roztrzęsiona, wrzuciła komórkę z powrotem do torby. Co robić?

To przecież niemożliwe, żeby Paweł... żeby on...

Owszem, przywitał się z tą kobietą bardzo czule, ale to może być jakaś jego kuzynka albo szkolna przyjaciółka... Albo ciotka. Czy Paweł ma młodszą od siebie ciotkę oszalałą urody? Jakoś nigdy nie wspominał. No to... siostra cioteczna? Za niecały miesiąc biorą ślub, więc może jednak lepiej, żeby to była rodzina. Choćby daleka. A na razie lepiej nie histeryzować i nie robić z siebie idiotki.

Ale nogi same ją poniosły w kierunku kawiarni.

„Wejść tam i niech się dzieje, co chce!!!” - zbuntowała się nagle.

Jednak im bliżej budynku, tym bardziej zwalniała. Nie mogła tak po prostu wbiec na salę i wygarnąć Pawełkowi, chociaż miała na to wielką ochotę. Po prostu nie mogła. A jeśli to jednak spotkanie biznesowe? Albo może ta ciotka? Spaliłaby się chyba wtedy ze wstydu.

Może dlatego zamiast do wejścia skierowała się w bok, na chodnik biegnący wokół kawiarni. Przeszła parę kroków i nagle znalazła się obok wielkiej, przyciemnianej szyby.

Najpierw zobaczyła odbicie własnej szczupłej, całkiem zgrabnej sylwetki, a zaraz potem - tych dwoje.

Siedzieli przy malutkim stoliku wrogu sali i pili czerwone wino. Brunetka coś opowiadała, bawiąc się niedbale długim sznurem dziwnych, ciemnoczerwonych koralików, a Paweł siedział zaszuchnięty, gładząc palcami brodę, jak zawsze, gdy coś go interesowało. Nagle roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu. A potem nachylił się w stronę brunetki, coś powiedział i stuknęli się kieliszkami.

Tego już było dla Beatki za wiele. Prawie biegiem zawróciła na przystanek, polykając lzy, które nagle pojawiły się w ilościach nie do opanowania. Jedyne, czego teraz pragnęła, oczywiście oprócz tego, żeby cała ta historia okazała się snem, to znaleźć się szybko i bezpiecznie w domu.

Machnęła ręką na przejeżdżającą taksówkę. Jeszcze by tego brakowało, żeby w autobusie wszyscy się gapili, jak płacze.

Wbiegła do domu i cisnęła rzeczy na pękatą komodę w przedpokoju. Była zbyt zdenerwowana, żeby jak zwykle poukładać wszystko na miejscu. Z kryształowego lustra nad komodą wyjrzała zaczerwieniona od płaczu twarz. Rozmazane smużki tuszu do rzęs tworzyły na policzkach dziwne wzory. Beatka obiema dłońmi odgarnęła do tyłu krótkie, jasne włosy, które rozczochrały się nie wiadomo kiedy, i przez chwilę przyglądała się zrozpaczona swojemu odbiciu.

- O Boże, jak ja wyglądam - jęknęła i pobiegła do łazienki.

A potem, żeby nie myśleć, zabrała się za sprzątanie.

„Nie będę do niego dzwonić, niby po co” - powtarzała sobie stanowczo, krzątając się nerwowo po mieszkaniu, ale kiedy komórka odezwała się koło siódmej, rzuciła się jej szukać w takim pośpiechu, że o mało nie rozerwała torebki.

- Cześć, kochanie - zabrzmiał w słuchawce wesoły baryton Pawła. - Co słychać? Dzwoniłaś?

Kochanie? No proszę, jaki obłudny.

- Tak, dzwoniłam koło trzeciej, ale nie odbierałeś...
Chwila ciszy.

- Koło trzeciej, mówisz? Chyba siedziałem w biurze, a co? Miałaś do mnie jakąś ważną sprawę, ptaszku? - jego głos brzmiał tak naturalnie i znajomo, że Beatce przez

moment zaczęło się wydawać, że może naprawdę nic się nie stało.

- Chciałam z tobą tylko porozmawiać... Szkoda, że nie odebrałeś...

- Byłem dziś zajęty, miałem kilka ważnych spotkań. No wiesz, z kluczowymi klientami.

- To pewnie byliście umówieni na mieście? - podsunęła, pełna nadziei, że Paweł odpowie twierdząco i następnie wszystko wyjaśni.

- Przecież wiesz, że ważne sprawy wolę omawiać w biurze - odpowiedział zniecierpliwionym tonem.

- To znaczy, że nie wychodziłeś dziś w ogóle z pracy? - Beata postanowiła się upewnić, choć było to jak posypywanie rany solą.

- No przecież już ci powiedziałem - zirytował się na dobre. - Nie wychodziłem. O co ci chodzi?

- Właściwie o nic... ale... ale wydawało mi się, że widziałam cię na mieście koło trzeciej...

Co powie, jak zareaguje, przecież musi się jakoś wytłumaczyć!

Odezwał się wreszcie podniesionym głosem:

- Jak mogłaś mnie widzieć o tej porze, skoro pracujesz do czwartej?!!!

To było jak cios w żołądek. Wygrana przez nokaut. Beata poczuła, że się zaraz rozplacze.

- Nieważne, nieważne... Ja już muszę kończyć... Telefon mi się rozładowuje - i drżąc ze zdenerwowania, rozłączyła się.

„O Boże - pomyślała przerażona - i co teraz?”

* * *

Przez uchylone balkonowe okno sączyło się do pokoju chłodne wieczorne powietrze. Beata prawie od godziny siedziała skulona na fotelu przy telefonie, bawiąc się bezmyślnie

wyjętą z gniazdka wtyczką. Komórkę też wyłączyła. Woląla nie wiedzieć, czy Paweł będzie dzwonił, czy nie. Albo może raczej woląla wyobrazić sobie, że wykreca teraz uporczywie jej numer, próbując się z nią skontaktować i jednak coś wyjaśnić. Gdyby telefon był włączony, a on by się nie odezwał, nie przeżyłaby tego. Miłość to dziwny stan...

Pogłaskała machinalnie jaskrawopomarańczowe obicie fotela i podniosła leżące na kolanach duże zdjęcie w ozdobnej ramce. Zrobione zaledwie przed dwoma tygodniami, przedstawiało roześmianą parę: ją i Pawełka na tle okazałych krzewów różanych w ogrodzie znajomego biznesmena. Beatka czule pogładziła palcem fotografię.

- O Boże, dlaczego ja go tak kocham? - westchnęła bezradnie i ukryła twarz w dłoniach. Znali się dopiero kilka miesięcy, a już nie była w stanie wyobrazić sobie życia bez niego. Był centralnym punktem, osią, wokół której od marca kręciły się jej wszystkie sprawy. I nagle dzisiaj, ta sytuacja... ta brunetka...

Właściwie nie czuła rozpaczy ani smutku, tylko okropne, wszechogarniające zmęczenie. I gdzieś na samym dnie żołądka wzbierającą gorycz. Gdyby Paweł próbował się przynajmniej jakoś wytłumaczyć, gdyby ją przeproszał, przyznał się do błędu. Ale nie, on miał pretensje do niej! Że wyszła za wcześnie z pracy! Tak jakby to była jej wina, że zobaczyła narzeczonego podrywającego jakąś lafiryndę! Czy to nie przesada?!

Ta myśl dodała jej nagle energii.

Szybko się przebrała, złapała torbę i wybiegła z domu, z całej siły zatraskując za sobą drzwi. Niech to szlag najjaśniejszy trafi!

Zjechała na dół poobijaną, śmierdzącą windą i dopiero na parterze, kiedy jakaś sąsiadka spojrzała na nią dziwnie, zorientowała się, że jest w kapciach. Wróciła niechętnie do

mieszkania, włożyła sandaalki, ale tym razem nie miała już dość energii, żeby trzasnąć drzwiami. Powoli opadało z niej napięcie, a na końcu nosa zaczynał wzbierać płacz.

Wyszła przed blok i nagle otoczyło ją rześkie wieczorne powietrze. Lekki wiatr niósł z pobliskiego parku Skaryszewskiego przyjemny zapach wilgotnej ziemi, róż i czegoś jeszcze, czego nie potrafiła określić.

Ruszyła wolno przed siebie.

- Pani kupi kwiaty! - zawołała za nią gruba, ogorzała handlarz, która od lat sprzedawała w tym samym miejscu i w tym samym wytartym, kwiecistym fartuchu.

Beatka, wiedzona dobrym sercem, przewaźnie coś u niej kupowała, ale dziś minęła ją w milczeniu. Poszła prosto na przystanek i wsiadła do pierwszego autobusu w kierunku Grochowa. Miała nadzieję, że Monika będzie w domu. Rozpaczliwie musiała z kimś pogadać.

Usiadła przy oknie, tuż za kierowcą. Na szczęście prawie nie było pasażerów i nikt nie zwrócił uwagi na jej zapuchnięte od płaczu oczy.

„O Boże, dlaczego?” - zastanawiała się, próbując zdrapać z szyby paznokciem brudny kleks starej naklejki. „Dlaczego skłamał? Dlaczego się nie przyznał do tego spotkania?”

A jeżeli Paweł i tamta kobieta...

Beatka wzdrygnęła się. W tym momencie autobus zatrzymał się na przystanku przy Kinowej. W ostatniej chwili zorientowała się, że powinna na nim wysiąść.

Na Waszyngtona wstąpiła do spożywczego.

- Poproszę gorzką żołądkową - powiedziała do sprzedawcy niepewnym tonem. Problem polegał na tym, że nigdy wcześniej sama nie kupowała wódki i trochę się tego wstydziała.

- Ćwiarteczkę czy pół litra?

Hmm... Prawdę mówiąc, myślała o czymś jak naj-
mniejszym, ale...

- To może pół litra. Ile płacę?

Ekspedient zręcznie owinął butelkę w papier, włożył do torebki i podał Beacie. Mrugnął do niej przy tym porozumiewawczo, co trochę wyprowadziło ją z równowagi. „Chyba nie bierze mnie za jedną z tych samotnych alkoholiczek” - zdenerwowała się, ale zaraz przypomniała sobie, że jest nieszczęśliwa. „A co mi tam, niech sobie myśli, co chce” - stwierdziła i wyszła ze sklepu.

Na Międzyborskiej latarnie paliły się bez przekonania, czyli co druga, i ulica tonęła w niemiłym półmroku. Przed bramą Moniki stał zaparkowany jakiś elegancki samochód i Beacie przeleciało przez głowę, że na pewno zaraz go ukradną albo przynajmniej wybiją mu szybę; w aktualnym stanie ducha tylko takie myśli przychodziły jej do głowy. Na szczęście w oknach przyjaciółki paliło się światło, więc nie musiała się zastanawiać, co z nią, biedną, zdradzoną, dalej się będzie działo. Nacisnęła dzwonek.

- Tak? - usłyszała w domofonie stanowczy głos.

Odchrząknęła i wyszeptwała niepewnie:

- To ja...

- Beatka? Właż! - rozległ się przyzwalający brzęczyk.

- Hej, a co ty tu robisz? - Monika przywitała ją w otwartych drzwiach, ubrana w swój ulubiony obcisły szary dres, który podkreślał jej wysportowaną sylwetkę. Miała proste, niezbyt długie włosy w kolorze burgunda, ściągnięte w małą kitkę, i wąskie błękitne oczy o przenikliwym spojrzeniu. Całość nie pozostawiała wątpliwości, że Monika to kobieta zdecydowana i silna, w tym specyficznym typie, którego przeważnie boją się mężczyźni.

Energicznie odgarnęła włączając w oczy gęstą grzywkę.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś, żeby uprzedzić? Kolację bym jakąś zrobiła! - zaczęła z wyrzutem w głosie, po czym uważniej przyjrzała się gościowi. - Ale ty mi coś dziwnie wyglądasz...

Beata, nadal bez słowa, wyjęła z torby gorzką żołądkową i postawiła na stole.

- O cholera. Pół litra. Znaczy, nie jest dobrze. Paweł?

W odpowiedzi Beatka opadła na najbliższe krzesło, a z oczu popłynęła jej Niagara łez. Nareszcie mogła się porządnie wypłakać. Czula, jak nos jej nabrzmiewa, powieki znowu puchną, ale po prostu miała to gdzieś. Czy można wyglądać estetycznie, kiedy człowieka spotyka coś takiego?

Zdezorientowana Monika stała przez chwilę obok, głaszcząc delikatnie przyjaciółkę po ramieniu, a potem poszła do łazienki po rolkę papierowych ręczników, których używała do mycia okien.

Kiedy Beata uspokoiła się wreszcie, przystąpiła do opisanie przyjaciółce ze szczegółami całej sceny przed kawiarnią. Ze zdziwieniem stwierdziła, że pamięta wszystko tak dokładnie, jakby oglądała nagranie z ukrytej kamery. Zdenerwowanie Pawła, ruch, jakim podciągał rękaw garnituru, żeby spojrzeć na zegarek, intensywną czerwień róży, charakterystyczny kształt dziwnych czerwonych koralu, które nosiła tamta brunetka. Kiedy doszła do opisu, jak się świetnie razem bawili, popijając wino, poprosiła zdławionym głosem o żołądkową. Wychyliła kieliszek jednym haustem, zakrztusiła się, po czym znowu załża łzami.

- Nienawidzę go! - powtarzała, łkając. - Nienawidzę!!!

Kiedy po kilku minutach przestała szlochać, przyjaciółka zawlokła ją siłą do łazienki i kazała opłukać twarz zimną wodą. Efekt zabiegów był mizerny. Monika przyjrzała jej się uważnie, pokręciła z dezaprobatą głową i poklepała serdecznie po ręku:

- Może ty lepiej weź jutro wolne...

Beata westchnęła. Ciągle nie mogła się uwolnić od obrazu narzeczonego obejmującego obcą, piękną kobietę. I od uporczywej myśli, że dla niego ta kobieta obca nie była. Dlatego właśnie próby logicznej analizy, podejmowane przez Monikę, nie mogły dać pozytywnych rezultatów. Na logikę i spokój było po prostu zdecydowanie za wcześnie.

- Kobieto, spróbuj spojrzeć na to z dystansem. Paweł umówił się z jakąś dziewczyną w kawiarni, ale przecież to się zdarza. Żadne to ustronne miejsce schadzek, żaden hotel, nie kryli się wcale. To mi nie wygląda na konspirację kochanków. Więc o co chodzi?

- O to, że się do tego nie przyznał! O to, że mnie okłamał! I o to, że już nigdy nie będzie tak, jak było.

- Eee tam, przesadzasz, normalnie weźmiecie ślub i wszystko się samo ułoży.

- Żadnego ślubu nie będzie - wyszeptła dramatycznie Beata. A po chwili dodała słabo:

- Duszno mi, muszę się przejść - i ruszyła szybko do drzwi.

- Czekaj, idę z tobą - krzyknęła za nią Monika, łapiąc z oparcia krzesła ciepły bordowy sweter; Becia oczywiście zjawiła się u niej w samej bluzeczce, jednym z tych swoich cienkich, kobiecych fatalaszków, zupełnie nieodpowiednich na chłodne wrześnie wieczory.

Kiedy po chwili wyszły przed dom, do eleganckiego auta, zaparkowanego dokładnie przed bramą Moniki, właśnie ktoś wsiadał. „No proszę - zwróciła uwagę Beata - i jakoś

nikt tego cacka nie ukradł. A jednak cuda się zdarzają!”

Popatrzyła z pewną zazdrością na szczupłą, elegancką, młodą brunetkę, która właśnie otwierała drzwiczki samochodu. „Tej to na pewno nikt nie zdradza” - przeleciało jej przez głowę.

Nagle w wieczornej ciszy zabrzmiały polifoniczne dźwięki Marsza Torreadora. Kobieta wyprostowała się i zaczęła w pośpiechu szukać telefonu w torebce. „Ulubiony kawałek Pawła” - pomyślała odruchowo Beata, pociągając nosem. I nagle zadrżała. Brunetka, wyciągając komórkę, odwracała się właśnie w jej stronę. Telefon zaczął o długi sznur dziwnych czerwonych koralików.

„To niemożliwe” - przeleciało Beci przez głowę, bo w świetle latarni zobaczyła tę kobietę tak wyraźnie jak w dzień. I jak kilka godzin wcześniej przed kawiarnią Rozdroże.

- Monika, ja zaraz zemdleję - wydusiła z siebie.
I zemdląca.

ROZDZIAŁ 2

czyli Beata pogrąża się w otchłani rozpacz

„Co ona wyprawia!” - pomyślała Monika na widok przyjaciółki osuwającej się po ścianie na ziemię. Światła odjeżdżającego samochodu prześlizgnęły się po leżącej postaci.

- Beata! - krzyknęła przerażona. - Co ci jest?! Otwórz oczy, Beata!

Chwyliła ją za ramiona i zaczęła z całej siły potrząsać.

- O Boże, urwiesz mi głowę - odezwała się wreszcie Beata słabym głosem. - Przestań!

- Ale mi stracha napędziłaś, kobieto - denerwowała się Monika. - Już miałam dzwonić po pogotowie. Straciłaś przytomność, wiesz?

- Wiem, wiem. Tak mi się jakoś zakręciło w głowie... Ale już jest lepiej. Tylko muszę wstać, bo mi zimno...

Powoli, trzymając się muru, zaczęła się podnosić. Monika pomogła, podtrzymując przyjaciółkę za ramię.

- Chodźmy do domu - zarządziła, - Z tym spacerem to był kiepski pomysł!

- Może jednak nie... - odpowiedziała z wahaniem Beata.

- Jasne, świetnie! Następnym razem nie musisz się facygować na ulicę, mdlej sobie u mnie na kanapie.

- Oj, Monika, nic nie rozumiesz. Widziałaś tę brunetkę przy samochodzie? Znasz ją...?

- Nie, nigdy jej wcześniej nie widziałam. Ale też na nią zwróciłam uwagę. Rzuca się w oczy.

- A ja ją znam. Wiem, kim jest... To znaczy nie wiem, kim jest ani jak się nazywa, ale... - Beata zawiesiła na chwilę głos.

- No, mów wreszcie! - zniecierpliwiła się Monika.

- To ta kobieta, z którą widziałam dziś Pawła!

- Coś ty?! Żartujesz?! Beata zdenerwowała się:

- Jasne, i tak dla żartu sobie zemdlałam...

- Ale przecież tam, pod kawiarnią, widziałas ją tylko przez chwilę!

- Mówiłam ci, miała takie oryginalne korale, zresztą od razu ją rozpoznałam. To ona, ta sama sylwetka, włosy, nie mam wątpliwości... - Beata westchnęła głęboko.

Monika, patrząc na smutną twarz przyjaciółki, poczuła, jak coś jej się przewraca w środku.

- O Boże! Chodź szybko do domu, trzeba się czegoś napić.

Chwyciła mocno Beatkę pod łokieć i pociągnęła w stronę klatki schodowej.

- Swoją drogą, to niesamowite! Taki zbieg okoliczności! Ciekawe, co tu robiła? - zastanawiała się głośno, otwierając drzwi wejściowe i wpychając siłą przyjaciółkę do środka. Beata sprawiała wrażenie, jakby wcale nie chciała wracać. Oglądała się ciągle za siebie, na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stało srebrzyste, terenowe volvo.

- Musiała przyjść do kogoś z wizytą. Rzeczywiście, efektowna babka. A jaką miała figurę! Do tego te włosy, ciuchy... Szkoda, że wcześniej nie wiedziałam, że to ona, bobym ją sobie dokładniej obejrzała - nawijała zaaferowana Monika, kiedy wchodziły po schodach.

- Wiesz co, to ja już ci się nie dziwię, że jak zobaczyłaś Pawełka z tym cudem... - ciągnęła, zatrzymując się przed

drzwiami do mieszkania i wyjmując z kieszeni klucze. Obejrzała się na przyjaciółkę i zamarła.

Becia stała oparta o poręcz schodów i patrzyła w dół, wychylając się niebezpiecznie.

- Kobieto! Tylko mi się nie rzucaj! – zażartowała nerwowo Monika i dla pewności złapała przyjaciółkę mocno za rękę. - Ten twój Pawełek na pewno nie jest wart, żeby sobie przez niego cokolwiek łamać. Choćby paznokiec.

Kiedy w końcu dotarły do kuchni, Monika nalała do kieliszków gorzkiej żołądkowej.

- Płci męskiej na pohybel! - wzniosła toast. - Fuj, ta gorzka jest słodka! Co za obrzydlistwo! Nie mogłaś kupić na przykład wina? Hej, do ciebie mówię!

Beata, zajęta beznadziejnym wpatrywaniem się w przeciwległą ścianę, aż podskoczyła.

- Już, już, przepraszam!

Złapała stojący przed nią kieliszek, wypila i zakrzuszyła się.

- Najgorsze jest to, że ja go naprawdę kocham - wyznała po chwili drżącym głosem.

„O Boże, zaraz się znowu rozsypie” - pomyślała ze współczuciem Monika i nagle zalała ją fala wściekłości na tego drania, który doprowadził Becie do takiego stanu.

Dupek jeden!

Ale właściwie to nie była tym specjalnie zdziwiona. Od początku nie miała dobrego zdania o tym kretynie. Swoją drogą, to cud, że Beatka tak długo z nim wytrzymała. Z takim... bucem! O, to dobre słowo. Buc przez duże B. Czy może raczej przez małe? W każdym razie narzeczoną zawsze traktował z góry, jakby sam pozjadał wszystkie rozumy, a Becia była głupiutką gąską.

„Najważniejsze, żeby jego zalety nie przysłoniły nam wad” - powtarzała często Monika Beatce, która niestety nie

traktowała tego poważnie. W jej zakochanych oczach Pawełek składał się wyłącznie z samych zalet. I ducha, i ciała.

No fakt, facet był wyjątkowo przystojny. A przystojni są najgorsi, to już Monika przerobiła nieraz na własnej skórze.

Ponownie przyjrzała się przyjaciółce. Beatka siedziała przygarbiona przy stole, skubiąc brzeg żółtej spódnicy i rytmicznie pociągając nosem.

- Oczywiście zostajesz na noc? - spytała Monika.

Nagle poczuła się zmęczona.

- Zostaję. Wezmę sobie jutro wolne. A ty na którą idziesz?

Monika, która uczyła WF-u w pobliskiej podstawówce, a popołudniami prowadziła zajęcia z aerobiku w Studio Zdrowia i Urody na Grenadierów, miała codziennie inne godziny pracy. Trudno było je spamiętać.

- Na ósmą, ale kończę wpół do pierwszej i możemy iść razem na jakiś obiad, co ty na to?

- Nie wiem... Masz może proszek od bólu głowy? Czuję się tak, jakby ktoś mnie przeżuł i wypluł.

- I dokładnie tak wyglądasz - przyznała Monika, grzebiąc w szufladzie z lekarstwami. Znalazła etopirynę i położyła przed Beatką na stole.

- Dzięki, Goździkowa - uśmiechnęła się blado Beata i wycisnęła sobie dwie tabletki. - Strasznie jestem zmęczona. Daj mi jakąś pościel, to sobie zrobię łóżko...

- Żartujesz chyba. Sama ci zrobię. Ty lepiej idź do łazienki.

Monika wstała od stołu i zaczęła wkładać brudne naczynia do zlewu.

- No, popatrz! - uśmiechnęła się, biorąc do ręki butelkę.

- Nawet jednej czwartej nie wypiliśmy! To może nie jest jeszcze tak źle?

ROZDZIAŁ 3

który opowiada o tym, jak Monika nieoczekiwanie dostaje różę

Szkoła, w której uczyła Monika, mieściła się w wielkim, szarym, odpychającym budynku. Tłok zaczynał się już przed bramą. Młodzież stała na chodniku, wymieniając między sobą powitania i prace domowe oraz skutecznie tarasując przejście. Na dziedzińcu szkolnym robiło się trochę luźniej i szeroki strumień spragnionych wiedzy rozlewał się na boki, by znowu zgęstnieć przy drzwiach wejściowych.

Monika czasami miała wrażenie, że pracuje w fabryce. Tysiąc czterysta dzieci, przytłaczająca ilość. No i jakość też nieoszałamiająca...

Kiedy weszła wreszcie do środka, z uczuciem ulgi skręciła od razu w stronę sali gimnastycznej i kantorka, który dzieliła z pozostałymi nauczycielami WF-u. Lubiła to niewielkie, zagracone pomieszczenie i prawdę mówiąc, przerwy wolała spędzać tutaj niż w pokoju nauczycielskim.

- Cześć, co słyhać? - przywitał ją wesoło Sebastian, który musiał przyjść tuż przed nią. Właśnie ściągnął przez głowę dresową bluzę i próbował doprowadzić palcami do porządku niesforne, płowe włosy. Uczył te same klasy co Monika, tylko oczywiście chłopców. - Ale pogoda, co? Aż chce się żyć!

- Yhy - mruknęła Monika ponuro.

- O, zdaje się, że nie wszyscy mają dobry nastrój od rana. Niektórzy wyglądają na zmęczonych. Albo przetrenowanych... Jakaś imprezka w środku tygodnia? To dlaczego nie

zostałem zaproszony? Już mnie nie lubisz?

- Oj, Sebastian, ty znowu swoje. Żadna imprezka. Nie wyspałam się, i tyle. A jak ci się tak bardzo podoba na dworze, to idźcie sobie z chłopakami na boisko pokopać piłkę, ja chętnie zostanę na sali.

Nie była w nastroju do wysłuchiwania radosnych komentarzy kolegi.

Zbliżało się południe. Dzwonek na lekcje właśnie ucichł i korytarze zaczynały pustoszeć. „Jeszcze tylko jedna godzina i do domu” - pomyślała Monika z ulgą. „Ciekawe, co słyhać u Beatki?”

W tym momencie zadzwonił jej telefon komórkowy. „O wilku mowa” - pomyślała, rzucając okiem na wyświetlacz, ale zamiast „BECIA” zobaczyła napis „Paweł J.”. Przez chwilę zastanawiała się, czy w ogóle odebrać.

- Halo? - odezwała się w końcu ostrożnie. „Czego on może chcieć?” - zastanawiała się gorączkowo. „Pewnie szuka Beci. Co ja mu powiem?”

O dziwo, Paweł nie zapytał wcale o Beatę, tylko zaprosił Monikę na kawę. Zaraz po lekcjach. Nie wyjaśnił, o co mu chodzi, i zanim, zaskoczona, zebrała się w sobie, żeby stanowczo odmówić, skończył rozmowę.

Monika zaczęła zajęcia z VI a. Wypuściła dziewczyny na boisko i obserwując je, cały czas się zastanawiała, o co może chodzić temu bucowi. Mogłaby oczywiście nie iść na to spotkanie, tylko że wtedy zapewne przyszedłby do niej do domu. A to byłoby jeszcze mniej przyjemne. W dodatku natknąłby się pewnie na Becie, która mogłaby sobie jeszcze nie życzyć jego widoku. Dlatego po lekcji, która upłynęła zadziwiająco szybko, Monika wróciła do kantorka, przebrała się, uczesała i wyruszyła niechętnie na spotkanie z narzeczonym przyjaciółki.

Zobaczyła go już z daleka. Wysiadał właśnie ze swojego sportowego samochodu, w jednej ręce trzymając kluczyki, a

w drugiej - różę! Zatrzymał się przed drzwiami, rozejrzał dookoła i wszedł do środka. „No tak, atrakcyjny to on jest” - stwierdziła obiektywnie Monika. „Luksusowe auto, świetny garnitur, do tego sylwetka sportowca i uroda hollywoodzkiego aktora. Tylko czy taki typ nadaje się na męża?”

Zajął stolik tuż przy drzwiach i na jej widok poderwał się z miejsca. Monika mimo woli pomyślała, że musi być miło pokazywać się z nim publicznie.

- Z przeprosinami, że ci zawracam głowę - uśmiechnął się ujmująco, wręczając jej kwiat. - Świetnie wyglądasz - dodał i pocałował ją w rękę.

- Dzięki - odpowiedziała ostrożnie.

- Pozwól - odsunął jej krzesło i poczekał, aż usiądzie.

- No, więc o co chodzi?

- Napijesz się kawy? - zignorował jej pytanie. - A może coś słodkiego? Mam nadzieję, że przy twojej figurze nie będziesz się zasłaniać dietą. Widziałem w karcie szarlotkę na ciepło z lodami...

- Dziękuję, żadnej kawy, żadnej szarlotki. Trochę mi się spieszy. Jaką właściwie masz do mnie sprawę?

Paweł przez chwilę przyglądał jej się uważnie.

- Nie domyślasz się? - spytał cicho.

W jego głosie i spojrzeniu pojawiło się coś takiego, że Monika poczuła się nieswojo. W dodatku najwyraźniej zaglądał jej w dekolt! Bezczelny! Przykryła dłonią głębokie wycięcie bluzki i żeby odwrócić jego uwagę, powiedziała pierwsze, co przyszło jej na myśl:

- Pewnie chcesz się zapisać na moje lekcje aerobiku?

- Nie wygłupiaj się - przerwał. - Widziałas się może wczoraj z Beatką?

- Hmm, a coś się stało? - Monika zrobiła zdziwioną minę.

- Stało się i ty na pewno świetnie wiesz co. Chciałem cię prosić, żebyś z nią porozmawiała i wszystko wytłumaczyła. Nie odbiera telefonów, w domu jej nie ma... Taka histeria z powodu drobnego nieporozumienia?

- A możesz mi wytłumaczyć, na czym polegało to, według ciebie, drobne nieporozumienie?

Paweł skrzywił usta i odchylił się na krześle do tyłu tak daleko, że Monika przez chwilę miała wrażenie, że się przewróci.

- Nie wiem, co ci naopowiadała Beatka, ale na pewno przesadziła. Miałem wczoraj na mieście służbowe spotkanie. Z klientką. A moja narzeczona wyszła tego dnia wcześniej z pracy i zobaczyła nas, chociaż mi tego nie powiedziała wprost. To przecież nie moja wina, że ta klientka jest wyjątkowo atrakcyjna...

- I to właśnie powiedziałeś Beci?

- Wiesz, jak jest u mnie w firmie, dziesiątki spotkań, telefonów, więc jak mnie Beatka zaczęła wypytywać, to mi wyleciało z głowy, że miałem o tej porze spotkanie na mieście. Później chciałem jej wszystko wytłumaczyć, ale ona wyłączyła komórkę i wyszła z domu. Zresztą pewnie do ciebie. Nie myślę się?

Monika zignorowała jego pytanie. W głosie Pawła wyczuła napięcie, tak jakby rzeczywiście bardzo mu zależało na przekonaniu jej. Czy to możliwe, żeby był aż tak zakochany? Spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

- Spróbuję namówić Becie, żeby włączyła telefon, to jej wszystko sam wytłumaczysz. A teraz muszę już iść, mówię ci, że się spieszę.

Paweł wyraźnie się odprężył, a na jego twarzy pojawiła się ulga.

- Może gdzieś cię podwieźć?

- Dziękuję, pójdę na piechotę, to niedaleko.

Wyszli z kawiarni na zalaną jesiennym słońcem ulicę. Paweł pochylił się i pocałował Monikę w rękę.

- To bardzo miło z twojej strony, że zgodziłaś się mi pomóc - powiedział, trzymając jeszcze przez chwilę dłoń Moniki w swojej i patrząc jej głęboko w oczy.

- Nie pomagam tobie, tylko Beacie - odparła chłodno, odsuwając się od niego gwałtownie. - Cześć.

Ruszyła szybkim krokiem w stronę domu, rozglądając się za koszem, do którego mogłyby wyrzucić różę.

- Monika! - krzyknął za nią Paweł. Zatrzymała się i odwróciła. Stał przy samochodzie, oparty łokciem o dach, i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. - Koniecznie jej przypomnij, że dziś po południu mamy zamawiać zaproszenia!

* * *

Beatkę obudziły pokrzykiwania śmieciarzy i metaliczny łoskot pojemników pod oknem.

Wczorajszy wieczór... Wzdrygnęła się. Koszmarny.

Ale lepiej do tego nie wracać. A przede wszystkim - nie roztkliwiać się nad sobą. Może Monika miała rację, może wszystko się jakoś wyjaśni, ułoży... No i trzeba będzie porozmawiać z Pawłem, tylko już nie przez telefon. Bo tak naprawdę, choć wczoraj deklarowała, że nie chce mieć z nim więcej do czynienia, to już teraz bardzo by chciała go zobaczyć. Bardzo.

Ale przede wszystkim powinna zadzwonić do biura, żeby uprzedzić, że nie przyjdzie. Pani Aldona, naczelnik wydziału, na pewno pomyśli, że Beata musi załatwiać jakieś sprawy związane ze ślubem - formalności, zaproszenia...

Zaproszenia! Przecież dzisiaj mieli iść do drukarni, żeby je zamówić! Beata usiadła gwałtownie na łóżku. To znaczy, że Paweł na pewno będzie próbował się z nią skontaktować

i ustalić, czy tam pojedą. Powinni się spotkać, nie można tego odkładać w nieskończoność. Więc żadnego płaczu, łez, zapuchniętych oczu i czerwonego nosa. Trzeba się jakoś doprowadzić do porządku, i to szybko.

Jedyne, o czym teraz marzyła, to kawa. Monika miała porządny włoski ekspres, więc po chwili aromat rozniósł się po całym domu. Z parującą filiżanką Beata usiadła przy stole w kuchni, wzięła do ręki telefon i zadzwoniła do biura. Poprosiła o dwa dni urlopu na żądanie, a pani Aldona zgodziła się bez trudu.

W ten sposób, razem z weekendem, uzyskała całe cztery dni, żeby dojść do siebie. Powinno wystarczyć. A gdyby tak na ten czas wyskoczyć do Czerwińska? I może jeszcze namówić Monikę? Ostatni raz we dwie były tam już po śmierci babki Aleksandry. Spędziły wtedy w opuszczonym, pachnącym naftaliną domu prawie tydzień. Spakowały rzeczy po babci i uporządkowały obejście.

A któregoś wieczoru nagle pojawił się Michał, młodszy brat Beatki. Ucieszyły się bardzo, że im pomoże przynieść kartony, ale on najpierw poprosił o kolację, a potem oznajmił, że musi zaraz wracać do Warszawy, bo jutro z samego rana jest umówiony na jakieś ważne spotkanie. Beata rozesmiała się.

- Michał, kochany, to po co jechałeś taki kawał drogi?
- Żeby zobaczyć, jak to wszystko teraz wygląda i ustalić z tobą, ile byśmy za to chcieli.
- Słucham?!
- Beata, nie udawaj. Przecież to trzeba jak najszybciej sprzedać. Jakiegoś rzeczoznawcę musimy umówić, dać ofertę do agencji... Nie ma na co czekać. Dom nie może stać pusty.

Siedzieli przy dużym okrągłym stole w kuchni, przykrytym haftowaną serwetą, wisząca tuż nad nimi lampa przyciągała z dworu ćmy i komary. Beata podniosła się i zamknęła otwarte na oścież okno.

- Nie możemy tego sprzedać - powiedziała cicho. - Przecież już o tym rozmawialiśmy.

- Wiecie co, ja się chyba pójdę przejść - powiedziała nagle Monika - a wy tu sobie omawiajcie rodzinne sprawy. Tylko proszę nie zdemolować pomieszczenia.

Wzięła kurtkę z wieszaka w sionce i wyszła.

- Owszem, rozmawialiśmy, aleja sobie sprawę przemyślałem, przeanalizowałem i doszedłem do wniosku, że to jedyne wyjście. Więc teraz musimy się tylko zastanowić, jak to wszystko sensownie przeprowadzić.

Beata pokręciła głową.

- Michał, ty zupełnie nie rozumiesz. Ja nie sprzedam tej ziemi. Po prostu nie.

- Uważaj, siostra, bo zaczynasz mnie wkurzać. Czy ty wiesz, ile to jest warte? Za dużo zarabiasz w tym twoim biurze, że kilkaset tysięcy w tą czy w tamtą to dla ciebie żadna różnica?

- Kilkaset tysięcy?

Zamierzał zrobić na niej tą kwotę wrazenie i rzeczywiście, udało mu się.

- A jak myślałaś? Dom, sad, łąka, w dodatku te tereny robią się coraz bardziej atrakcyjne. Zresztą, jak to sobie inaczej wyobrażasz? Chcesz tutaj mieszkać? I codziennie dojeżdżać do pracy? Półtorej godziny? Zastanów się! - Michał był coraz bardziej zdenerwowany.

Na szczęście jedną z podstawowych cech Beaty była niechęć do robienia komukolwiek przykrości, więc miał nadzieję, że szybko się zgodzi na jego propozycję. Zresztą, nie wyobrażał sobie, żeby się miała nie zgodzić.

- Nie zgadzam się.

- Że co proszę?

- Nie zgadzam się, Michał. To znaczy ty ze swoją częścią, oczywiście, możesz robić, co chcesz, aleja swojej nie sprzedam.

Michał oparł dłonie o blat stołu, podniósł się z krzesła i nachylił w stronę siostry.

- Ty chyba żartujesz? A co ja niby mogę zrobić ze swoją częścią, skoro twoja jest od frontu? Gdzie ja znajdę kupca zainteresowanego ziemią, do której nawet nie ma dojazdu? Nie bądź śmieszna!

- Nie denerwuj się tak, Michał. Jeśli chodzi o dojazd, to nie masz racji, bo musiałabym umożliwić przejazd przez swoją część, a poza tym tej ziemi jest tyle, że na pewno chętnie to od ciebie kupią na działki budowlane. Na pewno. I usiądź, proszę, bo się czuję nieswojo, jak na mnie patrzysz z góry. Wyglądasz tak, jakbyś chciał mnie uderzyć.

Michał usiadł ciężko z powrotem na krzesło, naprawdę zły. Przyjechał do Czerwińska w konkretnym celu namówienia siostry na sprzedaż domu i ziemi, za które mogli dostać sporą gotówkę. Nie sądził, że zajmie mu to więcej niż dziesięć minut. Decyzja wydawała się oczywista. Ale upór, z jakim Beata obstawała przy swoim, zaniepokoił go. Czy to możliwe, żeby aż tak była przywiązana do tego miejsca? Zupełnie przeciętnego miejsca, gwołi ścisłości. Nijaki, stary dom, zaniedbany ogród, sad, którego już od lat nikt nie pielęgnował. Za to dla potencjalnego inwestora ten teren mógł stanowić nie lada gratkę. Od kilku lat szeptano w okolicy, a od pół roku zaczęto mówić oficjalnie, że tuż za Czerwińskiem ma się rozpoczynać obwodnica stolicy. Michał widział w tym szansę. Życiową szansę.

Rzeczywiście, mógłby teraz Beatę uderzyć.

- Słuchaj - warknął, coraz bardziej wściekły. - Słuchaj! Jeżeli nie sprzedasz swojej części, ja za swoją wezmę o połowę mniej, niż mógłbym. Więc się dobrze zastanów, co

robisz, bo to najbardziej egoistyczna i głupia decyzja z możliwych. Nic na tym nie skorzystasz, a ja stracę.

Zaskrzypiały drzwi wejściowe i w progu pojawiła się Monika.

- Zmarzłam - oznajmiła, podchodząc do stołu. - Chce ktoś herbaty?

- Słuchaj, Monika, może ty byś z nią porozmawiała, bo mnie nie chce słuchać. Czy już ci się chwaliła, że nie zamierza sprzedawać ziemi?

- Za wcześniej wróciłam, zdaje się. Pójdę sobie poczytać do pokoju. A jak się woda zagotuje, to mi krzyknijcie.

I ruszyła w stronę stołowego.

- Aha - odwróciła się w drzwiach. - Faktycznie, chwaliła mi się.

- No i? - w głosie Michała pojawiła się nadzieja.

- Pogratulowałam jej.

Po wyjściu Moniki w kuchni przez chwilę panowała cisza. W końcu Michał wstał, obszedł stół i ukucnął obok siostry, przytrzymując się krzesła.

- Jadę. Nic tu po mnie. I radzę ci, przemyśl to sobie, dziewczyno. Nie tylko ja potrzebuję tych pieniędzy. Byłoby dobrze, gdybyś to wreszcie zrozumiała. Nie można do końca życia mieszkać w wynajmowanej kawalerce.

- Zgadzam się, nie można - przyznała spokojnie Beata. - Toteż zamierzam jak najszybciej przenieść się tutaj.

Michał zmrużył oczy.

- Gratuluję - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Właśnie złamałaś mi życie.

I wybiegł na dwór, trzaskając drzwiami.

ROZDZIAŁ 4

czyli pojawienie się Heleny, oczywiście nie trojańskiej

Beatkę z zamyślenia wyrwało brzęczenie domofonu. Porderwała się nerwowo i pobiegła do przedpokoju. Czyżby Paweł? Po drodze zatrzymała się na moment przed lustrem i poprawiła włosy. Szminka, gdzie jest szminka? Domofon nie przestawał hałasować.

- Tak, słucham? - rzuciła lekko zdyszana do słuchawki.
- Poczta, pani otworzy.

Nacisnęła guzik i wróciła do kuchni. Jednak to nie on... Która może być godzina? Odruchowo sięgnęła do kieszeni dzinsów po telefon, ale nie było go tam. Pewnie został przy łóżku w pokoju, w którym spała.

Rozejrzała się. Na ekranie kuchenki mikrofalowej migały kolorowe cyfry: 12.34,12.34,12.35... Co tu robić przez resztę dnia? Właściwie na nic nie miała ochoty.

Żeby chociaż Monika już wróciła, jej zdrowe podejście do życia dobrze na Becie działało. Ciekawe, czy uda się ją namówić na wyjazd do Czerwińska...

Beatka usiadła znowu na rozklekotanej wiklinowej kanapie, wymoszczonej starymi poduszkami, która stała pod kuchennym, otwartym teraz na oścież oknem. Z dworu dobiegało gruchanie gołębi, wesołe krzyki dzieci z pobliskiego placu zabaw i odgłosy przejeżdżających samochodów.

Becia podciągnęła kolana pod brodę...

Podświadomie cały czas nasłuchiwała dźwięku telefonu. Teraz, kiedy za oknem świeciło słońce, a łyzy wyschły, wczorajsza katastrofa jakby przybladła. Beatka przyłapała się

nawet na myśli, że najchętniej o wszystkim by zapomniała, tylko żeby było jak dawniej! Żeby się można było przytulić do Pawełka, poczuć się znowu tak dobrze i bezpiecznie, po prostu być razem...

Ach, kiedy on wreszcie zadzwoni!!!

Musi przestać o nim myśleć, choć na chwilę, bo inaczej zwariuje. Podniosła się i wyjrzała za okno, na termometr, przykręcony do drewnianej framugi. Niemożliwe, dwadzieścia dwa stopnie! Jeżeli nie będzie jakiegoś deszczu, to sobie w Czerwińsku pojeździ na rowerze. Miała swoją ulubioną trasę - przez las w stronę Błonia, potem kawałek polnymi ścieżkami i tylko ostatni odcinek asfaltem. Prawie dwadzieścia dwa kilometry, czyli godzina szybkiego pedałowania. Ale rzadko wycieczka zajmowała jej tylko godzinę. Najczęściej robiła sobie po drodze dwa albo trzy postoje - oddychała wtedy głęboko czystym leśnym, ciężkim od żywicy powietrzem, obserwowała zaaferowane wędrówką mrówki i zasapane, granatowo opalizujące żuki. A od pół roku, odkąd pojawił się w jej życiu Paweł, marzyła, że na taką wycieczkę pojedą razem. Tylko że on nigdy nie miał czasu. Zawsze zajęty, zawsze zabiegany, zawsze w rozjazdach. Kiedy go namawiała, żeby się z nią wybrał do Czerwińska, znajdował dziesięć pretekstów, by odmówić. I obiecywał, że następnym razem to już na pewno... No tak, znowu Paweł...!

Trzasnęły drzwi wejściowe i do kuchni wpadła Monika. Energiczna, uśmiechnięta, w obcisłych czarnych dżinsach i szarym podkoszulku, wyglądała raczej na licealistkę niż na poważną panią profesor.

- No hej! Jak się czujesz?

Rzuciła plecak na krzesło, pocałowała przyjaciółkę w czubek głowy, a potem przyjrzała jej się uważnie.

- Wiesz co, nawet nieźle wyglądasz.

- Tak myślisz? - Bacia uśmiechnęła się bez przekonania.
- Słuchaj, Monia, mam taki pomysł... Nie wybrałabyś się ze mną do Czerwińska?

- Kiedy?

- Dziś po południu.

Monika pokręciła przecząco głową.

- Nie da rady. Jutro mam rano trzy godziny w szkole, a potem jeszcze aerobik. Ale ty jedź koniecznie, dobrze ci to zrobi. Złapiesz trochę powietrza, dystansu... - Monika uśmiechnęła się krzepiąco i zaczęła krzątać się po kuchni.

- Robię kawę, napijesz się? A potem wyskoczymy coś zjeść. Okropnie głodna jestem.

Przygotowując ekspres, zastanawiała się, jak powiedzieć przyjaciółce o spotkaniu z jej narzeczonym.

- Paweł się odzywał? - zapytała z głupia frant, nalewając mleko do pojemnika i nie patrząc w stronę Beatki.

- Nie.

- Nie dzwonił?

- No przecież mówię, że nie! - głos Beci wzniósł się histerycznie.

- Sprawdziałś?

- Po co? Mam ustawiony dzwonek na najgłośniejszy, usłyszałabym przecież...

- Wiesz co, lepiej sprawdź.

Beata zerwała się z kuchennej kanapy i pobiegła do pokoju po telefon. Leżał na kredensie, ciemny i głuchy.

- Popatrz tylko, wyładowany! - zrozpaczona pokazała przyjaciółce. - A ja nie wzięłam ładowarki!

- No pięknie. A Paweł od rana próbuje się do ciebie dozwonić.

- Dzwonił do mnie?! Jak to?! Skąd wiesz? Monika!

- Po prostu wiem. Umówił się ze mną na mieście, żeby zapytać, co się z tobą dzieje.

- I co?! Co mu powiedziałaś? - w zielonych oczach Beci pojawiła się panika.

Monika westchnęła ciężko i usiadła przy kuchennym stole.

- Właściwie nic. To on głównie mówił. Tłumaczył się i próbował mnie przekonać, że z tą kobietą w kawiarni to jedno wielkie nieporozumienie... - przerwała nagle zniecierpliwiona. - Słuchaj, chodźmy już na ten lunch! Zaraz padnę z głodu.

Ale Beata złapała ją kurczowo za rękę i popatrzyła błagalnie.

- Proszę, Moniczka! Musisz mi wszystko DOKŁADNIE powtórzyć!

- Zdaje się, że powinienam go była nagrać - westchnęła Monika, zrezygnowana. - Albo przynajmniej notować. No dobra, już mówię, nie denerwuj się tak. To było podobno spotkanie służbowe, ta babka jest asystentką prezesa jakiejś wielkiej firmy. Mają podpisać kontrakt i Pawłowi strasznie na tym kontrakcie zależy, więc jej nadskakiwał, to wszystko. A jak go spytałaś, to mu się akurat zapomniało, że się widzieli. Potem chciał do ciebie zadzwonić, wszystko wytłumaczyć, ale wyłączyłaś telefon. Tyle. Aha, prosił, żeby ci przypomnieć, że dziś po południu jesteście umówieni w drukarni w sprawie zaproszeń. To co, idziemy jeść? Hej, Becia!

Przyjaciółka nie zareagowała. Z łokciami opartymi o blat stołu wpatrywała się w drzewa za oknem, leciutko się uśmiechając. „Ależ ta cielęcina jest w nim beznadziejnie zakochana!” - westchnęła w duchu Monika. „A jeszcze wczoraj nie chciała go znać i mdlała z zazdrości! Jakże to wszystko banalne!”

Właściwie od początku było wiadomo, jak to się skończy. Te wczorajsze dramatyczne deklaracje zerwania! Żalosne! Wystarczy, żeby się tylko taki gagatek odezwał, i wszystko jest jak dawniej.

No cóż, obiektywnie rzecz biorąc, Paweł naprawdę się postarał - jakimś cudem znalazł czas na spotkanie w swoim napiętym planie dnia, był ujmująco miły, wytłumaczył nieporozumienie, nawet wyglądał na szczerze zaniepokojonego obrotem sprawy, ale... Ale to, że po rozmowie z nim Monika czuła się jakoś dziwnie, nikogo nie obchodziło. Przecież właściwie ten bęczał ją regularnie podrywał! Obrzydliwe! Zresztą przez całą rozmowę miała wrażenie, że on... coś kręci.

Tylko czy na podstawie wrażeń można się komuś pako-
wać z butami w życie?

Raczej nie, dlatego postanowiła nie dzielić się z przyjaciółką swoimi wątpliwościami. W końcu nie miała żadnych solidnych argumentów. Bo to, że instynktownie nie lubiła Pawła, żadnym argumentem nie było.

Tymczasem Beata ocknęła się z zamyślenia i zaczęła w pośpiechu zbierać swoje rzeczy. No tak, teraz pogna jak na skrzydłach do domu, naładować ten cholerny telefon. „O matko, żeby się tak uzależnić od faceta! Nigdy!” - Monika wzdrygnęła się i zajęła przeglądaniem kuchennych szafek w poszukiwaniu czegoś, co by się nadawało na obiad. Ze wspólnego lunchu przecież nic nie wyjdzie, a samej nie chciało jej się nigdzie łązić.

- To pa. Dzięki za wszystko! - Becia cmoknęła Monikę w policzek i wybiegła z mieszkania jak na skrzydłach.

* * *

Monika była coraz bardziej głodna. W szafkach nie znalazła nic jadalnego, a w lodówce po wczorajszej kolacji zostało tylko pół kostki masła, pomarszczona czerwona papryka i napoczęty słoik powideł. „Trzeba się będzie przejść do sklepu” - pomyślała niechętnie.

Odwrotnie niż większość kobiet, nie znosiła robić zakupów. Skoro jednak zapasy skończyły się definitywnie, nie miała wyjścia.

Wyciągnęła ze ściennej szafy w przedpokoju podniszczoną kraciatą torbę na kółkach, odziedziczoną po babci. Wywoziła w niej ze sklepu tyle jedzenia, że wystarczyło na tydzień, czasami nawet dłużej. Później już tylko wpadała do piekarni po pieczywo i kłopotliwy problem aprowizacji miała z głowy. Chwyciła jeszcze z krzesła mały plecak, którego używała zamiast torebki, i przeciągnęła kraciatą machiną przez próg. Plastikowe kółka potoczyły się, pojękując niechętnie. „Trzeba by je wreszcie naoliwić” - postanowiła sobie chyba setny raz.

Schodząc, zatrzymała się dwa piętra niżej, przed drzwiami z numerem trzy. Nacisnęła dzwonek.

- Kto tam? - rozległ się po chwili ze środka cichy głos.

- To ja, Monika.

- Już otwieram, skarbie, już otwieram!

Rozległo się stuknięcie zasuwki i brzęk łańcucha.

W drzwiach stanęła drobna staruszka w brązowej sukni z białym, koronkowym kołnierzykiem. Monika nachyliła się do niej i pocałowała pomarszczony policzek.

- Chodź, kochanie, chodź, jak się cieszę, że cię widzę. Dawno cię u mnie nie było.

Weszły do wysokiego, jasnego mieszkania, prześwietlonego słońcem. Przez ogromne okna zaglądały do środka złotoczerwone gałęzie rosnących wokół domu drzew. Monika uwielbiała to miejsce. Od dziecka często tu bywała, bo sąsiadka przyjaźniła się z jej babcią. A odkąd sama zamieszkała przy Międzyborskiej, starała się co jakiś czas zaglądać do samotnej starszej pani i w miarę potrzeby jej pomagać.

- Pani Helenko, przepraszam. Strasznie byłam zabiegana. Zaczął się rok szkolny, rozumie pani, w dodatku musiałam jechać na wycieczkę ze swoją klasą...

- Już dobrze, Monisiu, ja przecież wiem, jak to jest w dzisiejszych czasach. A co byś powiedziała na talerz rosółku? Z lanymi kluseczkami, co ty na to?

- Pani Helenko złota, z radością. Chociaż ja wpadłam tylko, żeby powiedzieć, że się wybieram do sklepu i przy okazji mogę zrobić pani jakieś większe zakupy.

- Jak to miło z twojej strony, Monisiu. Zrobimy tak: naleję ci zupki, ty będziesz sobie jadła, a ja się powolutku zastanowię, co mi jest potrzebne. Właściwie to chyba wszystko mam...

Pani Helena, szepcząc coś do siebie pod nosem, poszła powoli do kuchni, a Monika przysiadła na parapecie i wyjrzała na zewnątrz. Mieszkanie pani Heleny było narożne, jego okna wychodziły nie tylko na ulicę, ale też na ogród sąsiedniego domu. Przestronne, jasne, urządzone ze smakiem, było pełne zabytkowych mebli, starych zdjęć, haftowanych poduszek i porcelanowych figurek.

Jeden pokój całkowicie objęły w posiadanie książki - ogromna biblioteka po nieżyjącym mężu pani Heleny, znanym przedwojennym literacie. Monika uwielbiała w niej szperać w poszukiwaniu starych, zakurzonych kryminałów, które wspaniale się potem czytało w długie zimowe wieczory. Fascynowało ją rozwiązywanie skomplikowanych sensacyjnych zagadek...

- Monisiu, możesz mi pomóc? - dobiegło ją wołanie od strony kuchni.

- Już idę - odpowiedziała głośno. Pani Helena miała problemy ze słuchem.

Okazało się, że trzeba zanieść do jadalni talerz zupy.

- Mnie się już tak ręce trzęsą, moje dziecko, że prawie zawsze rozlewam. No, chyba że naleję na samo dno, ale wtedy muszę, niestety, chodzić dwa razy. Po dokładkę - starsza pani roześmiała się z własnego dowcipu.

Rosół był cudownie smaczny. Jak zwykle. Monika wstała, żeby odnieść pusty talerz do kuchni.

- Wstaw jeszcze, kochanie, wodę na herbatę - poprosiła pani Helena.

Monika najpierw pozmywała po sobie, a potem rozejrzała się w poszukiwaniu czajnika. Stał zawsze na kuchence, cały czarny od ciągłego przypalania, bo pani Helena często zapominała o włączonej wodzie. Ale starego czajnika nie było. Natomiast na blacie obok zauważyła nowiutki, elegancki i błyszczący czajnik elektryczny Philipsa.

„Ciekawe, skąd tutaj takie kosztowne чудо?” - Monika uniosła ze zdumieniem brwi. Nalała do niego wody i czekając, aż się zagotuje, sięgnęła na półkę, gdzie zamiast skromnej puszki po dawno wypitej herbacie Dilmah, w której pani Helena przechowywała zwykle najtańszą ekspresową w torebkach, znalazła wytworny zestaw owocowych herbat w kilku smakach. „No, no” - pomyślała Monika. „Zdaje się, że herbaty pani Helenka nie będzie na razie potrzebowała”.

- Co za wspańiały nowy sprzęt w kuchni - powiedziała, stawiając filiżanki na stole.

- Prawda? - ucieszyła się starszuszka. - Dostałam go w prezencie. Od Weronki. Twierdzi, że to niebezpieczne, że bym w moim wieku gotowała wodę na gazie, a czajnik elektryczny wyłącza się sam, to bardzo wygodne. No i ten ma jeszcze zamontowany specjalny filtr, złoty zdaje się.

Monika słuchała z zainteresowaniem.

- To rzeczywiście świetny prezent. Ale kto to jest Weronka, pani Heleno?

- A właśnie, przecież ty jej jeszcze nie znasz. Weronka to taka przemiła młoda osoba... Wyciągnij, jeśli łaska, środkową szufladę komody, tak, tę, na wierzchu powinien leżeć lososiowy szal. Podaj mi go, proszę.

Starsza pani wzięła z rąk Moniki wełniany, bladoróżowy szal i narzuciła go na ramiona.

- Czy nie śliczny? - spytała. - Też od Weronki. Ona ma doskonały gust. I dosłownie obsypuje mnie prezentami. Zawsze coś ze sobą przynosi, jakieś słodczyce, herbatę... Masz może ochotę na czekoladkę?

Posunęła w stronę gościa leżącą na stole wykwinętą bombonierkę.

- Są takie smaczne... Lekarz kazał mi ograniczyć słodczyce, ale chyba sobie jednej nie odmówię.

- Też od Weronki? - upewniła się Monika, nie wiedzieć czemu zirytowana.

- A, tak. Była w zeszłym tygodniu w Niemczech i przywiozła je stamtąd. Smakują ci, dziecko?

- Tak, oczywiście. A skąd pani zna tę Weronkę?

- To cała historia, moja droga. Wiesz, że odkąd zabrakło mojego męża, z finansami nie jest u mnie za dobrze. Marzył mi się wyjazd do Konstancina, choćby na tydzień, więc pomyślałam, że może mogłabym sprzedać biblioteczkę. Pamiętasz, stała w tamtym pokoju... Wspomniałam o tym pani Ani, tej pielęgniarki z przychodni, która przychodzi do mnie raz w tygodniu. I wtedy okazało się, że ona ma znajomą, która byłaby zainteresowana kupnem. Wpadły tu któregoś dnia razem, Weronka od razu zachwyciła się biblioteczką i tak nam się miło gawędziło przy herbacie. Później przywiozła ze sobą miłego starszego pana, antykwariusza, żeby tę biblioteczkę wycenił. Nawet nie przypuszczałam, że tyle za nią dostanę. A Weronka okazała się takim miłym dzieckiem. Ciągle mnie odwiedza, o, nawet była wczoraj wieczorem. Pomaga mi w wielu sprawach...

I zawsze przynosi jakiś uroczy prezent. Ja mam chyba jakieś szczęście do ludzi.

Monice zrobiło się nagle dziwnie przykro z powodu biblioteczki. To był naprawdę piękny, stary mebel, jeszcze z oryginalnymi, kryształowymi szybkami w drzwiach. Pamiętała go dobrze, bo bardzo jej się podobał. Rzeczywiście, musiał być cenny. Podniosła się z krzesła.

- Pani Heleno, to ja będę już lecieć, przygotowała mi pani listę?

- Właściwie to ja wszystko mam, tylko sok z marchewki się skończył... Wiesz co, dziecko, ja się chyba teraz położę. Weź z szafki w przedpokoju moje klucze, żebyś nie musiała dzwonić, wracając z zakupami.

Monika roześmiała się.

- Ale ten pani komplet to jak u klucznika, waży pewnie z kilogram. Może jednak wezmę zapasowe...

- Kochanie, musisz wziąć moje, bo tych zapasowych nie ma.

- Jak to nie ma? Zgubiła je pani? - zaniepokoiła się Monika.

- Ależ nie - staruszka machnęła ręką, lekko zirytowana.
- Tylko dałam Weronce.

„Dziwne” - myślała Monika, idąc w kierunku sklepu.
„Jak pani Helena mogła dać klucze do mieszkania zupełnie obcej osobie?”

ROZDZIAŁ 5

w którym amplituda nastrojów gwałtownie rośnie

Becia wpadła do domu. Telefon rozdzwonił się, ledwo zdążyła podłączyć go do ładowarki.

Uradowana spojrzała na wyświetlacz. Paweł! Wzięła głęboki oddech...

- Tak, słucham? - powiedziała niepewnie.

- Ptaszku, to ja. Możemy porozmawiać?

Usiadła w pomarańczowym fotelu i podkuliła nogi. Serce trzepotało jej jak pensjonarce.

- Oczywiście. Ja... miałam rozładowany telefon i dlatego...

- Niepokoiłem się o ciebie. Wczoraj nagle się rozłączyłaś... Potem dzwoniłem kilka razy, pojechałem nawet do ciebie... Ale nie było cię, nie odbierałaś telefonów - głos narzeczonego brzmiał odrobinę szorstko. Widocznie naprawdę się o nią denerwował.

- Pawełku, tak mi przykro, naprawdę, nie chciałam, żebyś się o mnie martwił. Nocowałam u Moniki, chyba wiesz...

Nawet się nie zorientowała, że zamiast słuchać wyjaśnień, sama zaczyna się tłumaczyć. Narzeczoney zawsze tak na nią działał. W jego obecności czuła, że musi zasłużyć na uznanie, więc robiła, co mogła, żeby był z niej zadowolony. Ale przecież on też się starał: troszczył się o nią, opiekował i zapewniał jej bezpieczeństwo...

- Spotkałem się dzisiaj z Moniką. Chciałem się dowiedzieć, co się z tobą dzieje, czy wszystko w porządku. Beatko, ptaszku, posłuchaj, ta kobieta przed kawiarnią to tylko moja

klientka. Takie zwykłe spotkanie służbowe, rozumiesz? Jesteśmy dorośli i musimy sobie ufać. Zapomnijmy o całej tej sprawie, dobrze? I wszystko będzie jak przedtem.

- Dobrze, Pawełku, ja... - Becia rozpląkała się nagle załóżnie.

- Ptaszku, już dobrze, uspokój się. Zapomnij po prostu o tym. Mamy przecież tyle spraw do załatwienia. Pamiętasz, że na dzisiaj jest umówione spotkanie w drukarni?

W telefonie słyhać było jedynie ciche pochlipywanie Beci. W końcu uspokoiła się trochę.

- Pamiętam... ale zastanawiam się... Czy nie moglibyśmy tam pójść w poniedziałek?

- Dlaczego pytasz?

- Myślałam, żeby pojechać dziś do Czerwińska...

Mówiąc to, podświadomie oczekiwała, że będzie próbował ją zatrzymać. Ale nie, Paweł zrobił coś zupełnie innego, co wzruszyło ją dużo bardziej.

- Może w takim razie ja cię tam zawiozę?

- Do Czerwińska?

- Oczywiście, czemu nie?

- Ale... przecież ty nigdy nie masz po południu czasu.

- Znajdę jakoś te dwie godziny. Po co masz się tłuc sama kolejką po ciemku?

Naprawdę zaskoczył ją tą propozycją. Nie mogła uwierzyć, że jej wiecznie zajęty i zapracowany mężczyzna poświęci swoje sprawy zawodowe, żeby się nią zająć. Tak po prostu. Wzruszyła się i rozkleiła na nowo.

- Byłoby cudownie...

- No, to załatwione. Ale pod jednym warunkiem. Że przestaniesz wreszcie popłakiwać. Umowa stoi?

- Postaram się, kochanie. Na pewno możesz? Wiesz, jakie są korki po południu.

- To nie ma znaczenia. O czwartej kończę spotkanie i podjadę po ciebie. A może od razu załatwimy drukarnię?

Powiedział to mimochodem, ale Beata pomyślała, że jednak nie chce przekładać spotkania. Bardzo tego nie lubił.

- No nie wiem... Jakoś tak... Nie czuję się chyba dzisiaj na siłach, ale jeżeli ci zależy...

O dziwo, Paweł nie nalegał.

- OK. Pojedziemy tam w poniedziałek.

W słuchawce usłyszała brzęczenie telefonu stacjonarnego.

- Beciu, przepraszam, muszę kończyć, dzwoni klient. Bądź gotowa na wpół do piątej, dobrze? Całuję - i rozłączył się.

Beata siedziała jeszcze przez chwilę w fotelu, głaszcząc odruchowo pomarańczowe obicie. „Jakie to życie jest piękne” - pomyślała rozmarzona. Jeszcze wczoraj, zwinięta w kłębek w tym samym miejscu, szlochała nieszczęśliwie, a teraz czuła, jak skrzydła rosną jej u ramion.

„Wszystko będzie dobrze” - przekonywała ją Monika i miała rację. Paweł znowu był miły, kochany. W dodatku zadał sobie tyle trudu, żeby się w ciągu dnia wyrwać z firmy i zobaczyć z Moniką... To znaczy, że się niepokoi, troszczy, że mu naprawdę zależy. I w dodatku sam zaproponował, że ją odwiezie do Czerwińska! A przecież ma ryle na głowie. Nagle poczuła wyrzuty sumienia. Jak w ogóle mogła pomyśleć, że tamta kobieta w kawiarni...

Życie Beaty znowu wróciło w utarte koleiny. Co za ulga.

Spojrzała na stary zegar, wiszący nad komodą. Już prawie trzecia? No, to nie ma za dużo czasu. Poderwała się z fotela i popędziła do łazienki myć głowę.

* * *

Dzwonek rozległ się o szesnastej trzydzieści dwie. Pod-
ekscytowana pobiegła otworzyć, po drodze przeglądając się
w lustrze. Paweł stał na progu, oparty nonszalancko o fra-
mugę. Elegancki jak zawsze i z łobuzerskim uśmiechem na
ustach. Chował coś za plecami... Lekko pochylił się w jej
stronę.

- Przepraszam za spóźnienie - zaczął. - Ślicznie
dzisiaj wyglądasz, kochanie...

Pocałował ją delikatnie w policzek i podał bukiet róż tak
ogromny, że prawie nie mogła go objąć dłońmi. O mało
znowu się nie popłakała, tym razem ze szczęścia.

- Pawełku, nie trzeba było! Naprawdę!

Popatrzył jej głęboko w oczy i mocno objął.

- Przepraszam jeszcze raz za to... zamieszanie.

- Nie gniewasz się na mnie? - spytała Beata, pociągając
nosem i wpatrując się w jego ciemne oczy. Lśniły w nich
ciepłe bursztynowe błyski, które tak bardzo lubiła.

- Ja? Na ciebie? Oczywiście, że nie. Za co miałbym się
gniewać?

- Że zachowałam się jak histeryczka, że cię podej-
rzewałam, że nie chciałam z tobą rozmawiać...

- Daj spokój. To moja wina. Gdybym od razu sobie
przypomniał o tamtym spotkaniu... Ale nie mówmy już o
tym, trzeba jechać. Na siódmą mam umówionego kontra-
henta. Chodźmy.

Chwycił dużą czarną torbę, która stała w przedpokoju
pod lustrem, i ugiął się pod jej ciężarem.

- Co ty tam masz? - zdziwił się.

- Nic takiego, tylko żelazko.

48

Wzięła z szafki klucze i bukiet róż, nie było sensu zostawiać kwiatów w pustym mieszkaniu.

- Po co ci tam żelazko?
- Kupiłam je dla pani Anieli.

Paweł pokręcił głową z dezaprobatą.

- Naprawdę, nie masz już na co wydawać pieniędzy
- otworzył drzwi i wyszli na korytarz.

Beacie zrobiło się trochę przykro.

- Pani Aniela była najlepszą przyjaciółką mojej babci. Chyba mogę kupić jej prezent?

Ale nie doczekała się odpowiedzi. Musiała zamknąć mieszkanie, a Paweł w tym czasie oszczędził kilka kroków, żeby ściągnąć windę.

W samochodzie Beata milczała, słuchając, jak narzeczony prowadzi przez komórkę ustalenia w związku z transakcją, którą miał dopiąć na spotkaniu o dziewiętnastej. Co chwila poprawiał sobie słuchawkę w ucho i wtedy odwracał się do niej, uśmiechając się przeproszająco.

„Biedny, ma tyle spraw na głowie” - pomyślała. „I pewnie jak zwykle jutro poleci do Berlina...” Kilka miesięcy temu jego firma weszła na rynek niemiecki i mieli zamiar otworzyć tam filię. Pochłaniało to mnóstwo czasu i zabierało weekendy jeden po drugim. Nawet Beatka zaczynała już powoli tracić cierpliwość.

O dziwo, ruch na szosie był niewielki i udało im się dojechać w godzinę.

Wysiadając z samochodu, Beata aż krzyknęła z zachwytem.

- Pawełku! Zobacz! Jakie to piękne!

Po obu stronach bramy rosły dwa rozłożyste sumaki o koronach jak baldachimy. Latem zielone, z wysokimi kwiatostanami koloru bordo, teraz przebarwiły się na intensywny czerwony, poprzątkany mocnymi żółtymi akcentami. Wyglądały jak pomalowane.

- Tak, piękne. Becia, otwórz dom i sprawdź, czy wszystko w porządku, zanim odjadę.

Postawił na ziemi torbę Beatki i położył na niej bukiet róż.

Wbiegła po schodkach i otworzyła kluczem zewnętrzne drzwi na oszklony ganek. Rozejrzała się dookoła, ale wszystko było jak zwykle na swoim miejscu. Stara półka na buty, dwie pary wielkich męskich kaloszy, które należały kiedyś do jej dziadka, kamienne garnki, ustawione na pomalowanej na niebiesko skrzyni... Nie sądziła, żeby ktokolwiek chciał się kiedyś połaszczyć na te skarby, ale dom stał pusty, więc w zasadzie wszystko mogło się zdarzyć. Przekreśliła klucz w drzwiach wejściowych. Uchyliła je i zajrzała do środka. W sieni panował półmrok i pachniało lekko stęchłą. Jak zawsze. Weszła i szybko sprawdziła pokoje i kuchnię.

- Wszystko dobrze - zameldowała Pawłowi. - Ale może zostaniesz na chwilę? Strasznie bym ci chciała wszystko pokazać!

- Nie mogę, już szósta. Następnym razem... Teraz muszę lecieć.

Pocałował ją i przytulił na pożegnanie.

- Będę dzwonił. Uważaj na siebie. Kiedy wracasz do Warszawy?

- W niedzielę, jakoś tak po południu.

- Ja przylatuję z Berlina koło piątej, mogę, jadąc z lotniska, wstąpić po ciebie. Pójdziemy gdzieś na kolację.

- Będę czekać. Jedź ostrożnie, pa.

Zatrzasnęła za nim drzwiczki auta i nachyliła się do otwartego okna.

- Pawełku, a jak długo jeszcze potrwa ten Berlin?

- Mam nadzieję, że jak najdłużej - uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. - To naprawdę świetny interes.

- Chodzi mi o te twoje wyjazdy w każdy weekend, wiesz przecież.

- Jeszcze miesiąc, najwyżej dwa. Jak tylko dopnę wszystko na ostatni guzik i biuro będzie mogło pracować samodzielnie. Kochanie, muszę się spieszyć. Zadzwoń wieczorem.

Wrzucił wsteczny i płynnie zawrócił na niewielkiej przestrzeni podwórka. Patrzyła za nim, dopóki samochód nie zniknął za zakrętem. A potem zapięła suwak kurtki i poszła wieczerze z sadu trochę jabłek.

* * *

Za oknami powoli zapadał wieczór. Zachodzące słońce przeświecało czerwonymi promieniami przez pożółkłe liście rosnących wzdłuż drogi jarzębin. Na dworze zrobiło się chłodno i zimne powietrze zaczęło wciskać się niepostrzeżenie do wnętrza domu.

Beata ocknęła się z drzemki i zadrżała. Zamiast otulać się kocem, powinna raczej wstać teraz z fotela i rozpalić w piecu, ale nie chciało jej się na razie opuszczać ciepłego schronienia. Spojrzała na zegarek. Spała tylko kilkanaście minut, ale całe zmęczenie i napięcie gdzieś znikło. Przeciągnęła się jak kot i rozprostowała nogi. Jak to dobrze, że zdecydowała się przyjechać do Czerwińska. To było jej magiczne miejsce, gdzie regenerowała siły, nabierała dystansu do życia, do siebie i swoich problemów. Choć nie zawsze czuła się tu tak dobrze...

Tamto lato pamiętała wyjątkowo wyraźnie...

Noce przepłakane pod koldrą, szopę, w której spędzała całe dnie, czytając książki, ulubioną brzozę, do której przytulała się, powierzając jej szeptem swoje sekrety. To było lato po śmierci rodziców.

Zginęli w wypadku samochodowym, wracając ze ślubu kuzyna ojca. Beatka miała wtedy dziesięć lat, Michał osiem.

Nie rozumieli zupełnie, co się stało. Ustalono, że babcia Aleksandra zajmie się nimi tak długo, jak to będzie potrzebne. I choć przyjęła ich z otwartymi ramionami, na początku nie czuli się tu dobrze. Samotni, przestraszeni, tęsknili za rodzicami, swoim mieszkaniem, kolegami z klasy... To było dla nich bardzo ciężkie lato.

A potem poszli do miejscowej szkoły i wszystko pozornie wróciło do normy. Beatka znalazła w babci Oli pokrewną duszę i łatwo się zaadaptowała w nowych warunkach. Było jej bardzo żal, kiedy parę lat później musiała się przenieść do Warszawy, gdzie miała się uczyć w liceum. Co innego Michał. Od początku miał pretensję do losu, że utknął w tak beznadziejnym i nieciekawym miejscu. I nigdy naprawdę nie polubił Czerwińska.

Beatka westchnęła. W domu robiło się coraz zimniej. Chcąc nie chcąc, wygrzebała się w końcu spod koca i sięgnęła po stare gazety na podpałkę i drewno, które przyniosła wcześniej z szopy. Było dobrze wysuszone, więc szybko zajęło się jasnym płomieniem, ogrzewając białe kafle. Beata uwielbiała ten moment, kiedy piec z zimnego i odpychającego zmieniał się w ciepłe i przyjazne miejsce. Stała tak chwilę przy nim, grzejąc się, a potem poszła znowu do kuchni, żeby zrobić sobie kolację. Była bardzo głodna.

Weszła do środka, zapaliła górną lampę i nagle krzyknęła.

Światło wydobyło z mroku za oknem czyjaś twarz!

Beata przez chwilę wpatrywała się w nią, przerażona.

A potem rzuciła się do drzwi wejściowych i gwałtownym ruchem przekreśliła zasuwę.

Pobiegła do pokoju. Musiała znaleźć komórkę. Rozdygotana, wytrząsnęła zawartość torebki na podłogę.

Jest! Złapała telefon i drżącą ręką wystukała numer Pawła. Nie odbierał.

Zadzwoniła jeszcze raz i wykrzyczała do słuchawki:

- Ktoś tu jest! Boję się okropnie! Pawełku, odezwij się szybko!

Potem przysiadła ostrożnie na brzegu krzesła. Wlepiała oczy w ciemny prostokąt okna, chociaż na samą myśl, że znowu zobaczy intruza, robiło jej się słabo.

Przez jakiś czas nic się jednak nie działo. Na dworze panowały nieprzeniknione ciemności. Gdzieś daleko we wsi poszczekiwał natarczywie pies i szumiały głośno drzewa w sadzie, targane silnym wiatrem. Becia zaczęła powoli odzykiwać równowagę.

I nagle znowu za oknem zamajaczyła biała, niewyraźna plama twarzy.

Becia, przerażona, zerwała się na równe nogi. Twarz znikła równie nagle, jak się pojawiła. Po prostu rozplynęła się w powietrzu. Rozległ się hałas, jakby ktoś biegł, przedzierając się przez rosnące wokół domu krzaki.

Zdenerwowanie Beatki sięgnęło szczytu. Trzęsącymi się rękami wybrała pospiesznie numer Moniki. „Jeśli ona nie odbierze, chyba zwariuję!!!” - pomyślała w panice. Trzy dzwonki, a potem w słuchawce zabrzmiał spokojny głos przyjaciółki.

- Tak, słucham?

- Jak to dobrze, że jesteś!

- Co się stało? Masz dziwny głos.

- Monika, tu się ktoś kręci! Widziałam w oknie czyjąś twarz!

Monika potraktowała sprawę zdroworoządkowe Jak zwykle.

- Jaką znowu twarz? Uspokój się. Pewnie jakiś miejscowy zaglądał przez okno. Mało to się ciekawskich kręci?

- Ale to było przerażające! On tu ciągle jest. Przed chwilą znowu go widziałam!

- Eee tam, nie panikuj. Jak zwykle przesadzasz. Ktoś sobie wygłupy robił i tyle.

- Monisiu, ja tu jestem sama! Boję się! - wykrzyczała Beata.

- O matko, gorzej niż z dzieckiem... Może ten ktoś chciał się włamać, zobaczył ciebie i zrezygnował, rozumiesz? Nie ma co podnosić alarmu. Zamknij porządnie drzwi i przestań się przejmować.

- A jak on się dostanie do środka? - wyjęczała Beca.

- Wiesz co, z tobą naprawdę jest coś nie tak. Dorosła jesteś. Sprawdź zamki i okna i po prostu idź spać. Zobaczysz, rano się będziesz z tego śmiała.

- Monisiu, posłuchaj... - zaczęła Beca i nagle krzyknęła w słuchawkę.

- Beata! Co tam się dzieje?! - zdenerwowała się natychmiast Monika.

- Tu coś stuka! Na ganku! On jest w środku! O Jezu, o Jezu, co ja mam robić?!

- Posłuchaj! Musisz się gdzieś schować! Leć do łazienki, zamknij się i dzwoń na policję! Szybko!

Beata posłusznie pobiegła do łazienki, przekręciła klucz i ostrożnie przysiadła na brzegu starej wanny. W pomieszczeniu pozbawionym okna poczuła się wreszcie trochę bezpieczniej. Nie na długo.

Hałasy dobiegające od strony ganku przybrały na sile. Słysząc było wyraźnie, jak ktoś dobija się gwałtownie do drzwi wejściowych. Beata zacisnęła spazmatycznie dłoń na komórcie i przerażona wyszeptwała:

- Monisiu, jest na ganku, zaraz się tu dostanie...

- Beata, musisz... - usłyszała jeszcze, po czym połączenie nagle się urwało.

Becia spojrzała na ekran telefonu i zrobiło jej się słabo. Zamiast czterech kresek, które były tam jeszcze niedawno, zobaczyła symbol pustej baterii.

- O Boże. Rozładowany! Jak to się mogło stać?

„Niemożliwe - pomyślała - to się nie dzieje naprawdę”. Trwała w bezruchu, czekając, co stanie się dalej. Łomot do drzwi powtórzył się. Coraz bardziej natarczywy.

- Kochanie! - usłyszała nagle stłumiony głos. - Kochanie! Jesteś tam?

- Paweł!?

Ulga, jaką poczuła, nie dała się porównać z niczym. Wybiegła z łazienki, rzuciła się do sionki. Rozdygotanymi rękami pospiesznie odblokowała zasuwę i po chwili znalazła się bezpiecznie w silnych ramionach Pawła. Wtuliła się w niego najmocniej, jak potrafiła.

- Pawełku, kochany, jak to dobrze, że jesteś! - wyszeptała i rozpląkała się, z nerwów i ze szczęścia.

Narzeczoney objął ją mocno i weszli do środka.

- Co się stało?

Usiedli przytuleni na starej kanapie babci. Becia wybuchła chaotycznymi wyjaśnieniami.

- Uspokój się, kochanie. Przecież jestem. Kontrahent odwołał spotkanie. A ja cały czas o tobie myślałem... Wsiadłem w samochód i jestem.

- Pawełku, ja... nagrałam ci wiadomość....

- Wiadomość? Cholera, musiałem gdzieś zapodziać telefon, bo nic nie słyszałem - objął ją mocno, ale ona wyrwała się nagle i przerażona wlepiła w niego oczy.

- Może powinniśmy wezwać policję?

- Po co, przecież już wszystko w porządku! Jestem przy tobie...

Beata powoli się uspokajała. Obecność Pawła działała na nią jak balsam. Przysunęła się znowu bliżej do narzeczonego

i popatrzyła na niego zatroskana. Pod oczami miał głębokie cienie. Dotknęła dłonią jego policzka.

- Pawełku, pewnie jesteś strasznie zmęczony...

- Ależ skąd. Napiłbym się tylko dobrej herbaty. Zrobisz?

A ja pójdę się przez ten czas rozejrzeć na podwórku - pocałował ją w czoło i wstał z kanapy.

Beata puściła go niechętnie.

- Tylko uważaj na siebie, dobrze? - przytrzymała jeszcze jego rękę.

- Nie martw się, przecież nie jestem ofiarą - puścił do niej oko i wyszedł. Nie było go prawie kwadrans, a kiedy wrócił, Beata kończyła właśnie przygotowania do kolacji.

- Bardzo zmarzłeś? - zapytała.

Podeszła i objęła go mocno w pasie. Przytuliła twarz do jego marynarki i poczuła zapach wody kolońskiej i świeżego powietrza. Uśmiechnęła się. Paweł przyjechał i wygląda na to, że spędzą razem noc. W Czerwińsku... Czy mogła marzyć o czymś więcej?

ROZDZIAŁ 6

mówiący o tym, jak to Beatka wzywa Monikę, a łysy Ko-
byłkową

Kiedy się obudziła, Pawła już nie było. W nocy, zanim usnęła wtulona w niego, uprzedził, że musi być w Warszawie najpóźniej o siódmej rano. „To niesamowite” - pomyślała wtedy. „Przyjechał do mnie tylko na kilka godzin... Kochany...” Znowu było między nimi tak jak dawniej. Cała ta afera z tajemniczą kobietą w kawiarni okazała się tylko wytworem jej wybujałej wyobraźni.

„Jak mogłam mu nie ufać” - zastanawiała się w poczuciu winy. „Jak mogłam tak histeryzować?”

Beata odrzuciła kołdrę i odruchowo znowu się przykryła. Zimno. Noc, jak na wrzesień, była wyjątkowo chłodna. Na szczęście nie musiała jeszcze wstawać. Sięgnęła po leżący na krześle ciepły wełniany sweter i wciągnęła go na piżamę. Potem poprawiła poduszkę i przysunęła do siebie stos książek, leżących na nocnej szafce. Znalazła wśród nich grubą i apetyczną biografię Windsorów, którą od razu zaczęła przeglądać.

Kiedy właśnie się zastanawiała, czy opłaca się znowu wyjąć rękę spod ciepłej kołdry, żeby przerzucić kolejną stronę, zadzwonił telefon. Na stole. „Ojej - pomyślała bezradnie - ale daleko”. Jednym susem wyskoczyła z łóżka, chwyciła aparat i z powrotem zanurkowała w ciepły puch.

- Wstałaś już, kochanie? - usłyszała daleki głos Pawełka.

- Dlaczego mnie nie obudziłeś, wychodząc? - spytała z żalem.

- Chciałem, żebyś się porządnie wyspała. Wszystko w porządku?

- No, nie wszystko, kochanie... Ciebie tu nie ma...

- Pojutrze się przecież zobaczymy. Zdecydowałaś już, kiedy wracasz do Warszawy?

Beata spojrzała w stronę okna. Przez firanki przedzierało się nieśmiało słońce.

- Wygląda na to, że dzisiaj będzie piękna pogoda...

- Nie odpowiedziałas mi na pytanie.

- Może zostanę do niedzieli...

- Nie będziesz się bała?

- Trochę będę. Ale z drugiej strony żal mi wyjeżdżać.

W jasnym świetle dnia wszystko wydawało się Beatce stosunkowo proste.

- Zastanów się jeszcze. Muszę kończyć, ptaszku. Całuję. Zadzwoń mi potem.

W lodówce znalazła dwie kanapki, przywiezione wczoraj z Warszawy. Popiła chleb z salami gorącą herbatą i kiedy przyjemne ciepło rozeszło się w jej żołądku optymistyczną falą, wpadła na świetny pomysł. Nie zastanawiając się długo, złapała za telefon.

- Moniczka, to ja, oddzwoń na przerwie – nagrała się na automatyczną sekretarkę.

Monika odezwała się po jakichś pięciu minutach.

- Co ja się przez ciebie wczoraj strachu najadłam - zaczęła utyskiwać. - Jeszcze się gorzej bałam niż ty! Wiesz, jakie to uczucie, siedzieć pięćdziesiąt kilometrów od przyjaciółki, którą zaraz napadnie jakiś bandyta, i nie móc nic zrobić? To ja ci powiem - denerwujące.

Beata roześmiała się ciepło.

- Wierzę. I wiesz co, Monisiu? Mam pomysł, jak ci dzisiaj zaoszczędzić podobnych sensacji.

- Jedyńy sposób to taki, że wracasz w podskokach do Warszawy.

- Miałam coś innego na myśli - Bacia zawiesiła głos, żeby przyjaciółka domyśliła się sama, o co chodzi.

- To znaczy konkretnie co?!

Beatka zaczerpnęła tchu i wypaliła:

- A może ty byś przyjechała do Czerwińska? Co, Moniczka?

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza.

- Powtórz, proszę - usłyszała Beata po chwili.

- Przyjedź, kochana, bez ciebie umrę na zawał.

- Czy ty nie przesadzasz? A nie prościej by było, gdybyś nie robiła takich cyrków i po prostu wróciła do domu?

- Moniczka, kochana, tak tu teraz ślicznie, słońce grzeje, przyjedź, poopalamy się, pozbieramy jabłka... Proszę cię...

Monika westchnęła.

- Co ja z tobą mam! No dobra. Twoje szczęście, że kończę dzisiaj wcześniej zajęcia.

- Jesteś wspaniała, wiesz? Daj znać, którym pociągiem jedziesz, to wyjdę po ciebie na stację.

- Dobra, dobra, nie podlizuj się. Do zobaczenia wieczorem.

Beata odetchnęła z ulgą. Jak dobrze, że zawsze może liczyć na Monikę.

Kiedy koło południa poczuła w żołądku nieprzyjemny skurcz głodu, wcisnęła do kieszeni dzinsów pięćdziesiąt złotych i telefon komórkowy. Potem wyjęła jeszcze z torby żelazko dla pani Anieli, chwyciła sweter z wieszaka i wyszła, zamykając dokładnie drzwi.

„Ależ pogoda” - pomyślała zdziwiona i sweter, zamiast włożyć, przewiązała sobie na biodrach. W słońcu musi być

ze dwadzieścia pięć stopni. Jaka szkoda, że Pawełek wyjechał. Mogliby cały dzień łązić po lesie albo zbierać jabłka w sadzie...

„Właściwie całe nasze bycie razem składa się z mojej za nim tęsknoty” - westchnęła w duchu. Paweł ciągle tylko pracował, a nawet kiedy nie siedział w firmie albo nie załatwiał interesów, to przynajmniej o nich myślał. Owszem, był miły, czuły, troskliwy, ale to ona cały czas musiała się dostosowywać do jego trybu życia, nie on do niej.

Kopnęła leżący na drodze kasztan. „Kiedyś były dużo większe” - przypomniała sobie. „I bardziej błyszczące”. Na lekcjach ZPT robili z nich ludziki i różne śmieszne zwierzątka. Ciekawe, czy dzisiaj też się dzieci bawią w ten sposób. Spojrzała w górę, na rozłożystą koronę drzewa. Liście nie były, tak jak powinny, zielono-złote, ale szare i poskręcane. „No przecież, ta choroba!” - uprzytomniła sobie. Jakiś wstrętny robał zżera kasztanowce. Gdzieś ostatnio słyszała nawet jego nazwę...

Tak, tryb życia narzeczonego wymagał od niej ciągłych kompromisów. Musiała się do niego dostosowywać, ale chyba nawet w jakimś sensie to lubiła. A że Paweł był troszkę dominujący... No cóż, mężczyzna powinien być stanowczy i zdecydowany. To takie miłe mieć przy sobie kogoś, kto zawsze w odpowiednim momencie poda silne ramię i wszystkim się zajmie. Pawełek był pod tym względem naprawdę wyjątkowy, wszystkie koleżanki jej zazdrościły, może z wyjątkiem Moniki, ale ona po tych swoich nieudanych romansach była uprzedzona do wszystkich facetów w ogóle, a do przystojnych w szczególności...

Zamyślona Beatka potknęła się o wystający ze ścieżki dębowy korzeń i ledwo udało jej się złapać równowagę.

Gdzieś niedaleko znajomo zaszczekał pies. Beata zbliżała się do asfaltowej drogi do wsi, przy której mieszkała pani Aniela. Starsza pani miała koło osiemdziesiątki i przez lata przyjaźniła się z babcią Olą. Becia lubiła do niej wpadać od czasu do czasu.

Domek pani Anieli był malutki. Niewielkie, schludne podwórkko, wszędzie kwiaty: na parapetach, w ogródku, wzdłuż płotu, pnąca róża oplatająca ganek... Beacie to miejsce kojarzyło się z atmosferą bajek z dzieciństwa.

- Pączek, to ja, nie poznajesz mnie, staruszkę?

Otworzyła furtkę i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać opalesłego, łaciatego kundelka nie pierwszej młodości, który jeszcze przed chwilą na nią poszczekiwał. Teraz zaczął machać krótkim ogonkiem i podskakiwać radośnie. Pewnie miał nadzieję dostać coś dobrego. Straszny był z niego zawsze łasuch.

W otwartych drzwiach stanęła pani Aniela, rozkładając szeroko ramiona.

- Beatko, nareszcie! Tak sobie dzisiaj myślałam, że może przyjedziesz. No i proszę!

Beata przywitała się ze staruszką serdecznie i podała jej torbę.

- Jesteś niemożliwa - pokręciła głową pani Aniela, zaglądając do środka. - Nie możesz mi robić takich drogich prezentów, kto to widział, żeby na starą babę tyle pieniędzy wydawać! Ale miałam przeczucie, że przyjedziesz, więc rano upiekłam ciasto.

- Wzięłam sobie dwa dni urlopu i przyjechałam wczoraj wieczorem. Pani Anielo, niech mi pani powie, czy tutaj jest bezpiecznie?

- Bezpiecznie? Dlaczego pytasz, dziecko?

- Bo wczoraj wieczorem ktoś się kręcił po moim podwórku... Zaglądał w okna...

Pani Aniela przysiadła na taborecie.

- Oj, kochaniutka, ja tu już tyle lat sama mieszkam i nigdy nic się nie działo. Co prawda kręcą się tu ostatnio jacyś tacy... w eleganckich samochodach, ale gdzie by tam w nocy po podwórku łazili!

Beata nadstawiła uszu.

- Ktoś się tu kręci, pani Anielo?

- Ano tak. Kilka razy widziałam, jak takimi dużymi autami waszą drogą się tłukli, ależ nimi kiwało na tych dziurach! Ale chyba przez pomyłkę, bo zaraz wracali. Zresztą, ta droga to się na waszej bramie kończy. Po co by się tam pchali niby, jak dom pusty stoi?

- Rzeczywiście, ma pani rację, pewnie ktoś im coś źle wytłumaczył i skrzył nie w tę drogę, co potrzeba. A co nowego w miasteczku, pani Anielo?

Pani Aniela, pomimo tego, że mieszkała z dala od centrum wydarzeń, zawsze i o wszystkim była świetnie poinformowana. Toteż rozparła się wygodnie, założyła ręce na brzuchu obleczonym w pasiasty fartuch i z przyjemnością przystąpiła do opowiadania.

- Hmm... Pamiętasz męża Józwikowej? Taki pijaczek, pod sklepem często stał. Albo leżał, jak skądś więcej pieniędzy wykombinował. Oj, miała ta Józwikowa z nim krzyż pański. No i w zeszłym tygodniu ktoś go potracił samochodem. Znaleźli go w rowie, już nie żył. Teraz przynajmniej biedna Józwikowa trochę odetchnie i jakieś pieniądze wreszcie będzie miała, bo wcześniej co ona zarobiła, to on przepijał. Mówię ci, Beciu kochana, jak to trzeba uważać, za kogo się za mąż wychodzi... - pani Aniela popatrzyła na dziewczynę zatroskanym wzrokiem.

Beata roześmiała się i pogłaskała staruszkę po rękę.

- Wiem, wiem...

- Nie myśl sobie, że ja coś mam do tego twojego narzeczonego! Co to, to nie! Tylko czy on na taki skarb jak ty zasłużył? A ślub to już jakoś niedługo, prawda?

Siedziały jeszcze chwilę przy herbacie, a pani Aniela, zaintrygowana, wypytywała o szczegóły uroczystości. W końcu Beata pod pretekstem zakupów zaczęła się zbierać do wyjścia. Pożegnały się, Beata poklepała Pączka po głowie i ruszyła w stronę miasteczka.

„Jak dobrze, że mam to już za sobą” - pomyślała. Od początku wiedziała, że informacja o ślubie tylko w Urzędzie Stanu Cywilnego nie spodoba się staruszce. Ale tak zdecydowali z Pawłem, klamka zapadła.

Z zamyślenia wyrwał ją klakson samochodu. Przerazona, odskoczyła na pobocze.

Obok niej przemknęło lśniące czarne bmw, musiało pędzić przynajmniej sto dwadzieścia na godzinę. „Wariat” - wzdrygnęła się Beata. „Po takiej wąskiej drodze! Głupota ludzka nie zna granic!”

Weszła między pierwsze domy Czerwińska. Nie dochodząc do placu, skręciła w lewo, w wąską uliczkę wyłożoną kocimi łbami, przy której mieścił się najlepszy, w mniemaniu mieszkańców, sklep mięsny w mieście.

Beata zeszła po trzech schodkach do pomieszczenia położonego w suterynie, otworzyła drzwi i z westchnieniem ustawiła się na końcu pięcioosobowej kolejki. „To sobie postoję” - pomyślała zrezygnowana. W każdym innym sklepie byłaby przy ladzie po pięciu minutach, ale nie tutaj. Tu, krojąc wędlinę czy wybierając kawałek mięsa, właścicielka, pani Kryśka, wypytywała dokładnie, jakiej grubości mają być plasterki, kto z rodziny co lubi i tak dalej. Niestety, te konwersacje nie przyśpieszały obsługi. Nie przyśpieszało jej też mielenie mięsa w zabytkowej ręcznej maszynce ani wyjaśnianie, jak się doprawia gulasz z żołądków. Jednym słowem, ustawiając się w kolejce jako szósta, Beata musiała sobie zarezerwować jakieś pół godziny. Znudzona, postanowiła się wyrwać po gazetę, zajęła więc kolejkę i wyszła.

Przed kioskiem stało zaparkowane lśniące czarne bmw. Obok auta potężny, łysy grubas w czarnym golfie, z ciężkim złotym łańcuchem na szyi, wypytywał o coś jakąś kobiecinę z siatkami. „To, zdaje się, ten wariat, co mnie o mały włos nie przejechał. Wstrętny typek” - pomyślała Beata z niechęcią.

Kiedy z „Wyborczą” pod pachą wróciła do mięsnego, pani Krysia ciągle obsługiwała tę samą osobę co poprzednio. Beata westchnęła i przez chwilę chciała nawet zrezygnować, przecież mogłyby się z Moniką obejść bez swojskiej szynki, ale w końcu machnęła ręką, oparła się o ścianę i rozłożyła gazetę. Tak naprawdę nie spieszyło jej się nigdzie.

- I wiesz, ile jej zaproponowali? Dwadzieścia tysięcy dolarów!!! Wyobrażasz to sobie? Za taki marny kawałek ziemi?

Dwie zażywe kobiety po pięćdziesiątce rozmawiały ze sobą półgłosem, ale w ciasnym wnętrzu nie sposób było ich nie słyszeć. Nie mogąc się skupić na artykule, Beata zaczęła śledzić ich rozmowę.

- Może i marny, ale komuś na nim zależało. Najpierw jej proponowali jakieś grosze, to powiedziała, że tu się urodziła i tu chce umrzeć, żadnej ziemi nikomu nie sprzeda. A jak podnieśli cenę, to się zorientowała, że im zależy, i ich przetrzymała. Kto by przypuszczał! Tak to sprytnie rozegrała!

- Danusia, żeby ktoś tak mnie zaproponował tyle pieniędzy za dom, tobym się nie zastanawiała. Ta Jakubiakowa to miała szczęście! Wierzyć się nie chce! Teraz sobie mieszkanie kupuje w mieście, nową kuchenkę, lodówkę, telewizor, jak królowa będzie żyła.

- Ale sama tam będzie, wśród obcych. Ja to nie wiem, czybym się zdecydowała... Nawet za duże pieniądze... A wiesz, po co oni tę ziemię kupują? Jakaś budowa ma tam,

być zdaje się. Słyszałam, że market duży będą stawiać...

- Nie market, tylko podobno obwodnicę mają pociągnąć, a zresztą nie wiem, różnie ludzie gadają. Chyba musieli już plany w gminie zatwierdzić, bo co chwila słychać, że znowu ktoś coś sprzedał. Ludzie się chętnie wynoszą. Wcześniej nikt nawet nie marzył o takiej cenie za metr.

- A ja bym się nie wyniosła - pani Danusia dumnie uniosła podbródek.

W tym momencie drzwi sklepu otworzyły się gwałtownie i stanął w nich zwałisty właściciel bmw. W ciasnym wnętrzu wydawał się jeszcze grubszy, jeszcze wyższy i jeszcze bardziej nie na miejscu. Musiał wcześniej nieźle się nabiegać, bo na jego łysej głowie lśniły wielkie krople potu. Stał tak przez chwilę, rozglądając się po ludziach, i nagle huknął donośnym głosem:

- Kobyłkowej szukam! Danuty Kobyłkowej! Jest tu może??

Cała kolejka odwróciła się w jego stronę, a jedna z zazwyczajnych dam, które przed chwilą dyskutowały o wykupie ziemi, wystąpiła krok naprzód.

- To ja, a o co chodzi?

- Pani pozwoli na zewnątrz, interes jest - i spocony grubas, nie czekając na odpowiedź, wyszedł ze sklepu.

ROZDZIAŁ 7

czyli daleko idące konsekwencje wizyty na strychu

- O Boże, o Boże!!! - jęczała Beata, a z oczu strumieniami płynęły jej łzy.

Właśnie wychodziła z domu, żeby pójść po Monikę na stację, kiedy źle postawiona stopa przechyliła się na kamieniu i coś trzasnęło w kostce tak, że Beatę aż zamroczyło z bólu. Dokuśtykała z trudem do schodków, usiadła na stopniu i wyjęła z kieszeni telefon.

- No cześć, już dojeżdżam. Co tam? - Monikę ledwo było słyszeć przez hałas pociągu.

- Monisiu, skręciłam nogę i nie dam rady po ciebie wyjść. Trafisz sama?

- Jasne, nie przejmuj się. Może wstąpić po drodze do apteki? Masz bandaże?

- Mam, mam...

- To czekaj spokojnie, niedługo będę!

- Tak jest, szefowo.

Monika wrzuciła telefon do plecaka. „Cholera - pomyślała - co jest z tą Becią? Jak nie urok, to przemarsz wojsk. Ciekawe, co miała w horoskopie na ten miesiąc? Bo na razie katastrofa goni katastrofę”.

Pociąg zaczął zwalniać i za oknami pojawiły się pierwsze zabudowania. Monika ustawiła się tuż przy drzwiach, a kiedy tylko znalazła się na peronie, ruszyła energicznym krokiem w kierunku wyjścia.

Tuż za budynkiem dworca zaczynała się ścieżka wydeptana przez tych, którym się spieszyło. Prowadziła najpierw wzdłuż torów, a potem skręcała w las. Kiedy Monika

weszła między drzewa, przyspieszyła kroku. Zaczynało się ściemniać i poczuła się trochę nieswojo... Przez chwilę wydawało jej się nawet, że ktoś za nią idzie, ale kiedy gwałtownym ruchem obejrzała się za siebie, nie zobaczyła nikogo. „Bez sensu, zaczynam popadać w paranoję” - pomyślała ze złością.

Po kilku minutach szybkiego marszu drzewa wokół przeczłoniły się wyraźnie i po chwili Monika wyszła z lasu na otwartą przestrzeń. Stąd było już niedaleko. Ścieżka wspinała się na niewielkie wzgórze, a potem opadała w dół, wzdłuż sadu należącego kiedyś do babci Beaty. Teraz jego właścicielem został Michał.

Monika zatrzymała się na chwilę na szczycie pagórka. Widać stąd było wyraźnie dom Beaty i otaczające go podwórko, w oknie kuchni paliło się już światło. Zimny powiew wiatru sprawił, że Monika zadrżała. Postawiła plecak na ziemi, wyjęła z niego sweter i wciągnęła na siebie. A kiedy schyliła się, żeby podnieść bagaż, tuż przy ścieżce zauważyła coś dziwnego. W jednym miejscu leżały pety, chyba z dziesięć. Ktoś tu musiał stać dłuższy czas, żeby ich tyle wypalić. Ciekawe po co, w tym szczerym polu.

Nagle przypomniała jej się scena z jakiegoś kryminału, kiedy policjant znajduje na chodniku stos niedopałków i już wie, że w tym miejscu na pewno stał samochód, z którego przez dłuższy czas ktoś kogoś obserwował. To skojarzenie było tak abstrakcyjne, że aż się roześmiała. Bo niby co lub kogo można by z tego pagórka obserwować? No, chyba że jakiś facet zasadził się tu z lornetką, żeby podglądać, jak się Beatka myje w łazience.

Monika roześmiała się, złapała plecak i szybkim krokiem ruszyła w dół, wzdłuż płotu. Kawałek dalej znalazła otwartą furtkę. Przechodząc obok kuchennego, jasno oświetlonego okna, w ostatniej chwili powstrzymała się, żeby nie rzucić

kamykiem w szybę. „Becia chybaby padła na zawał!” - zachichotała i energicznie zapukała do drzwi.

Po chwili przykuśtykała Becia i ze zboląłą miną wpuściła ją do środka.

- Chodź, kolacja czeka.

Monika rzuciła plecak w kąt, usiadła przy stole i przysunęła sobie talerz z kanapkami.

- No dobra, opowiadaj, co tu się wczoraj działo. Tylko ze szczegółami.

- Nie mogę, jem - odpowiedziała niewyraźnie Beata, pogryzając kawałek swojskiej kiełbasy.

- To zjesz za chwilę! Nie po to jechałam taki kawał drogi, żeby się przyglądać, jak przeżuwasz! Gadaj, Becia!!!

Beata skrzywiła się i sięgnęła po herbatę.

- Ależ ty jesteś brutalna.

Przełknęła i zaczęła opowiadać. Monika słuchała uważnie, kręcąc ze zdziwienia głową.

- Pewnie jakiś chłopak ze wsi zaglądał przez okno. Z ciekawości.

- Może i z ciekawości, ale i tak mnie okropnie przestraszył. Tak się cieszę, że jesteś, Monisiu, od razu mi rażniej. Bo jak sobie pomyślę, że ktoś znowu mógłby się tu kręcić...

- Beatka, co ty znowu opowiadasz! Ty to masz jakąś manię prześladowczą. Nie znam spokojniejszego miejsca niż Czerwińsk - roześmiała się Monika.

I w tym momencie z góry dobiegł ogłuszający, metaliczny łoskot, tak głośny, że obie aż podskoczyły. Patrzyły na siebie przerażone, niezdolne do jakiegokolwiek reakcji.

- Co to? - wyszeptała Beata. Monika położyła palec na ustach.

- Ciiiicho, słuchaj.

Na górze rozległo się stłumione szuranie, jakby ktoś coś ciągnął po podłodze.

- Monika, ja się boję. Uciekajmy! - Beata była blada jak ściana.

- Jak? Dokąd? Z tą skreconą nogą? - syknęła ze złością Monika. - Uspokój się.

Przez chwilę jeszcze siedziały bez ruchu, nasłuchując, ale na górze zapanowała cisza.

- Ile jest wejść na strych? - zapytała Monika, wstając nagle z krzesła i podchodząc do okna.

- Jedno, schodami z sieni. Ale można też po drabinie, przez okienko w dachu.

- Od której strony jest to okno?

- Tu, na lewo.

- Więc gdyby ktoś chciał wejść, toby drabinę postawił gdzie tutaj? - Monika otworzyła okno i wychyliła się, rozglądając się po podwórku.

- Monika, przestań, schowaj się, jeszcze nas zobaczy! - Beata zerwała się z kanapy i na jednej nodze zadziwiająco sprawnie doskoczyła do przyjaciółki, żeby ją odciągnąć w głąb pokoju.

- Zostaw, zwariowałaś? Przecież jeżeli tam jest na górze, to i tak nas musiał wcześniej słyszeć, no nie? Zobacz, nie ma żadnej drabiny. Czyli że nikt z zewnątrz nie mógł się tam dostać.

- A może on siedzi na strychu od rana? - zasugerowała Beata, absolutnie przekonana, że nad ich głowami czai się bandyta.

- Puknij się w czoło - oświadczyła stanowczo Monika. - Jak to sobie wyobrażasz? Że wytresował drabinę? Kazał jej się schować w krzakach i czekać na gwizdnięcie? Daj spokój.

Beata wróciła na kanapę i owinęła się kocem. Nie podołała jej się ta cała sytuacja.

- Słuchaj, Becia, jeżeli mamy tu zostać, jest tylko jeden sposób, żebyśmy mogły spać spokojnie. Musimy pójść na górę i sprawdzić.

Beata jęknęła i nakryła głowę kocem. Tego się właśnie obawiała.

- Nigdzie nie idę! Wybij to sobie z głowy. Nie, nie, NIE!
- zaprotestowała gwałtownie ze swojego schronienia.

- No dobra, jak sobie chcesz, w takim razie pójdę sama.

Beata wyjrzała spod koca. Rzeczywiście, przyjaciółka była już w sieni.

- Zwariowałaś? - krzyknęła za nią. - Zabraniam ci! Ani mi się waź!

- Gdzie masz latarkę? - usłyszała w odpowiedzi.

Na strychu pachniało naftaliną i jakimś silnym środkiem do impregnacji drewna. Światło latarki wydobyło z ciemności kilka wielkich drewnianych skrzyń, jakąś szafę, poustawiane pod ścianą kartony i wiszącą na kablu żarówkę.

- Gdzie tu jest kontakt?

- Na tym słupie, zdaje się.

Ostre światło zalało pomieszczenie. Beata aż zmrużyła oczy. Cała tajemniczość starego strychu znikła od razu.

- No proszę, i co my tu mamy? - zapytała Monika, rozglądając się dookoła. - Żadnego złoczyńcy, chyba że w szafie...

Beatki wcale to jakoś nie uspokoiło.

- Rzeczywiście, miałaś rację. Chodźmy już stąd, dobrze?

Ale Monika najwyraźniej nie miała takiego zamiaru. Ruszyła dalej, rozglądając się uważnie i ciągnąc za sobą Beatkę, uczepioną kurczowo rękawa jej swetra.

- Czy mogłabyś mnie puścić? Trochę to niewygodne - poprosiła, więc Beata, urażona, odsunęła się od niej wreszcie. - Jak już tu jesteśmy, to byłoby dobrze sprawdzić, co tak hałasowało, nie uważasz?

- Nie uważam, ale to zdaje się nikogo nie obchodzi. Gdzie ty się pchasz?! - Beatka patrzyła z przerażeniem, jak Monika przeciska się między jedną ze skrzyń a ścianą i kucą, żeby obejrzeć coś na podłodze.

- Mam! - krzyknęła nagle, o mało nie przyprawiając przyjaciółki o zawał serca. - Popatrz!

Beata, przerażona i wściekła, przepchnęła się do niej i zajrzała przez ramię. Pod ścianą stały dwa duże worki. Z jednego, przez rozdarcie z boku, wysypała się na podłogę biała kupka mąki. Na jej powierzchni wyraźnie widać było dwa spore odciski łap. Beata pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Niemożliwe! Co to może być? Kot?

Monika, podniecona, rozglądała się uważnie dalej.

- Słuchaj, to nie może być kot. Kot by tego nie gryzł. Wygląda na to, że jakieś zwierzątko wije sobie gniazdko. Szczur?

Beata na samą myśl o szczurze wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

- Nie, tylko nie szczur, proszę!

Przyjrzały się jeszcze raz dokładnie śladom na mące i w końcu Monika dała się namówić na zejście na dół.

- Wiesz co, zadzwonię do pana Linkowskiego. To stary znajomy babci, zapalony myśliwy.

Starszy pan, po wysłuchaniu całej historii, roześmiał się tubalnie:

- Jaki tam szczur, moje dziecko! Żaden szczur. To kuna!

* * *

Po chłodnej nocy ranek wstał słoneczny i ciepły, prawie jak latem. Dziewczyny spały do dziewiątej, wymęczone przeżyciami poprzedniego wieczoru, i zanim się wygrzebały i zjadły śniadanie, zrobiło się wpół do dwunastej. Wypiły bez pośpiechu kawę, siedząc na leżakach i wystawiając twarze do słońca. Potem Beata zostawiła Monikę na dworze, a sama poszła do domu poszukać telefonu do weterynarza. Zaczęła przerzucać sterty starej korespondencji, leżące na małym stoliku w pokoju. Oprócz widokówek z wakacji i kart imieninowych znalazła kilka lokalnych wydawnictw z ogłoszeniami, a w jednym z nich na pierwszej stronie reklamę lecznicy weterynaryjnej. Wyjęła komórkę i wystukała numer.

- Lecznica, słucham? - usłyszała w słuchawce mało zachęcający męski głos.

- Dzień dobry, mam taką nietypową sprawę - zaczęła i trochę płacząc się w zeznaniach, opowiedziała o tym, co znalazła na strychu, a na końcu spytała, co można zrobić, żeby się pozbyć intruza.

- Jest pani pewna, że to kuna? - zapytał, kiedy skończyła.

- Tak twierdzi znajomy, który się na tym zna.

- Czy widział zwierzę?

- Nie... Ale...

- A pani je widziała?

- Nie.

- W takim razie najpierw trzeba ustalić, czy to rzeczywiście kuna. Bo jeżeli tak, to musi to pani zgłosić w urzędzie gminy. Oni mają na etacie łowcę zwierząt. Tylko że wezwanie go kosztuje, więc lepiej się najpierw upewnić, że jest po co.

Najwyraźniej zaczynały się piętrzyć trudności.

- A nie można tak po prostu wysypać jakiejś trutki albo zastawić pułapki?

W głosie mężczyzny pojawiła się irytacja.

- Proszę pani, kuna jest dużo większa od myszy. I sprytniejsza. A poza tym jest pod ochroną. Kun się nie zabija. Jeszcze coś? - rozmówca najwyraźniej chciał się jej pozbyć.

Beata czuła się coraz bardziej bezradna.

- Przepraszam, ale czy mógłby mi pan w takim razie poradzić, co mam zrobić? Jestem tu tylko do jutra, potem muszę wracać do Warszawy, dom zostanie pusty. Jak mam się dowiedzieć, czy to rzeczywiście kuna? Czy ona zostawia jakieś charakterystyczne ślady?

Musiąca brzmieć rozpaczliwie, bo mężczyzna po chwili namysłu zapytał:

- No dobrze, gdzie pani mieszka?

- Na samym końcu miasteczka. Ostatni skręt w lewo, obok domu pani Anieli, a potem prosto do końca.

- Dobrze, już wiem. Może umówmy się tak - koło pierwszej będę u pani Anieli, bo Pączek znowu się czegoś nażarł. Zajrzę przy okazji do pani i rzucę okiem.

I rozłączył się. Beatce kamień spadł z serca.

* * *

Pięć po pierwszej na podwórko wjechała terenowa, zielona honda i zaparkowała gwałtownie przed gankiem, unosząc obłok kurzu. Mężczyzna, który z niej wysiadł, był wysokim, barczystym szatynem w dżinsach, szarym swetrze i zamszowych półbutach. Byłby bardzo przystojny, gdyby nie szeroka szrama na lewym policzku.

- Andrzej Stokowski - przedstawił się i uściśnął mocno rękę Beaty, kiedy podeszła, żeby go powitać. - Czy to z panią rozmawiałem przez telefon?

- Tak, ze mną. Beata Jakubowska. A to moja przyjaciółka, Monika. Bardzo dziękuję, że zgodził się pan przyjechać. Taka głupia sytuacja...

Weterynarz machnął ręką lekceważąco.

- Chodźmy, niech mi pani pokaże te ślady.

Zaprowadziła go na strych. Obejrzał wszystko uważnie i pokiwał głową.

- Rzeczywiście, kuna. Trzeba się będzie zastanowić, co z nią zrobić.

Kiedy zeszli na dół, Beata zaproponowała kawę. Weterynarz spojrzął na zegarek.

- Właściwie chętnie się napiję. Następną wizytę mam dopiero o drugiej.

Monika zaprowadziła go do ogrodu i posadziła przy stole pod jabłonią, a Beata w tym czasie wstawiła wodę i zaczęła przygotowywać filiżanki. „Wcale nie jest taki niesympatyczny, jak się wydawał przez telefon” - pomyślała, stawiając cukiernicę na tacy.

Spędziły bardzo miłe pół godziny, pijąc kawę i słuchając barwnych opowieści o zwierzętach. Okazało się, że weterynarz jest świetnym gawędziarzem. Kiedy wstał, tłumacząc, że niestety musi już jechać, Beata zapytała nieśmiało, ile płaci. Gość wyraźnie się obruszył.

- Niech pani nie żartuje. Przecież nawet nie wyjąłem torby z samochodu. Potraktujmy to jako wizytę towarzyską, dobrze? Proszę mi tylko obiecać, że nie będzie pani forsować tej nogi. Zauważyłem, że lekko pani utyka.

- Dobrze - Beata rzuciła mu zdziwione spojrzenie. - Do widzenia.

ROZDZIAŁ 8

traktujący o poważnych zgrzytach w sielskiej atmosferze

Niedzielny ranek wstał skąpany w słońcu. Becia obudziła się i rozejrzała dookoła rozspanym wzrokiem. Pod przeciwną ścianą, na dawnym łóżku dziadka, pod grubą pierzyną dostrzegła wyciągniętą jak struna postać Moniki.

„Sportowa sylwetka nawet we śnie” - Beata, która sama zwykle sypiała zwinięta w kłębek jak kot, uśmiechnęła się do siebie, przeciągnęła leniwie i zdecydowała się wstać.

Postanowiła na razie nie budzić Moniki, tylko zrobić najpierw śniadanie. Ustawiła je na małym drewnianym stoliku w ogrodzie, bo nie ma nic przyjemniejszego niż taki poranny posiłek pod jabłoniemi. I faktycznie, kiedy jakąś godzinę później siedziały rozparte wygodnie na leżakach, ubrane w grube swetry, objęzione białym wiejskim serem i opite mlekiem, faktycznie czuły się wspaniale.

Pogoda była tak piękna, że postanowiły nie wracać do Warszawy wcześniej niż po obiedzie. Beatce przypomniało się, że na końcu sadu rośnie ogromna kępa jeżyn, więc włożyły stare, ciężkie kalosze i uzbrojone w plastikowe miski ruszyły na łowy. Na miejscu odkryły, że krzaki aż uginają się od owoców, więc energicznie przystąpiły do skubania, posylokując tylko od czasu do czasu, kiedy jakiś kolec zniecka wbijał się w palec.

W pewnym momencie spod gałęzi wyprysnął jeż. Monika aż podskoczyła, kiedy przebiegł jej między nogami.

- Ale z ciebie mieszczuch - wyśmiała ją Becia. - Nie widziałas nigdy jeża?

- A co, myślisz, że po Saskiej Kępie stadami łążą?

Monika z ciekawości ruszyła w ślad za małym uciekinierem. Szelest ściółki skierował ją w stronę starego drewnianego płotu okalającego tę część ogrodu. Biegła wzdłuż niego wydeptana, wąska ścieżka. Znowu coś zaszeleściło. Jest!

Jeż na widok Moniki fuknął cicho i zwinął się w szarą, kolczastą kulkę. Ukucnęła, żeby lepiej mu się przyjrzeć, i w tym momencie tuż obok buta zauważyła coś małego i błyszczącego. Odruchowo sięgnęła ręką i podniosła ze ścieżki niewielki srebrny przedmiot.

- A to co...? - zaczęła półgłosem, po czym nagle umilkła i szybkim ruchem schowała znalezisko do kieszeni.

- Mówiłaś coś? - spytała Becia, podchodząc.

- Gadałam z jeżem. Słuchaj, tak mi się przypomniało... Ile razy Paweł tutaj był?

- Tutaj, znaczy w sadzie? Ani razu. A w Czerwińsku przecież wiesz - pierwszy raz, kiedy mnie przywiózł w czwartek, i potem zaraz drugi, jak przyjechał na noc. Dlaczego pytasz? - odpowiedziała Beatka, trochę zdziwiona.

- Tak sobie, nieważne. Wracamy do domu? - spytała Monika lekkim tonem, ale gdyby Beata przyjrzała jej się uważnie, zdziwiłby ją wyraz zatroskania, jaki pojawił się na twarzy przyjaciółki.

Jeżyn zbierały mnóstwo i wracając do domu z pełnymi miskami, wymyśliły, że usmażą sobie do nich naleśniki. Właśnie kiedy zrzucały ostatniego na talerz, rozdzwoniła się komórka Beci.

- No co tam, ptaszku? - zabrzmiał w słuchawce ciepły baryton Pawełka. - Jak wam minęła noc?

- Nawet spokojnie. Pogoda cudowna, śliczny dzień... Szkoda, że ciebie tu nie ma! O której przylatujesz?

- Słuchaj, Beatko, właściwie po to dzwonię... Niestety, rozmowy się przeciągają i w związku z tym wracam dopiero we wtorek...

- Ojej, szkoda...

- Ja też żałuję, ale co robić, interesy. Za to mam dla ciebie małą niespodziankę. Kazałem mojemu kierowcy przyjechać po was do Czerwińska. Wróćcie sobie wygodnie i bezpiecznie. O której ma być?

- Kochany jesteś, dziękuję. Ale my sobie świetnie same poradzimy...

- Beatko, nie zrozumiałaś mnie chyba. To już postanowione. Samochód będzie po południu. O piątej, co ty na to?

- To bardzo miło z twojej strony, jednak my chybaśmy wołały...

- W takim razie bądźcie gotowe na piątą. Całuję, ptaszku, muszę już kończyć. Aha, jeszcze coś, trzeba będzie znowu przełożyć spotkanie w sprawie zaproszeń. Załatw to, dobrze?

- Oczywiście, kochanie. Pa.

Paweł rozłączył się, pozostawiając Beatkę z dziwnym wyrazem twarzy.

- O co chodzi? - zapytała Monika znad kuchennego stołu, kończąc właśnie posypywanie naleśników jeżynami.

- Pawełek przysłał kierowcę, żeby nas odebrał. A sam wraca z Berlina dopiero we wtorek. Rozmowy się przedłużyły.

- Aha - odrzekła Monika z przekąsem, wzięła talerze i zarządziła wyjście na obiad do ogrodu. Słońce nagrzało powietrze i wypełniło je zapachami owoców i kwiatów. Było

cudownie. I w tym momencie, zupełnie znieca, Monika wypaliła:

- Czy ty naprawdę musisz za niego wychodzić? Zdumiona Beatka o mało co nie zleciała z ławki.

- Słucham? Nie rozumiem - wyjąkała w końcu.

- O matko, Becia, jaka ty jesteś naiwna - zdenerwowała się Monika. - Co ty właściwie o nim wiesz? Co wiesz o jego rodzinie, przyjaciółach? Tej całej jego firmie? Skąd on ma takie ogromne pieniądze?

- Przestań w tej chwili! Co ty insynuujesz? Kocham go, on mnie kocha, chcemy się pobrać, o co ci chodzi?

- Ty przestań, do cholery, z tą miłością! Może on i jest zakochany, ale w sobie. Zastanów się! Co on tak do tego ślubu prze? Może to jakiś bigamista? I w dodatku cały czas tobą rządzi!

- Rządzi? Jak to rządzi? Co ty wygadujesz?

- No właśnie! I to jest najgorsze! Ty, dziewczyno, nic nie widzisz, a on z tobą robi, co chce. Zawsze musi być na jego. Tak jak z tym dzisiejszym powrotem...

- On się po prostu o mnie troszczy! - Beata była coraz bardziej zdenerwowana.

- Wiesz co, ty to na jego punkcie jesteś kompletnie zaślepiona, jak jakaś smarkata!

- Monika, jak możesz? Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką! Nie chcę już tego dłużej słuchać! - Beatka zerwała się z ławki i z płaczem pobiegła między jabłonie.

* * *

„Cholera, przesadziłam” - pomyślała Monika. „Głupia sprawa... A przecież mogłam się spodziewać takiej reakcji”.

Beatka była w Pawła zapatrzona bezkrytycznie. Przez chwilę wydawało się co prawda Monice, że incydent z

tajemniczą klientką zburzy pomnik idealnego narzeczonego, ale nie - nie zostawił nawet rysy na marmurowym torsie.

„Właściwie po co ja się w ogóle odzywałam” - westchnęła. „Trzeba było siedzieć cicho”.

Wstała niechętnie z ławki, przeciągnęła się i ruszyła na poszukiwanie przyjaciółki. Znalazła ją w tym samym miejscu, w którym jeszcze niedawno zbierały jeżyny.

- Bacia - odezwała się ugodowym tonem. - Przecież ja nie chciałam ci zrobić przykrości! Przepraszam, PRZEPRASZAM!

Beata spojrzała na nią smutno.

- Może i nie chciałaś, ale zrobiłaś. Nie rozumiem, jak możesz tak myśleć o Pawle. Przecież on jest zawsze dla ciebie taki miły, taki uprzejmy!

Monika nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Beatko, ja wiem. Ale po prostu strasznie bym chciała, żebyś była szczęśliwa. I boję się, że on cię skrzywdzi. Mam wrażenie, że ten cały Pawełek to...

- No i znowu zaczynasz - zirytowała się Beata. - Zresztą, możesz sobie o nim wygadywać, co chcesz, nie obchodzi mnie to. Wyjdę za niego i koniec. Kocham go, rozumiesz?! - prawie wykrzyczała ostatnie zdanie.

- Rozumiem, rozumiem, przepraszam. Nie kłóćmy się już, zgoda?

- Zgoda, ale obiecaj, że przestaniesz wymyślać te bzdury o Pawelku.

- Obiecuję.

Ruszyły powoli w kierunku domu. Niestety, beztroski nastrój uleciał bezpowrotnie. Posprzątały w kuchni, spakowały swoje rzeczy i wyszły przed dom. Zbliżała się piąta. Parę minut później od strony drogi rozległ się cichy szmer zbliżającego się pojazdu i po chwili wielki, ciemnoszary nissan maxima wtoczył się powoli na podwórko i znieruchomiał pod starą gruszą. Otworzyły się drzwi i z auta wysiadł

kierowca Pawła. Ukłonił się w ich kierunku, oparł wyczekując o maskę samochodu i zapalił papierosa.

- Dzień dobry, panie Jasiu, już idziemy! - krzyknęła w jego stronę Beata.

Monika, która nigdy wcześniej nie widziała Jasia, przyglądała mu się z zaciekawieniem - młody mężczyzna był bardzo wysoki i muskularny. „Musi coś trenować... I to chyba nie szachy. Ale ma, skubaniec, masę mięśniową” - pomyślała z podziwem. Kiedy zamknęły drzwi i złapały bagaże, Jasio rzucił niedopałek na ziemię i bez pośpiechu ruszył w ich stronę. Nie odezwał się przy tym ani słowem, a jego twarz miała ciągle ten sam obojętny wyraz.

Wyruszyli do Warszawy. Samochód miękko kołysał się na nierównościach terenu.

Beata odwróciła się w kierunku okna. Nie miała ochoty rozmawiać z Moniką. Czowała się jeszcze trochę urażona obcesowymi uwagami przyjaciółki, dodatkowo krępowała ją milcząca obecność kierowcy.

- Przepraszam, czy mógłby pan włączyć jakąś muzykę? - spytała.

Kierowca bez słowa nacisnął odpowiedni guzik i wewnątrz auta wypełnił Beethoven, a Beata nagle przypomniała sobie, kiedy ostatnio słuchała jego utworów na żywo...

Był marcowy, sobotni wieczór. W holu filharmonii panował tłok, Beata niechętnie ustawiła się w długiej kolejce do szatni. To był ostatni z cyklu koncertów, na które przeznacznie wykupiła abonament jeszcze we wrześniu. Kiedy wreszcie oddała płaszcz w ręce szatniarki i odwróciła się, żeby wziąć z lady torebkę, którą przed chwilą tam odłożyła, okazało się, że torebka znikła.

„Musiała spaść na podłogę” - pomyślała Beatka zdenerwowana. Ale na podłodze torebki nie było. Ani po jednej, ani po drugiej stronie kontuaru. Nikt też nie mógł jej zabrać przez pomyłkę... Torebka przepadła jak kamień w wodę.

- No, kochanieńka, żeby tak w instytucji kulturalnej człowieka okradali! Tego jeszcze nie było! Niczego dziś nie uszanują! - kręciła głową gruba szatniarka, która pomagała w poszukiwaniach.

Beatka usiłowała zebrać myśli. „Co ja tam miałam? O matko, właściwie wszystko! Dowód, portfel, nawet bilet na dzisiejszy koncert!” Zrezygnowana, podeszła do strażnika, który przechadzał się w pobliżu głównego wejścia.

- Dzień dobry, chciałam zgłosić kradzież - zaczęła i w tym momencie zauważyła niezwykle przystojnego, wysokiego mężczyznę w eleganckim garniturze, który stanął tuż obok, trzymając w ręku jej zgubę.

- Czy to pani torebka? - spytał nieznajomy głębokim baritonem, a pod Becią, pewnie z nadmiaru wrażeń, aż ugięły się nogi.

- Tak... moja... Dziękuję... Gdzie pan ją znalazł? - jąkała się bezradnie.

- Nie znalazłem, tylko odebrałem jakiemuś chuliganowi przed filharmonią - odpowiedział nieznajomy takim tonem, jakby podobne wyczyny były u niego na porządku dziennym.

- Pan jest wspaniały! Dziękuję bardzo! Nie wiem, jak się odwdzięczyć... - Becia ciągle nie mogła dojść do siebie. Cudowne odnalezienie torebki, ten wyjątkowo przystojny mężczyzna...

- Może w przerwie postawi mi pani kawę? - uśmiechnął się nieznajomy. - Najmocniej przepraszam, nie zdążyłem się przedstawić. Paweł Jabłoński.

I tak się zaczęło.

* * *

„Jeszcze kwadrans i będziemy w Warszawie” - pomyślała Monika i zerknęła na przyjaciółkę. O Boże, ona ma znowu ten rozanielony wyraz twarzy! A to oznacza, że ani chybi myśli o Pawełku! Jaka ona naiwna, ta Beca, niesamowite, żadnego zmysłu krytycznego jeśli chodzi o mężczyzn. I zero instynktu samozachowawczego! Bierze wszystko za dobrą monetę, szczęśliwa, że znalazł się facet, który chce się z nią ożenić.

No dobra, tylko dlaczego ta dziewczyna nie widzi, że trafił jej się największy despota w kosmosie?! Wszystko musi być tak, jak on chce, biedna Beca nie może nawet pisnąć. Niesamowite. Odkąd go poznała, ciągle robi coś, do czego wcześniej nie zbliżyłaby się na kilometr. Zaraz na początku znajomości, jeszcze w marcu, pojechali razem do Zakopanego. I Beatka, zamiast chodzić na górskie wycieczki, co do tej pory lubiła najbardziej, całe dni spędzała na stoku, ucząc się w pocie czoła jazdy na nartach.

W kwietniu dostała od niego w prezencie rolki. Na pierwszą jazdę umówiła się na wszelki wypadek z Moniką, która podsumowała to potem jednym słowem: „Masakra!”. Rzeczywiście, Beatka jakoś się nie mogła zestroić ze sprzętem i w rezultacie z każdej wyprawy z Pawłem wracała cała poobijana, marząc, żeby ukochany choć raz dał się namówić na przejażdżkę rowerem.

Następną atrakcją był wyjazd w czerwcu na żagle. Bo taki drobiazg, że Beata po pięciu minutach na wodzie dostawała choroby morskiej, nie mógł przecież wpłynąć na zmianę planów Pawełka. A plany miał bogate - pięć przystani w trzy dni plus nauka podstawowych węzłów i nawigacji. W dodatku udało mu się zrealizować w stu procentach, pomimo

fatalnej pogody. Beata, zielona na twarzy, kręciła się po łódce, szukając miejsca, gdzie najmniej kiwa, i wypatrując pomostów, przy czym, paradoksalnie, wyglądała na absolutnie szczęśliwą. Monika nie mogła się nadziwić, że jej spokojna do tej pory i mało przebojowa przyjaciółka zdobywa tak ekstremalne, jak na nią, umiejętności. Musiała być rzeczywiście wyjątkowo zakochana.

A ten wściekle pomarańczowy fotel, którym zapaskudził jej mieszkanie? Monika aż wzdrygnęła się na wspomnienie pewnego sobotniego poranka sprzed kilku miesięcy. Akurat przez przypadek nocowała wtedy u przyjaciółki. O dziewiątej obudził je dzwonek. Pod drzwiami stali dwaj zasapani tragarze z ogromnym pakunkiem. Beatka najpierw próbowała ich przekonać, że to na pewno pomyłka i że przyszli pod niewłaściwy adres, ale kiedy pokazali jej wydrukowane zlecenie z jej nazwiskiem, wpuściła ich do środka. Zawartość paki okazała się fotelem - nowoczesnym, eleganckim i tak wściekle pomarańczowym, że na jego widok bolały zęby.

- Jak pięść do nosa - stwierdziła Monika półgłosem, bo rzeczywiście nowy mebel nijak nie pasował do stonowanego beżowo-brązowego wnętrza mieszkania. Ale Beatka nie usłyszała tego komentarza, zajęta szczebiotaniem do słuchawki - właśnie zadzwonił Pawełek, który cieszył się jak dziecko ze swojej niespodzianki. Monika po raz kolejny odniosła wtedy wrażenie, że Paweł wszędzie chce odcisnąć swój ślad. Nie patrząc, gdzie stawia stopę.

I jeszcze do tego ten ślub... Kto to widział, żeby mężyczyna tak się spieszył do USC?

Monika już parę razy miała ochotę otworzyć Beci oczy na pewne sprawy, ale nie była pewna, czy czasem nie przesadza. Może dlatego tak na to patrzyła, bo instynktownie nie

lubiła Pawła? Może, obiektywnie rzecz biorąc, on wcale nie był najgorszy? W końcu trudno dzisiaj o sensownego faceta... No więc siedziała cicho. Ale dzisiaj na ścieżce znalazła coś, co sprawiło, że znowu zaczęła się zastanawiać, czy Paweł jest wobec Beatki uczciwy. I dlatego po obiedzie nie wytrzymała i zaczęła tę idiotyczną rozmowę...

Znowu zerknęła na przyjaciółkę. Beatka, odwrócona do niej plecami, wpatrywała się w jesienny pejzaż za oknem. Monika sięgnęła do kieszeni i ukradkiem wyjęła z niej błyszczący kawałek metalu. Było to pół dużego srebrnego guzika z lekko zatartym fragmentem firmowego napisu. Monika doskonale pamiętała, gdzie widziała jego drugą część. To było w czerwcu, kiedy pojechała na dwa dni do Beci i Pawła na żagle. Pierwszego popołudnia rozpadało się, a ona nie wzięła ze sobą z Warszawy sztormiaka, więc Paweł pożyczył jej swoją starą, roboczą, jak to określił, kurtkę. Monika, siedząc później na wilgotnym pokładzie, z nudów dłużyła jej guziki i bardzo dobrze je zapamiętała. Wydawały jej się zabawne, za duże i za bardzo ozdobne jak na męską kurtkę. Roboczą, myślała z przekąsem. W dodatku miały na sobie wygrawerowany napis „Dior”. A na jednym z nich, ułamanym, ukruszyła sobie podczas zapinania paznokcie.

Jeżeli te pół guzika pod płótem Beatki rzeczywiście należało do Pawła - a dużo na to wskazuje, bo ilu jeszcze facetów w kurtkach od Diora mogło się przedzierać ostatnio przez czerwieńskie krzaki - to co on tu, do licha, robił? I dlaczego, jak przywiózł w czwartek Beatkę, nie przyznał się jej, że już kiedyś był w Czerwińsku?

Tylko kiedy?

Na pewno przed wyjazdem na żagle, to znaczy przed czerwcem.

Swoją drogą, ciekawe, w jakich okolicznościach ułamał mu się ten guzik... Może o coś zaczepił? Nagle Monika zaciśnęła dłoń na metalu. Paweł musiał zahaczyć guzikiem, przechodząc przez płot!

Ale czego tam szukał?

Pytań pojawiało się coraz więcej.

„Coś tu śmierdzi, i to mocno” - stwierdziła Monika. „Paweł coś kombinuje, bez dwóch zdań”.

Z Beatką nie ma co na ten temat rozmawiać - prędzej zerwie z przyjaciółką, niż pozwoli powiedzieć złe słowo na narzeczonego. A gdyby Monika próbowała przedstawić jej historię z guzikiem, w ogóle by jej nie chciała słuchać. Albo popukałaby się w czoło i zaczęła udowadniać, że takie kurtki nosi pół okolicy.

„Żeby przekonać Beatkę, muszę mieć jakieś bardziej przekonujące dowody” - pomyślała. „Tylko jak je zdobyć?”

ROZDZIAŁ 9

czyli zbiegów okoliczności ciąg dalszy

Monika, mocno spóźniona, zbiegała ze schodów, spiesząc się na zajęcia aerobiku. Miała dokładnie 15 minut na dotarcie na miejsce i przygotowanie sali, zanim pojawi się pierwsza popołudniowa grupa. Nie lubiła tych poniedziałkowych zajęć, bo po dwóch wolnych dniach rozleniwione uczestniczki ruszały się jak przysłowiowe muchy w smole i trudno było utrzymać właściwe tempo ćwiczeń.

Zeskakując po dwa stopnie naraz, zastanawiała się, jaką muzykę włączyć na początek, kiedy kątem oka dostrzegła szczupłą, młodą kobietę w zielonym płaszczu, która właśnie otwierała drzwi mieszkania pani Heleny.

„Oho, to musi być ta wspańska Weronka...” - pomyślała od razu, ale nie miała nawet czasu dobrze jej się przyjrzeć. Obowiązki wzywały.

Kiedy wróciła z zajęć, było już dobrze po szóstej i oczywiście dopiero w drzwiach mieszkania przypomniała sobie, że powinna kupić świeże pieczywo, bo ostatni kawałek chleba, który zjadła na śniadanie, pochodził z piątku.

- Cholera jasna! - zaklęła pod nosem i ruszyła z powrotem na dół.

Kiedy była w połowie pierwszego piętra, usłyszała, że otwierają się drzwi na parterze.

- Do zobaczenia, pani Heleno - usłyszała dźwięczny kobiecy głos, a na kamiennej posadzce rozległ się metaliczny stukot damskich obcasów. Monika poczuła też silny i

odurzająco słodki zapach nieznanymi damskich perfum.

„Weronka wychodzi!” - przebiegło Monice przez myśl i w pierwszym odruchu ciekawości wychyliła się przez poręcz, ale udało jej się dostrzec tylko rozwiane połę zielonego płaszcza. Rzuciła się biegiem na dół - jeżeli się pospieszy, zdąży ją sobie jeszcze obejrzeć. Bo coraz bardziej była ciekawa, jak wygląda ten anioł w ludzkiej postaci, który obrzuca panią Helenę kosztownymi prezentami.

Pchnęła z całej siły ciężkie drzwi wejściowe i znalazła się na ulicy. Przed domem stał zaparkowany duży, elegancki samochód - terenowe, złociste volvo. Szczupła, wytworna kobieta, oparta jednym łokciem o dach auta, rozmawiała przyciszonym głosem przez komórkę.

Monika ruszyła w jej kierunku, nie mogąc oderwać od niej oczu. Coś w tym obrazie wydawało jej się znajome... W tym momencie tamta zatrasnęła klapkę cieniutkiego telefonu, wrzuciła go do ciemnoczerwonej torby i zaczęła szukać w niej kluczyków do auta.

I wtedy Monice stanęła przed oczami identyczna scena sprzed czterech dni - ten sam samochód, ta sama kobieta szukająca czegoś w torebce... A więc tajemnicza Weronka to ta klientka Pawła, z którą spotkał się w środę w kawiarni, doprowadzając tym biedną Beatkę na skraj załamania nerwowego!

„Ale numer!” - pomyślała zdziwiona.

Nagle właścicielka auta odwróciła się i popatrzyła prosto na Monikę. Przez chwilę obie mierzyły się wzrokiem. Ciemnozielone oczy nieznanym były dziwnie skupione i Monika w popłochu pomyślała, że sytuacja stała się niezręczna. Zastanawiała się, co zrobić, żeby jakoś z niej wybrnąć, kiedy na przegubie kobiety dostrzegła złoty błysk zegarka.

- Przepraszam, która godzina...? - zapytała z głupia frant, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Weronka wsia-
dła po prostu do auta, włączyła silnik i odjechała. Monika
stała jeszcze przez chwilę na chodniku, patrząc za odjeżdża-
jącym samochodem, i nagle poczuła, że musi porozmawiać
z Becią. „Właściwie im szybciej, tym lepiej” - pomyślała i
zamiast do piekarni ruszyła w stronę przystanku autobuso-
wego.

Beata otworzyła jej ubrana w porozciągany różowy dres,
włosy miała ściągnięte żółtą frotką.

- Wchodź - ucieszyła się na widok przyjaciółki. - Wła-
śnie kończę myć okna.

Monika, która czynności tego typu unikała jak ognia, po-
kręciła tylko z niedowierzaniem głową.

- Że też ci się chce...

Beatka zaśmiała się radośnie.

- Pewnie, że mi się chce, pogoda taka piękna... Pawełek
uważa, że okna powinno się myć nie rzadziej niż co miesiąc.
Siadaj, Monisiu, gdzie ci wygodnie, ja tylko przetrę parapet
w kuchni i zaraz do ciebie przychodzę.

„I znowu ten Pawełek” - jęknęła w duchu Monika, loku-
jąc się na fotelu obok biurka. „Ta w niego zapatrzona jak w
obraz, a on... No właśnie, co z nim?” Monika od początku
miała dziwne wrażenie, że z narzeczonym przyjaciółki coś
jest nie tak, nie wiedziała tylko co i okropnie ją to denerwo-
wało. A teraz jeszcze ten guzik i ta kobieta... Stanowczo po-
winna poważnie porozmawiać z Beatą. Tylko jak, żeby jej
znowu nie zdenerwować?

- Hej, może coś ci pomóc? - krzyknęła w stronę kuchni.

- Nie trzeba. - Beata zajrzała do pokoju. - A jak ci się
nudzi, to sobie poglądaj zdjęcia z urodzin Pawełka, właśnie
odebrałam od fotografa. Leżą na biurku pod lampką.

Monika sięgnęła po kolorową kopertę i wyjęła z niej plik matowych odbitek. Bečia naprawdę ładnie na nich wyszła, ubrana w mocno wydekoltowaną szafirową suknię... Natomiast Paweł... No cóż, jak zwykle irytujący. Prawie na każdym zdjęciu obejmował Beatkę tak, jakby stanowiła jego własność. „Pan i władca, cholera jasna” - zdenerwowała się Monika i już miała odłożyć fotografie, kiedy na jednej z nich coś przykuło jej uwagę-

- No dobra, gotowe - Beata stanęła w drzwiach. - Ładne zdjęcia, prawda?

- Prawda - odpowiedziała mechanicznie Monika. Na zdjęciu, które trzymała w ręku, Paweł i Beata stali objęci i roześmiani, a za nimi, w rogu pokoju, widać było fragment eleganckiego, starego mebla z przeszklonymi drzwiczkami... Monika nie mogła się oprzeć wrażeniu, że już kiedyś gdzieś go widziała.

- No i co, wydarzyło się coś ciekawego od wczoraj? - spytała Beata, siadając naprzeciwko przyjaciółki.

- A żebyś wiedziała. Nie uwierzysz, kogo dziś zobaczyłam... - zaczęła i urwała. Te szybki w drzwiach, takie charakterystyczne, przyciemniane, z dymnego szkła, gdyby to był ten mebel, o którym myślała, z boku powinien mieć jedną jasną - oryginalna kiedyś się stłukła i zastąpiono ją zwykłą... Pochyliła się gwałtownie nad zdjęciem... Tak, nie ma wątpliwości. W mieszkaniu Pawełka stała biblioteczka pani Heleny!

ROZDZIAŁ 10

w którym przygotowania do ślubu nabierają tempa

„Jak to dobrze, że w końcu zamawiamy te zaproszenia...” - myślała Beatka, czekając przed ministerstwem na narzeczonego. „Wreszcie wszystko będzie zdecydowane...”

Bo choć nie miała żadnych wątpliwości, że ślub z Pawłem jest właściwym krokiem, to była już trochę zmęczona ostatnimi wydarzeniami, tą całą historią z kobietą z kawiarni, a przede wszystkim - idiotycznymi podejrzeniami Moniki. Dlaczego ona wszędzie i zawsze musi wietrzyć jakiś podstęp? Zwłaszcza kiedy w grę wchodzi mężczyzna? Beatka miała już dosyć badawczych spojrzeń przyjaciółki i jej dziwnych insynuacji. Jedyna nadzieja, że jak w końcu wezmą z Pawłem ślub, to Monika się przekona, że wszystko jest w porządku, i jej przejdzie. A tak w ogóle to powinna sobie kogoś znaleźć... Tylko jaki mężczyzna zechce kobietę, która zachowuje się jak sierżant?

Czerwony, sportowy samochód Pawła zatrzymał się przed nią z piskiem opon. Okienko od strony pasażera zjechało do połowy w dół:

- Cześć, kochanie, wskakuj szybko!

- Już, już.

Kremowa, skórzana tapicerka zapadła się pod nią miękko.

- Ślicznie dziś wyglądasz! - powiedział narzeczony, zaglądając jej czule w oczy i całując na powitanie. - No, jedziemy, mam mało czasu. Zapnij pas.

I ruszył ostro w kierunku placu Unii.

- Bardzo jesteś zmęczony? - zapytała z troską. – o której miałeś samolot?

- Siódma rano. A wczoraj do późna rozmowy...

I zdaje się, że w piątek znowu będę musiał być w Berlinie. Lepiej mi opowiedz, co tam się działo w Czerwińsku.

Paweł próbował się skupić na jeździe po zatłoczonych ulicach, a Beata opisywała mu przygodę z kuną, która z perspektywy czasu wydawała się nawet zabawna. Dopiero kiedy zaparkowali przed eleganckim, nowoczesnym budynkiem, w którym mieściło się biuro drukarni, zorientowała się, że nie omówili treści zaproszeń.

Weszli do środka i znaleźli się w dużym, nowoczesnie urządzonej pomieszczeniu. Bardzo wysoka i bardzo ładna dziewczyna w przesadnej mini posadziła ich na cytrynowej, skórzanej kanapie. Sama ulokowała się naprzeciwko i pokazując długie nogi, podsunęła wzorniki zaproszeń. Zwracała się wyłącznie do Pawła, to jemu prezentowała wzory i jemu udzielała wyjaśnień. Właściwie Beatka powinna być już przyzwyczajona, że jej przystojny narzeczony tak działa na obce kobiety...

- Kochanie, co powiesz na to? - Paweł podsunął w jej stronę kartonik o asymetrycznym kształcie, z metalizowanym, błyszczącym, nowoczesnym nadrukiem. - Rewelacja. Bierzemy!

- Pawełku, ale ja wolałabym coś bardziej tradycyjnego... Czy mogłabym przejrzeć?...

- Nie warto, nic tam już nie ma ciekawego. A na tych możemy zamówić hologram z naszymi inicjałami.

- Taki hologram umieszczamy na pierwszej stronie zaproszenia oraz na kopercie - wtrąciła długonoga.

- Myślałam raczej o zaproszeniach w stylu retro, na czerpanym papierze... - Beatka jeszcze raz spróbowała

przebić się ze swoim zdaniem, ale Pawełek tylko uśmiechnął się protekcyjnie i wstał.

- A czy moglibyśmy chociaż umieścić motto? - poprosiła Beatka. - Jest taki piękny wiersz Jasnorzewskiej...

Pawełek popatrzył na nią bez słowa i podążył za długonogą, która szukała formularzy zamówień przy swoim biurku w drugiej części pomieszczenia.

Beatka z kanapy obserwowała, jak podaje dziewczynie swoją wizytówkę i jak tamta śmieje się do niego. Paweł wrócił po chwili, bardzo zadowolony.

- Załatwiłem, żeby były gotowe na jutro. Chodź, kochanie, wracamy. Muszę przyznać, że udało nam się z tymi zaproszeniami. Są idealne - uśmiechnął się z satysfakcją. - Słuchaj, ptaszku, a może byśmy to jakoś uczcili? Teraz musimy wracać do biura, ale co powiesz na kolację? W Tradycji o siódmej?

„Jaki on miły” - pomyślała Beatka. Tradycja była jej ulubioną restauracją, natomiast Paweł za nią nie przepadał. Twierdził, że czuje się tam jak w szafie u prababci. Wolał bardziej nowoczesne lokale.

- Cudownie. Kochany jesteś - chciała go pocałować w policzek, ale w tym momencie odezwała się komórka narzeczonego. Paweł odsunął się od Beatki, sięgnął po telefon, popatrzył na ekran i schował dzwoniący ciągle aparat z powrotem do kieszeni marynarki.

- Nie odbierzesz? - zdziwiła się.

- To nic ważnego, oddzwonię później. Wsiadaj, moja droga, jedziemy, za piętnaście minut zaczynam ważne spotkanie.

- Może nie odwoź mnie do ministerstwa, wysiądę na placu Unii, przecież mam stamtąd dwa kroki.

Ale kiedy zatrzymali się tuż za placem, na szybko pojawiły się pierwsze krople deszczu. Paweł ze złością uderzył dłonią o kierownicę.

- Cholera, pada. A ja już nie dam rady zawrócić. Wiesz co, mam w bagażniku parasol. Weźmiesz sobie?

Beata wysiadła z auta, podeszła do bagażnika i otworzyła go. Kłapa uniosła się lekko w górę, ukazując niewielką, elegancką, prawie pustą przestrzeń. Na czerwonej wykładzinie leżały dwa parasole - jeden duży, czarny, niewątpliwie męski, a drugi ciemnozielony, wysmukły, z ozdobną, błyszczącą rączką. Beata zawahała się, po czym sięgnęła po ten zielony, zatrzaskała bagażnik i zapukała w szybę od strony pasażera. Okno otworzyło się bezszelestnie.

- Znalazłaś? - zapytał Paweł.

- Właściwie znalazłam, ale... Co to za parasolka?

Narzeczony rzucił okiem na zielony przedmiot, który Beata trzymała w ręce na wysokości jego oczu. Przez chwilę miała wrażenie, że nie wie, co odpowiedzieć.

- To? Nie wiem. Dlaczego pytasz?

- Bo twój parasol jest ciężki i nieporęczny, wolałabym wziąć ten, a nie wiem, czy mogę...

Paweł machnął lekceważąco ręką.

- Ależ oczywiście, bierz. Nie mam pojęcia, skąd się tam wziął. Może jakaś klientka zostawiła? Zresztą nie ważne, niech ci służy. Muszę jechać, bo nie zdążę. Pa.

Podniósł dłoń na pożegnanie i ruszył z piskiem opon.

Beatka została na chodniku, zadowolona, że nie musi się męczyć z ciężkim i nieporęcznym parasolem Pawła. „Ależ on, biedak, musi być przepracowany” - pomyślała, ruszając w kierunku alei Szucha. „Przecież jest zawsze taki poukładany i dokładny, a zapomniał, skąd mu się w bagażniku wzięła damska parasolka...”

* * *

Wieczorem też wyglądał na zmęczonego. Siedzieli naprzeciwko siebie w Tradycji, przy jej ulubionym stoliku w głębi sali, i sączyli czerwone wino.

- Świetnie, że zamówiliśmy te zaproszenia. Teraz zostaje już tylko ustalić listę gości.

Paweł uśmiechnął się do niej i uściśnął jej dłoń. Zapowiadał się naprawdę miły wieczór. W małym notesiku Beci zaczęli wypisywać nazwiska. Najpierw te z jej strony, co poszło szybko. Kiedy przyszła kolej na Pawła, zaczął bez namysłu wymieniać znajomych biznesmenów. W końcu Becia nie wytrzymała.

- A co z twoją rodziną? Nikogo nie zaprosimy?

- Przecież ci mówiłem, że nie mam żadnej rodziny - odstawił kieliszek i spojrzał na nią chłodno.

- Zupełnie nikogo? - dopytywała się Becia.

- No, nikogo - zirytował się - przecież dobrze wiesz, że moi rodzice nie żyją i wychowałem się w domu dziecka. Musimy do tego wracać?!

- Przepraszam, Pawełku - wycofała się natychmiast Beata. - Naprawdę nie chciałam cię urazić.

- Ale udało ci się.

Przez chwilę bała się, że narzeczony wstanie od stolika i po prostu wyjdzie.

- Pawełku, nie gniewaj się, ja naprawdę...

- Nieważne - przerwał jej. - Teraz to zostawmy. Wziął do ręki menu i zaczął je niecierpliwie przeglądać.

- To na co masz ochotę?

ROZDZIAŁ 11

w którym Monika nareszcie coś odkrywa

Monika siedziała na ławce na boisku szkolnym i piła kawę, którą sobie przyniosła. Jedna z jej klas wyjechała na zieloną szkołę i dzięki temu miała okienko akurat w samym środku dnia. Za mało czasu, żeby się wyrwać ze szkoły, a znowu za dużo, żeby siedzieć w dusznym kantorku, słuchając, jak Sebastian na sali obok usiłuje nauczyć skakania przez kozła stado hałaśliwych dryblasów z pierwszej gimnazjum.

A Monika potrzebowała ciszy, żeby sobie spokojnie przemyśleć różne rzeczy.

A było co.

Kiedy wczoraj, przeglądając zdjęcia zrobione w mieszkaniu Pawła, zobaczyła na jednym z nich biblioteczkę pani Heleny, nie uwierzyła własnym oczom. Przez chwilę miała nawet nadzieję, że to nie ten sam mebel, ale charakterystyczna szybka rozwiała jej wątpliwości. „Jak to możliwe?” - zastanawiała się gorączkowo. „Skąd ten mebel się tam wziął?”

- Piękna ta szafka, prawda? - Beatka zajrzała jej przez ramię, żeby sprawdzić, czemu jej przyjaciółka tak się uważnie przygląda. - Antyk. Pawełek się długo zastanawiał, czy ją kupować, wiesz, jego mieszkanie ma taki oszczędny wystrój, ale jakiś projektant wewnątrz namówił go w końcu. Podobno to teraz najnowszy trend - łączenie starych mebli z nowoczesnymi. I muszę ci powiedzieć, że rzeczywiście bardzo fajnie to razem wygląda.

- Aha... Ciekawe... A w jakim sklepie ją znalazł?

- Zdaje się, że nie była ze sklepu, tylko bezpośrednio od właściciela. Ale jak chcesz, to mogę się zapytać. Zaczęłaś wcześniej coś mówić, że kogoś dzisiaj widziałaś...

- Becia, wydaje mi się, że musimy porozmawiać... - zaczęła Monika ostrożnie.

Beata włożyła fotografie z powrotem do koperty.

- Przecież cały czas rozmawiamy... - rzuciła lekkim tonem. - Zrobić ci coś do picia?

- Nie chcę pić. Chcę, żebyśmy pogadały poważnie. To znaczy żebyś wysłuchała, co mam ci do powiedzenia. Obiecuję, że mi nie będziesz przerywać ani się wściekać, dobrze?

Beata popatrzyła uważnie na przyjaciółkę.

- A niby dlaczego miałabym się wściekać? - spytała ze zdziwieniem i nagle zmrużyła oczy. - Nawet o tym nie myśl! Znowu Paweł? Przecież mi obiecałaś!

- Ale, Becia, ty musisz o czymś wiedzieć! Spotkałam dzisiaj tę kobietę z kawiarni...

Gdyby Beata potrafiła zabijać wzrokiem, Monika osunęłaby się martwa na podłogę.

- Przestań! Dość! Nie życzę sobie! Powiedziałam ci w Czerwińsku, że nie chcę więcej słyszeć tych bzdur, które wygadujesz na Pawła! Nie mam pojęcia, dlaczego tak go nie lubisz, ale radzę ci - daj sobie spokój. A przede wszystkim - daj mi spokój! Czy ty nie rozumiesz, że ja go kocham? Niedługo wychodzę za niego za mąż! I mam zamiar spędzić z nim całe życie!

- No właśnie rozumiem!!! - Monika prawie krzyczała. - I dlatego ci mówię: zastanów się, do cholery, za kogo wychodzisz! Przyjrzyj mu się! Może to wcale nie jest kryminalista, ja się nie upieram, ale jeżeli nie jest wobec ciebie uczciwy teraz, to jak to sobie wyobrażasz po ślubie?

- Jaki nieuczciwy, jaki nieuczciwy, przecież sama mi tłumaczyłaś, że to była tylko jego klientka!

Monika zaperzała się coraz bardziej.

- Bo mi też zrobił wodę z mózgu! To akurat mu nieźle wychodzi! Jaka tam klientka! Widziałam ją dzisiaj, jak wychodziła... - urwała, bo Beata ostentacyjnie zakryła uszy dłońmi.

- Super! Po prostu super! - Monika aż tupnęła nogą ze złości. - Ty wydorosłej, dziewczyno! - krzyknęła w kierunku przyjaciółki. - Problemów się nie rozwiązuje, chowając głowę w piasek.

„Nic tu po mnie” - pomyślała ze złością i ruszyła w stronę przedpokoju. „To bez sensu. Ona po prostu nie chce nic wiedzieć”.

- Dobra, idę. Twój cyrk, twoje małpy. Miłego wieczoru - powiedziała głośno i trzasnęła drzwiami.

- Tylko żeby potem nie było za późno... - dodała już na korytarzu.

* * *

Wypiła ostatni łyk kawy i odstawiła kubek na ławkę.

Przeraźliwe, jaka ta Beata uparta. Przecież gdyby tylko dała sobie powiedzieć, o co chodzi... Gdyby się dowiedziała, kto Pawełkowi załatwił tę biblioteczkę... Asystentka ważnego klienta! Dobrze sobie! Odkąd to, omawiając interesy na dużą skalę, kupuje się przy okazji meble? Tych dwoje musi łączyć dużo więcej, niż Paweł powiedział. A najbardziej podejrzane było, że się do tego nie przyznał. Pawełek musi mieć z tą całą Weronką romans!

To jedyne logiczne wytłumaczenie! Tylko jak to udowodnić? Przecież nie może dopuścić, żeby jej najlepsza przyjaciółka wyszła za mąż za takiego... drania, delikatnie

rzecz ujmując. A bez dowodów, najlepiej miażdżących, z Becią nie ma co gadać.

„Szkoda, że mnie nie stać na prywatnego detektywa” - pomyślała Monika z żalem. A tak, niestety, wszystko wskazuje na to, że sama się będzie musiała bawić w śledztwo.

Tylko niby jak, skoro nawet nie ma samochodu? A Pawła inaczej jak autem śledzić się nie da. No, chyba żeby warować nocami pod jego domem... Na strzeżonym osiedlu? Małe szanse na sukces.

Hmm, ciekawe, gdzie mieszka Weronka?

* * *

Po południu, kiedy Monika wpadła z wizytą do pani Heleny, została posadzona przy suto zastawionym stole.

- Pani Heleno, dziękuję! Świetne, ale więcej nie dam rady.

Zasłoniła ręką talerzyk, na który pani Helena próbowała nałożyć kolejny kawałek ciasta.

- To może chociaż herbaty sobie dolejesz, dziecko? - staruszka przesunęła w stronę gościa wysoki, jasnoniebieski dzbanek.

- A, herbaty chętnie - zgodziła się Monika i napełniła filiżankę gorącym, ciemnobrązowym płynem.

Siedziały przy niewielkim stole w saloniku. Za oknem powoli zapadał zmrok.

- Może zapalić lampę? - spytała.

Pani Helena skinęła twierdząco głową, więc Monika podniosła się z krzesła i włączyła stojącą obok na komodzie lampę z ogromnym abażurem w złote i czerwone kwiaty. Ciepłe światło sprawiło, że w pokoju zrobiło się jeszcze przytulniej.

- Skoro tak stanowczo, moja droga, odmawiasz ciasta, to, bardzo proszę, zjedz chociaż czekoladkę. Strasznie chudziutka jesteś, strasznie.

Monika sięgnęła po pudełko i pozornie obojętnym głosem spytała:

- Od kogo takie eleganckie?

Bo tak naprawdę przyszła dzisiaj do pani Heleny, żeby dyskretnie podpytać o Weronkę.

- Wyobraź sobie, że od mężczyzny. Prawdziwego dżentelmena! Był u mnie w niedzielę profesor Bilewski...

„Kurczę, znowu pudło” - pomyślała Monika, zrezygnowana. „Chyba będę musiała zapytać wprost”.

- Pani Heleno, a ta Weronka ciągle do pani zagląda?

Pani Helena pokiwała głową w zamyśleniu.

- Zagląda, zagląda... Ale czasu ostatnio ma coraz mniej. W poniedziałek to jak po ogień tylko wpadła i wypadła. Podobno miała dzisiaj z samego rana odebrać swojego szefa z lotniska i musiała jeszcze wieczorem przygotować dla niego jakieś ważne papiery.

Monika zastrzygła uszami.

- Po swojego szefa? Na lotnisko? Dzisiaj rano? - spytała zdziwiona. Z czymś jej się to skojarzyło...

Pani Helena pokiwała głową z wyraźną dezaprobatą.

- No właśnie, ja też się zdziwiłam. Kiedyś by to było nie do pomyślenia! W końcu są przecież taksówki! Żeby dziewczynę ciągnąć taki kawał drogi! Bładym świtem! Czego się teraz od pracowników wymaga!

Wtorek rano, lotnisko...

- A nie pamięta pani, skąd ten jej szef miał przylecieć?

- Oj, ależ ty ciekawska jesteś - staruszka pogroziła Monice palcem. - Czy to nie wszystko jedno skąd? Ale tak się

składa, że pamiętam, bo Weronika się cieszyła, że miała pierwszy od dawna wolny weekend. Wcześniej zawsze z tym swoim szefem jeździła, a tym razem jakoś się jej upiekło, tylko na lotnisko miała po niego wyjść.

- Czyli dokąd oni tak co weekend razem jeżdżą? - Monika nie mogła już wytrzymać z ciekawości.

- Jeszcze ci nie powiedziałam? Do Berlina.

* * *

Pół godziny później Monika stwierdziła, że musi się już zbierać.

- Nawet pani nie wie, jak się cieszę, że do pani wpadłam

- Monika nachyliła się w stronę staruszki. - Naprawdę!

Pani Helena pogładziła ją delikatnie po dłoni.

- Moja droga, wiesz, że zawsze jesteś najmilszym gościem. Zaglądaj, jak tylko możesz. No i bardzo bym chciała, żebyś wreszcie poznała Weronkę. To taka sympatyczna dziewczyna... Na pewno będzie się szybko ze sobą zaprzyjaźniły.

„Jasne, już lecę się z nią zaprzyjaźniać” - pomyślała Monika, a głośno powiedziała:

- Na pewno. Ale teraz powinnam już iść, robi się późno. Nie ma pani jakichś zamówień? Zakupy, apteka? Mogłabym...

- Nie, kochanie, dziękuję. Może raczej jutro... Gdybyś szła przypadkiem do sklepu...

Monika podniosła się z fotela i zaczęła ustawiać na tacy brudne naczynia. Pani Helena kiwała tylko głową.

- Ja to mam z tobą, naprawdę. Zostaw to, dziecko, poradzę sobie.. Kto to widział, żeby gość po sobie sprzątał.

Monika, nie przejmując się zupełnie protestami starszej pani, zabrała wszystko ze stołu, zniosła do kuchni i wstawiła do zlewu.

- Ale zmywać ani mi się waź!

Mimo to Monika pozmywała i poszła do przedpokoju pozbierać swoje rzeczy. Włożyła kurtkę, zamaszystym ruchem zarzuciła na ramię plecak i poczuła, że o coś zawadza. Kiedy się odwróciła, z wysokiej komody stojącej przy drzwiach wejściowych coś spadło. Po podłodze rozsypały się jakieś papiery.

- Przepraszam, straszna ze mnie niezdara - uklękła, żeby pozbierać kartki, leżące obok otwartej tekturowej teczki, z której wypadły.

Stoen... TP SA... Upoważnienie... zauważyła kilka nagłówek. Ale nie przyglądała się papierom zbyt uważnie, zebrała je tylko szybko, włożyła z powrotem do teczki, zamknęła ją i o mały włos nie upuściła z powrotem.

- Pani Heleno, skąd to pani ma? - spytała zmienionym głosem.

- Te papiery?

- Nie chodzi mi o papiery, tylko o tę okładkę.

- Kochanie, Weronka mi wszystko załatwiła, a tę teczkę przyniosła od siebie z pracy, właśnie z tego... - pani Helena spojrzała na logo firmy - Pawbudu. Dlaczego pytasz?

Monika odetchnęła głęboko i aż przysiadła na niskim parapecie okiennym.

- Właściwie... Ten ptak mi się spodobał, ładny, taki kolorowy.

- Wiesz, to ciekawe, bo ja też zwróciłam na niego uwagę. Bardzo jaskrawy, rzuca się w oczy. Daj, dziecko, zaniosę to do pokoju.

Monika z ociąganiem podała starszej pani teczkę.

- Nie powinny tak tutaj leżeć - pokręciła głową pani Helena. - Jeszcze ktoś ze sobą zabierze przez przypadek, a to ważne dokumenty.

- Ważne? - zapytała odruchowo Monika, choć jej myśli zaprzątnięte były teraz czymś innym.

- Bardzo. Weronika się trochę za nimi nabiegała, żeby załatwić wszystkie podpisy, stempelki... Bo wiesz, moja droga, ustanowiłam ją moim pełnomocnikiem.

Monika wyprostowała się, zdziwiona.

- Pełnomocnikiem? - powtórzyła. - Jak to?

- Wiesz, żebym nie musiała sama chodzić po urzędach. Czasami wzywają w takich bezsensownych sprawach! A Weronka była taka miła, że sama zaproponowała... Teraz może wszystko załatwiać w moim imieniu.

- Przepraszam, pani Heleno, jak to: wszystko? Opłaty też?

- No właśnie, to przede wszystkim. Dałam jej też upoważnienie na moje konto.

Monika pokręciła z niedowierzaniem głową, a potem szybko pochyliła się i pocałowała staruszkę w pomarszczone policzki.

- Muszę lecieć. Wpadnę jutro. Dobranoc.

Otworzyła drzwi i wybiegła na klatkę schodową, a potem na dwór. Chłodne wieczorne powietrze otuliło ją wilgocią. Przez chwilę oddychała głęboko, żeby się uspokoić, a potem ruszyła szybkim krokiem przed siebie. Była wściekła.

Stylizowanego, kolorowego pawia знаła bardzo dobrze. Znała również firmę Pawbud, ba, znała nawet jej właścicielkę. Narzeczony Beatki poszedł po linii najmniejszego oporu, wymyślając tę nazwę.

Poprawiła plecak na ramieniu. Ależ zbieg okoliczności. Gdyby nie zrzuciła tej teczki... Strach pomyśleć. Przecież... Przecież wychodziła od pani Heleny przekonana, że Weronka to asystentka klienta, że Paweł mówił prawdę, a ona sama

jest po prostu przeczulona na jego punkcie! A tu nie dość, że Paweł to kawał oślizgłego, kłamliwego drania, który sobie na boku ucina romans z pracownicą, wozi ją ze sobą na weekendy do Berlina i tak dalej, to jeszcze ta jego kochanka bezczelnie wkrada się w łaski pani Heleny!

Najpierw wizyty, kwiaty, prezenty, a teraz klucze do mieszkania, upoważnienie do banku, pełnomocnictwa... Ciekawe, o co chodzi tej eleganckiej jaszczurce... Bo bezinteresowność i altruizm jakoś chyba nie wchodziły w tym wypadku w grę.

Pawełek i Weronka... Niezły duecik, nie ma co.

ROZDZIAŁ 12

opowiadający o śmiałej wyprawie na teren wroga

Była prawie druga, kiedy Monika wysiadła z autobusu na placu Konstytucji i ruszyła w kierunku sklepu sportowego. Właśnie weszła pod arkady, kiedy w plecaku usłyszała brzęczenie telefonu. „Becia” - migał napis na wyświetlaczu. Monika westchnęła i nacisnęła zieloną słuchawkę.

- Tak? - rzuciła mało zachęcającym tonem. Od poniedziałkowej kłótni jeszcze nie rozmawiały.

Tym razem przeprosiła Beatka. Że nie chciała, że się zachowała jak małe dziecko i że Monika powinna ją zrozumieć. Ani słowa z sensem, same emocje, ale Monika postanowiła się nie czepiać. Jasne, nie ma sprawy, już zapomniała. Czy pomoże jej dobrać dodatki do sukni ślubnej? Chętnie, tylko kiedy? Jeszcze w tym tygodniu?

- Słuchaj, właściwie teraz jestem w centrum, jakbyś się mogła wyrwać z pracy...

Ale Beatka nie mogła. To znaczy mogła, ale plany miała zupełnie inne. Właśnie czekała na Pawełka - że też mu się udało znowu zorganizować wolne popołudnie - a potem wybierali się razem za miasto, do hotelu, w którym miało się odbyć wesele.

- Więc sama rozumiesz, dzisiaj się nie uda. Pawełek twierdzi, że musimy spróbować, jak gotują, więc raczej wrócimy późno. A jutro dałabyś radę? - Beatka już nie mówiła, tylko ćwierkała, nieomylny znak, że narzeczony się zbliżał.

Monika obiecała, że sprawdzi grafik i oddzwoni.

- Tylko się nie nabaw niestrawności - zakończyła lekko złośliwym tonem i wyłączyła telefon. Intensywna nuta euforii w głosie Beci przyprawiała ją o ból zębów. „Jedź, ślepoto, z tym draniem, jedź, a może po drodze zabierzecie jeszcze ze sobą Weronkę? Na pewno wam się przyda, doradzi...”

Monika zatrzymała się gwałtownie tuż przed drzwiami sklepu sportowego. Paweł zabiera Beatę za miasto, czyli przez całe popołudnie nie będzie go w firmie! A gdyby tak pod jego nieobecność trochę się tam... rozejrzeć? Sprawdzić, czy Weronika rzeczywiście u niego pracuje? I jako kto? Pani Helena twierdziła, że ta zielona lafirynda miała odebrać we wtorek rano z lotniska swojego szefa... A to by oznaczało, że Weronka jest... asystentką Pawła? Bardzo, hmm, osobistą asystentką. W każdym razie, co szkodzi sprawdzić? Biuro Pawbudu jest za rogiem.

Nie zastanawiając się dłużej, skręciła w Piękną. Perspektywa rozpoczęcia prawdziwego śledztwa niezwykle ją ożywiła. Tak bardzo, że kiedy po kilku minutach znalazła się przed oszklonymi drzwiami nowoczesnego budynku, w którym mieściła się firma Pawła, weszła do środka energicznym krokiem, zupełnie nie zastanawiając się nad konsekwencjami.

Właściwie nigdy wcześniej tu nie była. Kiedyś latem przechodziły tędy z Beatą i przyjaciółka pokazała jej z dumą elegancką tabliczkę z nazwą i logo firmy.

Zresztą, zdaje się, że nawet Becia w środku była tylko raz - na samym początku znajomości z Pawłem wpadła tam bez uprzedzenia, chciała zrobić swojemu mężczyźnie niespodziankę i wyciągnąć go na chwilę na miasto, ale niezłe za tę spontaniczność dostała po uszach. Paweł nawet do niej nie wyszedł, tylko przez sekretarkę przekazał, że ma ważne spotkanie i oddzwoni później.

I rzeczywiście oddzwonił, zabraniając Beatce raz na zawsze niepokoić go w biurze.

Monika, kiedy to usłyszała, miała ochotę go udusić, ale Becia wytłumaczyła jej łagodnym głosem, że Paweł prowadzi interesy na bardzo dużą skalę, jest ciągle zajęty i zestresowany, nic dziwnego, że nie chce mieszać życia prywatnego z zawodowym.

„Faktycznie, nic dziwnego” - pomyślała sobie Monika, podchodząc do windy. „Zwłaszcza jeśli po życiu zawodowym płacze mu się kochanka”.

Pawbud zajmował całe drugie piętro. Nowoczesny wystrój, dużo szkła, stali i jaskrawych akcentów kolorystycznych. Szczupła, ruda recepcjonistka w szarej marynarce obrzuciła Monikę taksującym spojrzeniem.

- Słucham? - spytała tonem idealnie pasującym do chłodnego wnętrza.

Monika, jeszcze przed chwilą pełna energii i odwagi, nagle poczuła się zdecydowanie nie na miejscu. W dodatku nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Idąc tu, nie pomyślała, że przydałby się jednak jakiś pretekst.

- Dzień dobry - to oczywiste, przywitać się trzeba. Tylko co dalej? - Ja, hmm... Chciałabym... Chciałabym się zobaczyć z panem Pawłem Jabłońskim.

To było jedyne, co jej przyszło do głowy.

- Pana prezesa nie ma. Czy pani była umówiona?

- Nie, ale bardzo mi zależy na spotkaniu.

- W jakiej sprawie?

No właśnie, w jakiej? Cholera! Monika wiedziała tylko, że Pawełek jest deweloperem, jakieś osiedla buduje, kilka domów na Kabatach... Tylko czy prezes dużej firmy zajmuje się takimi rzeczami jak sprzedaż apartamentów? Trudno, musi zaryzykować.

- Jestem zainteresowana kupnem mieszkania. Bardzo zainteresowana. Poczekam, aż pan prezes wróci.

Ruda zmrużyła oczy i obejrzała sobie jeszcze raz adidasy, dżinsy i niedbale porozciągany wełniany golf Moniki.

- W takim razie zapraszam panią do naszego działu obrotu nieruchomościami, pokój 234. Tam się pani wszystkiego dowie. Do końca korytarza, ostatnie drzwi po prawej stronie.

„Cholera, trzeba było sobie przygotować plan B” - pomyślała zdenerwowana, a głośno powiedziała:

- Ale ja już wcześniej rozmawiałam z panem prezesem Jabłońskim. Na gruncie prywatnym... - postarała się, żeby ta ostatnia kwestia zabrzmiała odrobinę dwuznacznie. Rzeczywiście, recepcjonistka wyraźnie się zainteresowała.

- Niestety, pana prezesa już dzisiaj nie będzie. Może coś powtórzyć? - spytała ciepłym nieco głosem.

- Właściwie... Pan prezes miał mieć dla mnie przygotowaną ofertę, wspominał o tym wczoraj wieczorem...

„No nieźle, powinnam jeszcze dodać: w łóżku, może by mi wtedy ten rudy robot zaproponował kawę” - pomyślała. - Uprzedzał też, że gdyby go nie było, powinnam się skontaktować z jego asystentką.

Recepcjonistka prawie się uśmiechnęła.

- Proszę chwileczkę zaczekać.

Podniosła słuchawkę wewnętrznego telefonu i przez chwilę rozmawiała z kimś półgłosem. Monika odsunęła się od lady i zaczęła uważnie rozglądać po piętrze. Przeszkłony wieżowiec w centrum miasta... Nieźle. Ciekawe, czy ta powierzchnia to ich własność czy wynajmują. Zresztą nieważne, tak czy inaczej, stać ich na to. Na ekskluzywnym wystroju wnętrza też raczej nie oszczędzali.

- Asystentka prezesa zaraz do pani wyjdzie.

Ta informacja dotarła do niej zza kontuaru w momencie, kiedy zaczęła się właśnie rozglądać za jakimś miejscem do siedzenia. Po prawej stronie zauważyła stolik i dwa fotele. Usadowiła się przezornie tak, żeby być twarzą do korytarza, w którym znajdowały się pokoje biurowe, i zamarła w oczekiwaniu. Co zrobić, kiedy stanie oko w oko z Weronką? Chyba nic. Może się zacząć głośno zastanawiać, czy się już gdzieś czasem nie widziały, i przypomnieć Weronce tamto spotkanie w poniedziałek przed domem? Do tego klasyczny tekst: jaki ten świat mały, i uciec. To znaczy nagle się rozmyślić w kwestii tych papierów, że niby to nie takie ważne, bo jeszcze tamta, nie daj Boże, zadzwoni do Pawełka zapytać, gdzie je położył...

A potem wycofać się na z góry upatrzone pozycje.

Gdzie ta Weronika?

Monika, coraz bardziej zniecierpliwiona, wpatrywała się w wylot korytarza. Duży srebrzysty zegar z jaskrawym logo Pawbudu wskazywał trzecią. „Siedzę tu i siedzę” - pomyślała. „Gdybym była prawdziwą klientką, dawno bym sobie poszła. Miała być chwilka, a jest już dwadzieścia minut”.

W firmie ruch był niewielki. Inaczej to sobie Monika wyobrażała, prawdę mówiąc. Właściwie nikt z pokojów nosa nie wytykał - tylko raz niska, korpulentna pani koło pięćdziesiątki przyniosła na recepcję jakieś papiery. „Trzeba było przyjść później, jak już będą wychodzić do domu” - pomyślała, kiedy najbliższe drzwi otworzyły się na oścież i ukazała się w nich szczupła, elegancka postać w zielonym kostiumie. Monika podniosła się ze swojego miejsca. Weronka!

Kobieta ruszyła w jej kierunku, a kiedy wyszła z korytarza w jasną przestrzeń holu, Monika ze zdziwieniem stwierdziła, że nigdy wcześniej jej nie widziała. Podobna sylwetka, kolor włosów, to wszystko. Już miała usiąść z

powrotem w fotelu, przekonana, że będzie musiała czekać dalej, ale kobieta w zielonym kostiumie podeszła prosto do niej i powiedziała:

- Pani czeka na mnie, prawda? Krystyna Gomolińska, jestem asystentką prezesa Jabłońskiego. Czym mogę służyć?

- Eee, dzień dobry... Czy myśmy się już kiedyś gdzieś nie spotkały?

Pięć minut później wybiegła na ulicę i, nie oglądając się za siebie, pobiegła z powrotem w kierunku placu Konstytucji. Ucieczka okazała się jedynym wyjściem. Kiedy zdezorientowana asystentka Pawła próbowała się od niej dowiedzieć czegokolwiek na temat papierów, które podobno prezes miał dla niej przygotować, Monika zaczęła się tłumaczyć, że to jednak nic pilnego, że nie będzie zawracać głowy, robić kłopotu itp., wpadnie kiedy indziej, jak się pan prezes pojawi, a tak w ogóle to musi już iść, odebrać dziecko ze szkoły. Jednocześnie powoli wycofywała się w kierunku windy.

- Ale co mam powtórzyć prezesowi? Że kto o niego pytał?

W tym momencie otworzyły się drzwi windy i Monika z ulgą schroniła się w środku.

- Do widzenia! - zdążyła jeszcze krzyknąć, zanim zdziwiona twarz asystentki Pawła znikła jej z oczu.

„Niezlą dałam plamę - denerwowała się - po co w ogóle się tam pchałam?”

Rzeczywiście, nie dowiedziała się niczego, w dalszym ciągu nie miała pojęcia, czy Weronika faktycznie pracuje u Pawła, za to spaliła teren, to pewne. Zapamiętają ją na lata. Czas będą liczyć w ten sposób: „Pamiętasz, to było tydzień po wizycie tej nawiedzonej idiotki”. W życiu się jeszcze tak nie zbłąźniła!

Sklep sportowy minęła, nawet nie zwalniając kroku, i wsiadła w pierwszy autobus w kierunku Pragi. Im szybciej stąd zniknie, tym lepiej.

„Dziecko ze szkoły przecież muszę odebrać” - przypomniała sobie. „Czy ja wyglądam na matkę dziecka w wieku szkolnym?”

Następną próbę namierzenia Weronki trzeba będzie zaplanować trochę lepiej. W ogóle zaplanować, a nie iść na żywioł, jak dzisiaj. Tylko najpierw pociągnie za język panią Helenę. Przecież musi być jeszcze jakiś punkt zaczepienia. Cholera, gdyby miała samochód!

* * *

Sebastian pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Czy ty naprawdę myślałaś, że ci pożyczę auto?

Wracając, wysiadła z autobusu przy stadionie, zadzwoniła do Sebastiana, który mieszkał dwa kroki stamtąd, i wyciągnęła go na chwilę z domu. Siedzieli teraz na ławce w parku Skaryszewskim, a przed nimi na trawniku kotłowały się dwa sznaucery, poszczekując i warcząc. Wierzby nad stawem błyskały tak intensywną żółcią, jakby specjalnie ściągały na siebie promienie zachodzącego słońca. Powoli zaczynało robić się chłodno. Zapadał wieczór.

- Przecież gdybym nie myślała, tobym cię o to nie prosiła, prawda?

Rzeczywiście, miała nadzieję, że Sebastian pożyczyci jej swojego seata. Stał przecież przez całe lato na parkingu, nieużywany. Po co mu samochód, skoro od trzech miesięcy jeździ tylko motorem? I przy takiej pogodzie nic nie wskazuje na to, że nagle będzie chciał się przesiąść z powrotem na cztery kółka.

- Stary, przecież ci na razie nie jest potrzebny. To tylko dwa dni. Co ci szkodzi?

- To mi szkodzi, moja piękna, że w zeszłym tygodniu sama się przyznałaś, że nie siedziałaś za kółkiem od dziesięciu lat. Daj spokój! Jakbym się chciał pozbyć auta, tobym je sprzedał, a nie oddawał za twoim pośrednictwem na złomowisko.

- Sebastian, zlituj się, wcale nie jestem takim złym kierowcą...

- Tak? To którą nogą obsługujesz pedał gazu?

- Gazu?

- Śmazu. No, szybko. Którą?

- Pra... lewą?

- Dobra, to było na tyle. Jak sobie weźmiesz lekcje doszkalające, to pogadamy. Nie wcześniej. Sorki.

Monice bardzo się przykro zrobiło, ale właściwie Sebastian miał rację. Egzamin na prawo jazdy zdała cudem przed dziesięciu laty, a potem właściwie już nie prowadziła. Chyba całe szczęście, że nie zgodził się pożyczyć jej tego samochodu, boby się potem nie wypłaciła. Ale jak ma bez auta śledzić Weronkę?

- Wiesz co, Sebek, jak nie masz w sobie za grosz ryzykanctwa, to mnie przynajmniej zabierz do kina.

- A proszę bardzo. Komedia, melodramat?

- Jakiś kryminał, proszę.

* * *

Przetrząsając plecak w poszukiwaniu kluczy, Monika natrafiła dłonią na telefon, wyjęła go więc i sprawdziła godzinę. Dochodziła siódma. Całe szczęście, że nie grali nic ciekawego i w rezultacie zamiast do kina poszli z Sebastianem na herbatę. Na śmierć zapomniała, że miała wpaść jeszcze dzisiaj do pani Heleny. Wszystko przez ten idiotyczny incydent w Pawbudzie!

Ciągle była na siebie zła, że tam poszła. Trzeba się było przygotować, przemyśleć, znaleźć jakiś sensowny pretekst!

Swoją drogą, gdyby to było takie proste, agencje detektywistyczne mnożyłyby się jak grzyby po deszczu.

A do ślubu Beatki coraz mniej czasu.

No, nie jest dobrze.

Pani Helena, jak zwykle w dobrym humorze, wpuściła ją do mieszkania, a sama poszła nastawić wodę na herbatę, choć Monika protestowała.

- Nie trzeba, naprawdę, ja tylko na moment. Wpadłam zapytać, czy czegoś nie trzeba ze sklepu...

Ale starsza pani, zajęta krzątaniem się po kuchni, nic nie słyszała. Przez mleczną szybę w drzwiach Monika widziała jej zamazaną sylwetkę. Już miała podejść bliżej i poprosić o listę zakupów, kiedy w salonie na stole zauważyła teczkę z kolorowym pawiem... Była zamknięta, ale niezawiązana, widocznie pani Helena przed chwilą musiała ją przeglądać. Aż się prosiło, żeby... Monika jednym susem dopadła do stołu, podniosła okładkę i zaczęła w pośpiechu przerzucać papiery. Wyciągi z konta... blankiety opłat administracyjnych... Jest! Pełnomocnictwo na panią Weronikę Milner, zamieszkałą...

W korytarzu zaskrzypiała podłoga.

- Kochanie, weź szybciotko ode mnie tę tacę, zaraz upuszczę!

Monika aż podskoczyła, gwałtownie zamykając teczkę. Co za pech! Zamieszkałą... Jeszcze pięć sekund i znalazby adres Weronki, a wtedy nic prostszego, jak zacząć się przed jej domem z aparatem fotograficznym. No tak, nie ma aparatu.

Ciekawe, czy Sebastian by pożyczył?

Monika spróbowała wyobrazić sobie minę Beatki, gdyby pokazała jej zdjęcia Pawła wchodzącego do mieszkania tej

jaszczurki. Albo jeszcze lepiej - wychodzącego nad ranem. Chyba wtedy musiałyby uwierzyć, że o tej porze nie załatwia się interesów... Głupia sprawa, dowiedzieć się takich rzeczy tuż przed ślubem. Z drugiej strony - po ślubie jeszcze głupsza.

Herbatę wypła duszkiem, bo najbliższy spożywczy zamykali o dwudziestej, musiała się spieszyć. Pani Helena, na szczęście, listę zakupów miała już przygotowaną, Monika przejrzała ją dla pewności przed wyjściem.

- Nie napisała mi pani szynki - zwróciła odruchowo uwagę. Bez szynki pani Helena nie mogłaby funkcjonować.

- Bo szyneczkę mam, drogie dziecko, i to swojską, prawdziwą, taką jak dawniej. Poczekaj, dam ci spróbować.

Rzeczywiście, wędlina rozpływała się w ustach.

- Rewelacyjna! Skąd pani ma takie чудо?

- Weronka mi przyniosła, już drugi raz. Kupuje u siebie na bazaru, tam są podobno najlepsze wędliny w Warszawie.

Monika przeknęła ślinę ze zdenerwowania.

- A nie pamięta pani, gdzie konkretnie jest ten bazar? Sama bym chętnie sobie takiej szynki kupiła.

- Na Zwycięzców, zdaje się. Dokładnie naprzeciwko domu Weroniczki, przynajmniej tak mówiła. Latem musi na noc zamykać okna, bo ruch tam się zaczyna już o szóstej rano, gwar taki, nie można spać. Nie to, co u nas, prawda, Monisiu? Cisza, spokój...

Ale Moniki już nie było - pani Helena usłyszała tylko trzaśnięcie drzwiami.

- W gorącej wodzie kąpana ta dziewczyna, w gorącej wodzie... - pokiwała głową starsza pani i podreptała do pokoju włączyć „Wiadomości”.

ROZDZIAŁ 13

czyli próba złapania zielonej jaszczurki

Bazarek zajmował niewielki plac przy skrzyżowaniu. Między ciasno ustawionymi budkami przeciskali się objuczeni siatkami klienci, a z sąsiedniego parkingu ciągle wyjeżdżały samochody, na których miejsce szybko wpychały się nowe. O tej porze ruch był naprawdę duży.

Monice bardzo to odpowiadało. „Nie będę się rzucać w oczy” - pomyślała. Tego dnia zajęcia w szkole zaczynała dopiero od trzeciej lekcji, więc na poszukiwania Weroniki wyruszyła z samego rana. Okazało się, że droga tutaj zajęła jej raptem dziesięć minut szybkim krokiem. „Niech się Sebastian wypcha tym swoim autem” - pomyślała zadowolona. „Poradzę sobie, łachy bez”.

Dawno nie była w tej części Saskiej Kępy, rozglądała się więc dookoła z zaciekawieniem. Stare, niskie, obdrapane kamienice co jakiś czas ustępowały miejsca nowoczesnym, jasno otynkowanym plombom. Na szczęście przy skrzyżowaniu obok bazarku stały tylko stare budynki, takie, w których na klatkach schodowych wisiały jeszcze, jak to kiedyś bywało, dokładne listy lokatorów. Ale nazwiska „Milner” nie znalazła na żadnej z nich.

Sprawdziła dokładnie wszystkie domy, w których ewentualnie mogłyby mieszkać Weronka. Najpierw te, które z bazarkiem sąsiadowały bezpośrednio, potem dalsze, aż do następnej przecznicy. Weronika Milner nie mieszkała w żadnym z okolicznych domów, a przynajmniej nie było jej na żadnej liście lokatorów.

Monikę nagle ogarnęło zniechęcenie. Po godzinie poszukiwań była zmęczona, zdenerwowana i głodna. Albo pani Helena jednak się pomyliła i to wcale nie był ten bazar, albo Weronka naopowiadała starszej pani jakichś bzdur wyspanych z palca. Tak czy inaczej, Monika znowu została na lodzie, bez żadnego punktu zaczepienia.

Ile to jeszcze dni do ślubu?

Z tego wszystkiego postanowiła kupić sobie szyneczki. Przynajmniej tyle na tym skorzysta.

Wyszła z ostatniej sprawdzonej klatki i ruszyła z powrotem w stronę targowiska. Wędlinę sprzedawano w budce przy samym wejściu, ale Monika przezornie przeszła przez wszystkie alejki, żeby sprawdzić, czy to jedyny punkt, bo gdyby po tym wszystkim zamiast swojskiej kupiła najzwyklejszą szynkę, naszprycowaną chemią, byłaby naprawdę zła.

Na szczęście okazało się, że stoisko z wędlinami jest jedno na całym bazarku, więc Monika ustawiła się w niewielkiej kolejce i z nudów zaczęła się rozglądać. Naprzeciwko miała akurat jedną z kamienic, ustawioną do placyku szczytową ścianą. W dwóch pionowych rzędach okien te na poziomie pierwszego piętra odcinały się od reszty lśniąco-białą i błyszczącymi połaciami niepodzielonych szyb. „Świeżo wstawione” - pomyślała Monika i w tym momencie za firanką mignęła jakaś postać.

Monika zmrzyła oczy. Kobieta, szczupła i ciemnowłosa, wyciągnęła rękę do klamki i otworzyła okno. Jednocześnie zdecydowanym ruchem odsłoniła firankę i w tym momencie Monika cofnęła się odruchowo, próbując się schować za plastikową plandeką stoiska.

W oknie stała Weronika i patrzyła prosto na nią.

* * *

„Zaraz, moment, co ja robię?” - zreflektowała się Monika, wracając na swoje miejsce w kolejce. „Przecież ona nie może mnie rozpoznać z tej odległości. A nawet jeśli tak, to w końcu każdy ma prawo robić zakupy, gdzie chce”. Ale mimo to poczuła się nieswojo.

- Co kupujemy? - usłyszała nagle nad uchem tubalny głos. Aż podskoczyła, wyrwana z zamyślenia. Wysoki, otyły sprzedawca, przepasany fartuchem, który prawdopodobnie kiedyś był czysty, najwyraźniej zaczynał się niecierpliwic.

- Ćwierć kilo szynki proszę - rzuciła szybko i zaczęła grzebać w plecaku w poszukiwaniu portmonetki. Kiedy po chwili podniosła wzrok i spojrzała znowu w kierunku okna, Weronika zniknęła.

Monika złapała owiniętą w papier paczuszkę i wybiegła na ulicę. „To musi być ta brama” - pomyślała, przyglądając się uważnie kamienicy. Sprawdziła godzinę na telefonie - do rozpoczęcia lekcji zostało jej jeszcze prawie czterdzieści minut, więc postanowiła, że jeszcze kwadrans się tu pokręci.

Stała obok kiosku Ruchu i udając żywe zainteresowanie okładkami pism ułożonych za szybą, spoglądała spod oka na drzwi, którymi w każdej chwili mogła wyjść ta mała.

Minęło dziesięć minut, zniechęcona Monika już zbierała się do odejścia, kiedy nagle z bramy obserwowanej kamienicy wytoczyło się złociste volvo z Weronką za kierownicą.

„A więc jednak!” - Monika z satysfakcją zatarła ręce. „Mam cię!”

Kiedy auto włączyło się do ruchu i oddaliło na bezpieczną odległość, Monika odkleiła się od kiosku, podbiegła

do drzwi wejściowych i zajrzała do sieni. Pusto. Weszła ostrożnie na pierwsze piętro i rozejrzała się po klatce - dwie pary starych, zniszczonych drzwi i jedno nowe, z ciemnego drewna, z błyszczącym judaszem pośrodku. Nad judaszem metalowa tabliczka, z wygrawerowanym ozdobnym napisem „Weronika Milner, architekt wnętrz”.

Architekt wnętrz! A więc to tak! „Jakiś projektant wnętrz go w końcu namówił!” Projektant! Żaden projektant, tylko projektantka z nogami do szyi!

Monika sprawdziła numer mieszkania i zbiegła na dół. Przed wyjściem zatrzymała się jeszcze przy liście lokatorów. „Jak mogłam przeoczyć jej nazwisko?” - zastanawiała się, przesuając palcem po rubrykach. Ale okazało się, że nie przeoczyła. Jako lokator główny lokalu numer sześć została wymieniona Apolonia Heller. Nazwisko wypisane było takim samym charakterem pisma jak większość pozostałych i tym samym wypłowiałym ze starości atramentem. „To na pewno poprzednia właścicielka” - domyśliła się Monika. „Ale skąd ja znam to nazwisko? Czy to nie przyjaciółka pani Heleny...? Ta, która w zeszłym roku zmarła nagle na serce?!”

Czyli Weronka musiała kupić to mieszkanie całkiem niedawno albo po prostu je wynajmuje. Nieważne, tak czy inaczej, niewiele brakowało, żeby poszukiwania skończyły się klapą.

A swoją drogą, Paweł powinien dzisiaj lecieć do Berlina. Ciekawe, czy sam, czy z tą jaszczurką?

„O cholera, jak późno” - zdenerwowała się, rzucając okiem na wyświetlacz komórki i ruszyła biegiem w stronę szkoły. Wpadła do kantorka tuż przed dzwonkiem, zdyszana i czerwona na twarzy.

- No proszę, mały poranny jogging? Pani profesor to dba o kondycję! - rzucił ze swojego kąta Sebastian.

- Jak masz zamiar iść teraz z dziećmi na boisko, to się lepiej przebierz. Chociaż i tak wyglądasz niczego sobie...

- A jak tam twój seacik? Nikt ci jeszcze kółeczek nie poodkręcał?

Sebastian parsknął śmiechem.

- Ciekawe, moja śliczna, jak długo będziesz mi teraz wypominać, że ci nie pożyczyłem samochodu?

- Do końca świata i o jeden dzień dłużej. Ale może, jak będziesz miły, to dam ci szansę na rehabilitację...

- Niemożliwe! Jaka łaskawa! A co tym razem potrzebujesz? Mojego harleya?

- Wypchaj się tym swoim motorem. Miałam na myśli coś mniejszego...

- Spoko. Mam w garażu hulajnogę...

Musiał odskoczyć, bo Monika z całej siły rzuciła w niego piłeczką palantową.

- Przestań się wydurniać, ja poważnie mówię. Chciałam od ciebie pożyczyć aparat fotograficzny. Na to zdaje się nie trzeba mieć prawa jazdy?

* * *

Tym razem postanowiła wszystko dokładnie zaplanować. Plan A, plan B, żadnej radosnej improwizacji. Sebastian nawet chętnie pożyczył jej swoją cyfrówkę. Co prawda, tylko na kilka dni. Tym bardziej moment trzeba było wybrać odpowiedni. Bez sensu byłoby się zaczynać na Pawełka, gdyby on wyjechał w tym czasie do Berlina.

Więc najpierw trzeba będzie zasięgnąć języka.

- No cześć, możesz gadać?

Na telefon do Beatki Monika wykorzystała przerwę obiadową. Ulokowała się wygodnie na materacach w magazynku obok sali gimnastycznej.

- Mogę, jasne. I co, idziemy dzisiaj na zakupy?
- Idziemy, idziemy. Spotkajmy się piętnaście po piątej przy Empiku na Degolu. Co ty na to?
- Dobrze, przejdziemy sobie Nowy Świat, a jak skończymy, to nas Pawełek odbierze.

- A on co, nie w Berlinie? Przecież weekend?

- No nie, tym razem został.

Więc jednak siedzi w Warszawie? Ciekawe, jakie ma plany na sobotę. Trzeba będzie wszystko z Beatki wyciągnąć.

- Muszę kończyć - zakończyła rozmowę Monika. - Piąta piętnaście przy Empiku.

Wyłączyła telefon i ze zdziwieniem stwierdziła, że przez czas trwania rozmowy małą dziurkę w bluzie, do której ledwo mogła wsadzić czubek paznokcia, rozdlubała tak, że teraz mieścił jej się tam cały palec. „Coś się nerwowa zrobiłam” - pomyślała ze zdziwieniem. „Ciekawe dlaczego?”

ROZDZIAŁ 14

w którym, krótko mówiąc, Monika zaczyna się bać

- Zdaje się, że powinniśmy to oblać – stwierdziła Monika, stawiając na podłodze trzy eleganckie papierowe torby. - Całkiem udane łowy.

Dochodziła ósma wieczór. Od piątej przebiegły cały Nowy Świat, Chmielną i większą część Galerii Centrum. Były skonane.

- Rzeczywiście, nie myślałam, że tak nam dobrze pójdzie.

Beatka z westchnieniem ulgi przysiadła na kawiar-nianym krześle, swoje torby delikatnie układając na parapecie okna, przy którym stał ich stolik.

- Muszę się napić herbaty!

Monika rozejrzała się za kelnerką.

- A niech to! Samoobsługa - jęknęła. - Dobra, poświęcę się, a ty pilnuj tego majdanu. Co ci zamówić?

- Poproszę zieloną jaśminową.

Monika podeszła do kontuaru, a Beatka sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do Pawła. Miała nadzieję, że będzie mógł po nie przyjechać - były naprawdę wykończone bieganiem, przymierzaniem i wagą podejmowanych decyzji. „Słuchaj, jak dla mnie to może być - mówiła co chwila Monika - ale czy się spodoba Pawłowi?” Beata doskonale wyczuwała w tych komentarzach nutkę złośliwości, ale nie reagowała. Od chwili incydentu w kawiarni przyjaciółka coraz bardziej ostentacyjnie okazywała niechęć do Pawła. Już dwa razy posprzeczały się o to okropnie, ale Beatka obiecała sobie, że postara się tym nie przejmować „Muszę ją

zrozumieć” - powtarzała sobie. „Ona mi po prostu zazdrości. Może nawet sama przed sobą się do tego nie przyznaje, ale zazdrości i już. Udaje dzielną i samowystarczającą feministkę, ale tak naprawdę jest strasznie samotna”.

W czwartej klasie liceum Monika chodziła z takim jedynym wysportowanym przystojniakiem z mat-fizu, ale zerwał z nią tuż przed studniówką - w efekcie nie tańczyła nawet poloneza, bo nie miała z kim. Potem długo, długo nic, wreszcie gdzieś w połowie studiów zakochała się na zabój. Igor, student piątego roku socjologii, był przemiłym facetem. Świetnie tańczył, świetnie opowiadał dowcipy, świetnie wyglądał, po prostu dusza towarzystwa. Wszystkim się wydawało, że jest w Monikę wpatrzony jak w obrazek, aż do momentu, kiedy wyszło na jaw, że co miesiąc jeździ do Radomia odwiedzać żonę i rocznego synka. Monika długo nie mogła dojść do siebie.

I jak tu jej się teraz dziwić, że jest tak negatywnie nastawiona do facetów?

A zwłaszcza przystojnych?

Te brednie, które wymyśla na temat Pawła... Trudno, trzeba jej wybaczyć.

- Jaśminowa raz!

Na stoliku przed Beatką wylądowała w tym momencie filiżanka herbaty. Obok Monika postawiła swoją.

- A tu masz ciacho.

Obie były szczupłe i lubiły słodczyce - żadnego liczenia kalorii, żadnych ograniczeń.

- Dzięki. Teraz ty popilnuj, ja muszę do toalety.

Tak naprawdę wcale nie musiała iść do łazienki, tylko zadzwonić do Pawła, bo wcześniej się zagapiła, a nie lubiła rozmawiać z nim przy Monice. Miała zawsze wrażenie, że przyjaciółka krzywi się na sam ton jej głosu. Zresztą kiedyś sformułowała to głośno: „Czy ty musisz tak do niego ćwierkać?”. Ale Beatka lubiła tak do niego mówić, i już. W końcu

to jej własna, prywatna sprawa, jakim tonem zwraca się do swojego narzeczonego.

Odeszła na bezpieczną odległość i wybrała numer Pawła. Odezwał się po dwóch sygnałach.

- Kochanie, jestem w tej chwili zajęty. Oddzwonię za pięć minut.

W jego głosie Beatka usłyszała leciutką nutę irytacji. Zawsze, kiedy rozmawiali, czuła się trochę tak, jak kiedyś w szkole przy profesorce od matematyki - za wszelką cenę starała się wypaść jak najlepiej, a i tak zawsze na półroczu miała słabą trójkę.

- Oczywiście, kochanie.

Rozłączył się, a Beatka wróciła do stolika i zajęła się szarlotką.

- Dzięki za pomoc - rzuciła w stronę Moniki między jednym kęsem a drugim.

- Nie ma sprawy, polecam się na przyszłość. Właściwie to nie miałam pojęcia, ile rzeczy jest człowiekowi potrzebne, kiedy wychodzi za mąż.

- Nie człowiekowi, tylko kobiecie - wtrąciła Beatka.

- Masz rację, sorki. No więc kobiecie. I w związku z tym ile kobieta musi na to wszystko wydać.

- Nie kobieta, tylko mężczyzna - poprawiła Beca.

Parsknęły śmiechem i w tym momencie zadzwonił Paweł.

- Tak, kochanie?

- Słuchaj, ptaszku, mam tu jeszcze trochę pracy... Chyba poproszę Jasia, żeby po ciebie przyjechał. Gdzie teraz jesteś?

- Siedzimy w Galerii Centrum, w jakiejś takiej małej kawiarence...

- Siedzimy? - zainteresował się Paweł. - Jesteś z kimś?

- Poprosiłam Monikę, żeby mi pomogła. I bardzo dobrze, wiesz, bo gdybym chodziła sama, to nawet połowy tych rzeczy bym nie kupiła. Dużo trudniej jest się zdecydować...

- Oczywiście, rozumiem. A u niej wszystko w porządku?

- U Moniki? Jasne. Dlaczego pytasz?

- Nie wiem, tak sobie. W takim razie... Bądźcie za kwadrans na parkingu przed filharmonią.

- Będziemy. Zadzwoń jeszcze później, dobrze? Pa.

Beatka schowała telefon do kieszeni przewieszzonego przez oparcie krzesła beżowego żakietu.

- Wiesz, kto nas będzie wiozł? Jasio! – zameldowała przyjaciółce. - Ciekawe, czy dzisiaj się uśmiechnie?

Ale nie dane im się było o tym przekonać, bo na parking pod filharmonią podjechał Paweł.

- Kochanie, przecież miałaś jeszcze pracować! - zdziwiła się Beatka, siadając z przodu i całując narzeczonego w policzek. - Dlaczego nie przysłałeś Jasia?

Paweł rzucił szybkie spojrzenie Monice.

- Nic się nie stało, wszystkie papiery wziąłem ze sobą, dokończę w domu. I pomyślałem sobie, że może byśmy poszli gdzieś razem na kolację? Co wy na to?

Beatka ucieszyła się i od razu zaczęła się zastanawiać, do jakiej restauracji, ale Monika zaprotestowała gwałtownie. Paweł dziwnie na nią działał, więc nie zamierzała się męczyć przez cały wieczór w jego obecności. Oczywiście nie mogła tego powiedzieć głośno, dlatego zaczęła się wykręcać zmęczeniem.

- Kochani, jeśli macie ochotę pójść sobie do knajpy, to ja nie mam nic przeciwko temu. Odwieźcie mnie tylko wcześniej do domu, a potem sobie jedźcie. Przynajmniej nie będę wam zasypiała przy stole.

W końcu ruszyli w kierunku mostu Poniatowskiego. Paweł prowadził bardzo ostro. Po drodze nagle zatrzymał się z piskiem opon przed sklepem całodobowym.

- Momencik. Zaraz wracam.

Kiedy trzasnęła drzwiczkami, Monika odetchnęła z ulgą. Całe szczęście, że nie będzie musiała siedzieć z nim dziś wieczorem przy jednym stole.

- Nie wiedziałam, że ty w ogóle kiedykolwiek bywasz zmęczona - zauważyła Beatka. - I to aż tak, żeby nie móc przejść pięciu kroków od samochodu do drzwi restauracji.

Monika wyczuła w jej głosie lekką pretensję.

- Każdy czasem bywa. Zresztą, po co ja wam jestem do towarzystwa? Posiedzicie sobie we dwoje, popatrzycie w oczka, potrzyumacie się za łapki... - zbagatelizowała sprawę. - A ja sobie spokojnie pójdę spać do ciepłego łóżeczka...

W tym momencie wrócił Paweł. W rękę trzymał podłużny kształt owinięty w papier.

- Jak nie góra do Mahometa - rzucił wesołym głosem - to Mahomet do góry! Kupiłem wino. Wypijemy u Moniki. Co wy na to?

* * *

Paweł zaparkował z fasonem na chodniku, w tym samym miejscu, w którym przed tygodniem stał samochód Weroniki.

- Nie chcę was oczywiście zniechęcać, ale u mnie straszny bałagan...

„Jeżeli ten argument nie podziała, to już nic nie wymyślę i zwałą mi się zaraz oboje na głowę” - westchnęła Monika.

Nie podziałał. Beatka stwierdziła, że do bałaganiarstwa przyjaciółki dawno się zdążyła przyzwyczaić, a Paweł

zadeklarował, że jeżeli tylko znajdą się trzy czyste kieliszki, to on może nawet stać w łazience.

- Oho, jacy jesteście dowcipni - skomentowała Monika pod nosem, po czym głośno dodała: - No dobra, trudno, wchodzicie na własną odpowiedzialność.

Kiedy wysiadali z samochodu, Monika zwróciła uwagę, że Paweł ma w ręku tylko kupioną wcześniej butelkę wina.

- Teczki nie bierzesz? - zdziwiła się.

Elegancki skórzany neseser leżał podczas drogi obok niej na tylnym siedzeniu.

- Przecież ci gwizdną w kwadrans.

- Tak myślisz? - zawahał się.

- Nie myślę. Wiem. Ale jak chcesz, możemy się założyć...

W mieszkaniu rzeczywiście miała potworny bałagan. Dojrzewał od kilku dni i gdyby był jabłkiem, dawno spadłby już z drzewa.

Monika weszła pierwsza, żeby torować drogę. W przedpokoju kopnęła w kąt leżące na środku adidas, podniosła z podłogi szalik, a puste wiaderko na śmieci zabrała do kuchni. Tu było dużo gorzej - zlewozmywak pełen naczyń, kuchenka pokryta zaschniętym kożuchem zupy pomidorowej, na stole okruchy i ślady masła.

- Może lepiej idźcie od razu do pokoju, za chwilę do was przyjdę - rzuciła w stronę przedpokoju, zastanawiając się jednocześnie, czy rano zdążyła pościelić łóżko.

- A ja podejrzywałam, że ten bałagan wymyśliłaś, żeby się nas pozbyć - zażartował Paweł, zaglądając do kuchni. Monika wyczuła w jego głosie chłodną złośliwość. „Miły wieczór się zapowiada” - pomyślała zrezygnowana.

Zaczęła przetrząsać szafki w poszukiwaniu jakiejś przekąski do wina, ale znalazła tylko słoik ogórków konserwowych i masło orzechowe.

- Bardzo mi przykro, nie mam zupełnie nic do jedzenia. Nie spodziewałam się gości - oznajmiła, wchodząc do pokoju.

- A może przynajmniej masz korkociąg? - zainteresował się Paweł.

- Pewnie, że mam...

Ale na zwykłym miejscu, czyli w szafce w kuchni, korkociągu nie było. Zaraz, moment, kiedy go ostatnio używała? Wina nie otwierała już od dawna, ale... kiedy kilka dni wcześniej sznurowadło w adidasach wylazło jej z jednej dziurki i nie mogła go za nic włożyć z powrotem, czubek korkociągu okazał się idealny do przepychania. Czyli musiała go zostawić gdzieś w przedpokoju...

Otworzyła gwałtownie najwyższą szufladę starej komody stojącej pod lustrem obok drzwi wejściowych i o mały włos nie zrzuciła teczki, którą Paweł na niej postawił. Przytrzymała ją w ostatniej chwili.

„Uff, ale by było” - odetchnęła z ulgą, a kiedy odstawiała teczkę na miejsce, w bocznej kieszeni zauważyła włożony niedbale gruby plik dokumentów. „To pewnie ta jego robota, którą sobie zabrał do domu” - pomyślała. „Ciekawe, nad czym pracuje pan prezes... A gdyby tak... rzucić okiem?”

Z pokoju dochodził przytłumiony głos Pawła i cichy śmiech Beci. Nie namyślając się dłużej, Monika wyciągnęła papiery i szybko zaczęła przerzucać zadrukowane strony. Wyglądało to na ekspertyzę geologiczną jakiegoś terenu, właściwie nic ciekawego. W prawym górnym rogu każdej kartki przystawiono pieczętkę Urzędu Gminy w Górkach Mazowieckich.

Nagle z pokoju dobiegło ją charakterystyczne skrzypienie podłogi. Monika zamarła.

- No, co z tym korkociągiem? - zapytał głośno Paweł.

Podłoga zaskrzypiała znowu.

„O Boże, idzie tu!” - pomyślała w panice Monika i w jednej sekundzie uświadomiła sobie, że nie zdąży już odłożyć kartek z powrotem do teczki. Nie zastanawiając się, co robi, wrzuciła je do otwartej szuflady komody. W tym momencie w drzwiach pokoju stanął Pawełek.

- Już, już, momencik, jestem na tropie - zażartowała niepewnym głosem.

- Może ci pomóc szukać? - zaproponował, robiąc krok w jej kierunku. Był bez marynarki, prawą dłonią właśnie rozluźniał węzeł krawata.

- Nie, dzięki! - prawie krzyknęła, przesuwając gwałtownym ruchem papiery w głąb szuflady. - Poradzę sobie.

Drżącymi ze zdenerwowania rękami zaczęła grzebać w starych rękawiczkach, sznurowadłach i innych szpargałach, tworzących jedno wielkie i nieczytelne kłębowisko.

Paweł oparł się o ścianę tuż obok komody. Poczula odurzający zapach jego wody kolońskiej. „Zaraz tu zajrzy” - zdążyła pomyśleć i w tym momencie natrafiła dłonią na coś twardego. Odetchnęła z ulgą.

- No proszę! Jest! Można otwierać – wyciągnęła korkociąg w kierunku Pawła, jednocześnie brzuchem zamykając szufladę. - Idź do Beatki, ja zaraz przyjdę.

Miała nadzieję, że Paweł wróci teraz do pokoju, a ona będzie miała możliwość odłożenia dokumentów na miejsce. Wolała się nie zastanawiać, co by było, gdyby zauważył ich brak. Ale Paweł nie odchodził. Odbierając korkociąg, przytrzymał jej rękę i zbliżył twarz do jej twarzy.

- Bardzo piękna komoda - powiedział cicho nieprzyjemnym, zimnym głosem. Monice ciarki przeszły po plecach. „Widział, musiał widzieć, jak chowałam papiery” - pomyślała przerażona. „Zaraz tu zajrzy! Co robić?!”

- Tak, to po babci - odpowiedziała niepewnie.

- I co - kontynuował, zaciskając coraz mocniej palce na jej dłoni - zabierzesz ją ze sobą do nowego mieszkania?

Monika nie zrozumiała.

- Do nowego mieszkania? - powtórzyła zdziwiona. - Jakiego nowego mieszkania?

- Tego, które zamierzasz kupić przez moją firmę - przysunął się jeszcze bliżej, a zapach wody kolońskiej stał się nie do wytrzymania.

- Ja... nie wiem... o czym... mówisz... - wykrztusiła z trudem. Po plecach przeszedł ją dreszcz.

- Nie wiesz? Chętnie ci przypomnę. Pytałaś w Pawbudzie o apartamenty...

Cholera, donieśli mu! Pewnie ta szara flądra z recepcji. Na jej wspomnienie Monika poczuła nagły przypływ energii.

- Ach, mieszkanie! No tak, ale to nie dla mnie - oświadczyła sztucznie beztroskim głosem.

- Nie dla ciebie? Co ty powiesz? - zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Ano, nie dla mnie. Kolega prosił, żebym się zorientowała. Szuka czegoś o wysokim standardzie, więc pomyślałam o was.

Gwałtownym ruchem uwolniła rękę. W miejscu, gdzie Paweł ją przytrzymał, na opalonej skórze pozostały odcisnięte dwa białe ślady.

- A słyszałaś kiedyś takie przysłowie: „Nie kładź palca między drzwi, bo ci go przytną”? - zapytał jeszcze.

Na szczęście Monika nie musiała odpowiadać, bo z pokoju dobiegł zirytowany głos Beatki:

- No, co wy tam robicie? Ileż można szukać jednego korkociągu?

Paweł posłał Monice przeciągłe spojrzenie, odwrócił się na pięcie i wyszedł z korytarza. Po chwili usłyszała, jak odsuwa krzesło, żeby usiąść. „Raz kozie śmierć” - pomyślała, gwałtownie otwierając szufladę komody. Szybkim ruchem sięgnęła po dokumenty i wsunęła je z powrotem do bocznej kieszeni teczki. Udało się! Odetchnęła z ulgą.

Kiedy wróciła do pokoju, Paweł nalewał właśnie wino. Popatrzył w jej kierunku, uśmiechnął się, jak gdyby nigdy nic, i powrócił do przerwanej czynności. „Kawał dwulicowego drania” - wzdrygnęła się. „Przyjechał tutaj tylko po to, żeby mnie postraszyć. Przecież miał przysłać Jasia... Biedna Becia, trzeba coś zrobić, zanim będzie za późno”.

Wypili po pół kieliszka i nagle Pawłowi się przypomniało, że w domu czeka go jeszcze mnóstwo pracy.

- Bardzo było miło, ale na nas już czas. Kochanie, żegnamy się - zarządził, narzucając marynarkę.

„No tak, przecież już załatwił to, po co przyszedł” - uświadomiła sobie Monika.

Beatka wypila ostatni łyk wina i wstała posłusznie od stołu.

- Moniczka, jeszcze raz ci dziękuję. Bardzo, bardzo mi pomogłaś. Bez ciebie bym sobie nie poradziła. Buziaczki.

Objęła przyjaciółkę i pocałowała w policzek. Paweł stanął tuż za narzeczoną i popatrzył nad jej głową na Monikę. Ich spojrzenia się spotkały. Monika dostrzegła w jego oczach ostrzeżenie. Poklepała więc tylko lekko przyjaciółkę po plecach i odsunęła się na bok.

- Nie ma sprawy, cała przyjemność po mojej stronie. Idźcie już, rzeczywiście zrobiło się późno.

W przedpokoju Paweł sięgnął na komodę po teczkę. Monika nie mogła oderwać wzroku od pliku dokumentów wystających z bocznej kieszeni. Nie była pewna, czy włożyła je dostatecznie głęboko. „O Boże, żeby tylko nie wypadły” - zaciskała zdenerwowana kciuki.

Ale na szczęście nic takiego się nie stało.

Otworzyła szeroko drzwi, jeszcze raz nadstawiła policzek wychodzącej przyjaciółce, a potem oficjalnie wyciągnęła rękę w stronę Pawła.

- Do widzenia - powiedziała chłodno.

Paweł przytrzymał jej dłoń.

- Jakie śliczne paluszki - powiedział przesłodzonym głosem, od którego Monice zrobiło się niedobrze. - Trzeba uważać, żeby nic im się nie stało.

I ruszył szybkim krokiem za Beatką. Monika wróciła do pokoju i nałała sobie wina.

- No, żebyś się nie zdziwił - powiedziała głośno, unosząc kieliszek.

ROZDZIAŁ 15

czyli o tym, jak Monika zostaje z ogonem jaszczurki w ręku

- Noga, Benek, noga! - Monika szarpała za smycz, próbując przywołać psa do porządku, ale Benek, potężny, jasny labrador, kompletnie nic sobie z tego nie robił. Ze stoickim spokojem obsikiwał rachityczne drzewko, rozglądając się jednocześnie za następnym. Miał niecały rok, parę kilo nadwagi i siłę niewielkiej lokomotywy - ciągnięcie Moniki zygzakiem po chodniku nie stanowiło dla niego większego problemu. Merdał przy tym cały czas radośnie ogonem, a głupkowaty uśmiech nie schodził mu z pyska.

„Po jaką cholere taszcze ze sobą to bydłę” - wściekała się w duchu. Ale nie mogła się już wycofać. Paweł wyjątkowo został dziś na weekend w Warszawie, w dodatku na pewno nie spotykał się z Beatką, co Monika sprawdziła u źródła, lepszy moment na obserwację domu Weroniki mógł się nie powtórzyć.

Przedsięwzięcie, choć na pozór banalne, wcale nie było takie proste. Monika nie mogła się zacząć w samochodzie, bo samochodem nie dysponowała, a w promieniu kilkuset metrów od bramy nie było gdzie się porządnie schować - przecież nie mogła godzinami kucać przy kiosku Ruchu i udawać, że szuka zgubionego bilonu. W końcu wpadła na pomysł pożyczenia psa od sąsiadów - Benek miał występować jako kamuflaż. Myślała naiwnie, że będą sobie chodzić powolutku w tę i z powrotem, nie zwracając niczyjej uwagi, ot, taki wieczorny spacer z psem, nie doceniła jednak energii labradorów. W efekcie, poruszając się zrywami za

rozbawionym zwierzakiem, Monika odnosiła nieprzyjemne wrażenie, że wszyscy się na nią gapią. W dodatku próby przywoływania go do porządku nie dawały właściwie nic, może poza robieniem jeszcze większego zamieszania wokół.

„Jak to dobrze - pomyślała Monika - że okna tej fladry nie wychodzą na ulicę”.

Starła się iść jak najwolniej, ale Benek miał inne zdanie, więc przecznicę pokonała w niecałe trzy minuty.

- Pochodzimy sobie trochę, piesku - pochyliła się i poklepała szeroki łeb labradora, który właśnie zatrzymał się na chwilę, żeby obwąchać kosz na śmieci. – Ale najpierw musimy obejść od drugiej strony i sprawdzić, czy u Weronki się świeci.

W tym momencie z piwnicznego okienka wyprysnął kot. Minął ich kilkoma długimi susami i przebiegł na drugą stronę ulicy. Benka na moment zatkąło, po czym wyszarpnął Monice smycz z ręki i ujadając donośnie, popędził za nim.

- Benek!!! - wrzasnęła. - Benek, wracaj!!!!

* * *

- O Boże, jak ty wyglądasz? - zdziwiła się Ania, właścicielka Benka, na widok zgrzanej, czerwonej na twarzy i potarganej Moniki. Jej bluzę pokrywały brudne smugi, a lewa nogawka dresowych spodni była rozerwana do pół łydki. - Co się stało?

- Lepiej nie pytaj - odpowiedziała Monika ponuro, wręczając jej smycz. - Bardzo miłe zwierzątko, bardzo. Tylko trochę mało zdyscyplinowane. Dobranoc.

W domu poszła prosto do łazienki i napuściła sobie pełną wannę wody. Po godzinie biegania za psem po podwórkach,

klatkach schodowych i przedzierania się za nim przez krzaki była wykończona.

- Działań operacyjnych mi się zachciało - burczała wściekła pod nosem. - Całe szczęście, że nie zgubiłam po drodze cyfrówki Sebastiana. A swoją drogą, to wszystko przez niego i to jego sobkostwo. Gdyby zgodził mi się pożyczyć auto...

I nagle, zanurzając dłoń w pachnącej lasem pianie, żeby sprawdzić temperaturę wody, wpadła na niezły pomysł. Przyniosła sobie z kuchni telefon, wystukała numer Sebastiana i poprosiła, żeby na kilka godzin został jej kierowcą.

* * *

Przyjechał po nią następnego dnia, w niedzielę, punktualnie o dwudziestej i pięć minut później byli już na miejscu.

Zaparkował swojego seata na chodniku naprzeciwko bramy domu, w którym mieszkała Weronika.

- I co teraz, szefowo? - zapytał.
- Teraz? Nic. Czekamy - wzruszyła ramionami Monika.
- Długo?
- A bo ja wiem? Do skutku.
- OK. Bardzo lubię skutki. Zwłaszcza z tobą.

Sebastian nacisnął dźwignię z boku fotela, odgiął oparcie do tyłu, wyciągnął się na całą swoją długość i z westchnieniem rozprostował nogi. Był w czarnych dżinsach i grubym wełnianym, czarnym swetrze z golfem. Monika uśmiechnęła się. Klasyczny strój detektywa do nocnych działań w terenie.

- Możesz się teraz zdrzemnąć, jakby co, to cię obudzę - zaproponowała wspaniałomyślnie. - Zresztą, ty i tak nie wiesz, co jest grane.

- No właśnie - zainteresował się Sebastian. - A kiedy mi powiesz?

- Powiem co?

- No, wszystko! Kogo śledzimy, dlaczego śledzimy i czy mi nikt z zemsty nie zdemoluje samochodu bejsbolem, takie tam duperele...

Monika poprawiła się na swoim fotelu i odwróciła w jego stronę.

- Właściwie to sama dokładnie nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi... - przyznała ostrożnie i zaczęła opowiadać o swojej przyjaciółce Beatce, o jej narzeczonym Pawełku i Weronice, która jest z nim w jakiś tajemniczy sposób związana. Przyznała, że niepokoi ją dziwna zażyłość Weroniki z panią Heleną, zwłaszcza że staruszka to wyjątkowo łatwowierna osoba.

Pokazała następnie Sebastianowi pół guzika, które znalazła w Czerwińsku pod płotem, przyznała się nawet do idiotycznej wizyty w biurze Pawła. W końcu przedstawiła mu swoją teorię, według której Weronika jest kochanką Pawła, a jedynym sposobem udowodnienia tego czarno na białym byłoby przyłapanie, jak wchodzi albo wychodzą z jej domu. Najlepiej w czułych objęciach.

Kiedy doszła do opisu wczorajszej wyprawy rozpoznawczej z Benkiem, Sebastian nie wytrzymał i gruchnął śmiechem.

- Ale jaja! Niezły musiał być widok! A jakbyś jeszcze była w szpilkach i miniówie!

- Słuchaj! Uspokój się! - szturchnęła go Monika. - Sprawa jest poważna!

- Dobra, dobra... Masz rację. Jak zawsze... - Sebastian mrugnął do niej porozumiewawczo. - A tak w ogóle to nie rozumiem tego faceta. Po co się spieszy do ślubu, skoro ma romans z inną?

- Właśnie. To jest cholernie podejrzane...

- Podejrżane to jest, jak facet nie ma żadnej baby.
- Tak jak ty? - odpaliła bez namysłu Monika.
- Nie mam baby, bo ty mnie nie chcesz... - westchnął Sebastian na tyle żałośnie, że Monika poczuła wyrzuty sumienia. - Na przykład teraz... Zamiast siedzieć tu jak kolki, moglibyśmy coś ciekawszego robić...

- To trzeba było zostać w domu - odburknęła. - Jak masz marudzić...

- O cholera! Monika, patrz! - przerwał jej nagle. Oboje jak na komendę zjechali na swoich fotelach niżej, obserwując czujnie wielkiego czarnego mercedesa, który właśnie zaparkował kilka metrów dalej.

- Szpiedzy na filmach w takich momentach to się zaczynają całować dla niepoznaki... - zaczął zachęcająco Sebastian, ale Monika uciszyła go krótkim warknięciem:

- Zamknij się!

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Zaciemnione szyby mercedesa nie pozwalały dostrzec, co dzieje się w środku. W końcu drzwiczki od strony pasażera otworzyły się powoli i wysiadła z nich wysoka brunetka w białym prochowcu i szpilkach.

- Ale nam się udało! To Weronka - szepnęła Monika, choć mogłaby nawet krzyknąć, i tak z tej odległości nikt by jej nie usłyszał. Przyglądała się zafascynowana, jak następnie z mercedesa wysiada kierowca, obchodzi auto, obejmuje kobietę w pasie i całuje ją w usta.

- O kurczę! Ale laska! - nie wytrzymał Sebastian. - To na nią czekamy? Gdzie mój aparat?

Ale Monika siedziała nadal bez ruchu, nie mogąc odebrać oczu od pary przy samochodzie.

- Monika, no co jest? - zdenerwował się Sebek. - Dawaj ten aparat! Gdzie go, do cholery, rzuciłaś? Fotki trzeba pstrykać!

- Tutaj, ale nie rób zdjęć - westchnęła Monika i spojrzała na niego zdezorientowana. - Nic nie rozumiem...

- Jak to, mówiłaś, że musisz mieć dowód! Obrazek jak na zamówienie, przytulają się, całują, więcej nie trzeba - gardłował Sebastian, machając jej aparatem przed nosem.

- Ale jest pewien problem...

- Coś ty, zobacz, ustawili się pod latarnią, świetnie widać...

- To nie on!

- Że co?

- To nie ten facet...

* * *

Woda w czajniku zabulgotała gwałtownie.

- Zwykły Lipton czy Earl Grey? - krzyknęła Monika.

W drzwiach kuchni pojawiła się rumiana, zadowolona gęba Sebastiana.

- Wszystko jedno, z twoich pięknych rączek może być nawet płyn do mycia naczyń.

- Przestań się wygłupiać! Lepiej weź cukier i łyżeczki.

Chwyciła parujące kubki i spróbowała wyminąć Sebastiana w wąskim przejściu.

- Weź te łapy, bo cię zaraz obleję wrzątkiem - fuknęła, kiedy chciał ją objąć. - Jak się będziesz tak zachowywał, to już cię więcej o nic nie poproszę.

Sebastian, niezrażony, roześmiał się i odsunął na bok.

Monika lubiła go, nawet bardzo. Pojawił się w ich szkole na początku zeszłego roku. Miał mnóstwo energii, sztubackie poczucie humoru i przeciętną powierzchowność. Plan

ustawiono im w ten sposób, że uczyli te same klasy - Monika dziewczyny, a Sebastian chłopców, więc spotykali się codziennie. Spędzali ze sobą z konieczności dużo czasu, głównie na przerwach, ale mieli też wspólne okienka. Wychodzili wtedy posiedzieć przed szkołą, a jeśli była brzydka pogoda, pili herbatę w kantorku, gadając o bzdurach i próbując przekrzyczeć ćwiczącą w sali obok młodzież.

Sebastian od początku nie ukrywał, że Monika mu się podoba, ale ona trzymała go na dystans. Nie przejmując się tym, podejmował wciąż próby, a ona uparcie odsyłała go z kwitkiem. Jednocześnie czuła przez skórę, że byłoby jej bardzo przykro, gdyby jednak zrezygnował. Jego stała obecność w roli przyjaciela i to, że zawsze, w każdej sytuacji mogła na niego liczyć, dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Poza tym zwyczajnie go lubiła, był wesoły, wysportowany i świetnie tańczył. Przyjemnie było mieć go w pobliżu.

Byle nie za blisko.

Monika ulokowała się w starym, wygodnym fotelu z wypłowiałą tapicerką w czerwone róże i postawiła herbatę na małym stoliku obok. Sebastian kręcił się przez chwilę niezdecydowanie między stołem a kanapą.

- Co ty kombinujesz? - zirytowała się. - Usiądź wreszcie, bo się nie mogę skupić.

- Ja tylko próbuję znaleźć miejsce, z którego będę mógł lepiej podziwiać twoje piękne nogi - odpowiedział poważnym tonem Sebastian, więc Monika rzuciła w niego poduszką.

- No dobra, dobra - opadł na kanapę. - Tu więcej miejsca, gdyby ci się przypadkiem zachciało do mnie przytulić... A teraz, mój śliczny Sherlocku, wytłumacz mi, dlaczego całą drogę powrotną klełś jak szewc?

- Bo mi się właśnie, cholera, taki dobry ślad urwał! Dałabym sobie głowę uciąć, że Weronika, ta dziewczyna przy samochodzie, kręci z Pawelkiem. Wszystkie elementy mi ślicznie do siebie pasowały, w dodatku ten kretyn strasznie się zdenerwował moją wizytą w Pawbudzie. Gdybyś go zobaczył, jak się miotał i jak mi groził... Myślałam, że to dlatego, że Weronka jest jego asystentką, taką... osobistą, i jakby Beatka się o tym dowiedziała, toby jednak za niego nie wyszła. A jemu, rozumiesz, strasznie zależy na tym ich ślubie. W dodatku na szybkim ślubie.

- Może narzeczona w ciąży jest...? - zaśmiał się głupio Sebastian. Siedział rozwalony na kanapie i zaczynał się już trochę nudzić. Wołałby spędzać czas z Moniką na czym innym. Nie na detektywistycznych pogaduszkach.

- O rany, z tobą to nie można nawet pogadać - rozłościła się Monika. - Ja tu do ciebie o poważnych sprawach...

W tym momencie przypomniała sobie o resztkach wina w lodówce. Poszła więc do kuchni i po chwili wróciła z butelką i jednym kieliszkiem.

- A ja nie dostanę? - upomniał się Sebek żałośnie.

- Nie, ty prowadzisz - odparła stanowczo i nałała sobie szczydrze. Podniosła kieliszek do góry i sprawdziła pod światło barwę. Potem opuściła rękę, zakręciła energicznie winem i upiła łyk.

- Dobrze, trzeba przyznać. To ten buc, Pawełek, kupował... - westchnęła sobie i wróciła do tematu.

- Nie wiem teraz, co mam o tym wszystkim myśleć. Paweł ma nieczyste sumienie, tego jestem pewna w stu procentach. To niebezpieczny człowiek. Chciałam Beci otworzyć oczy, ale ona jak ta ćma do światła. Bezmyślnie w stronę tej swojej „wielkiej miłości”. Jednego złego słowa na

Pawełka nie pozwoli powiedzieć. Muszę, cholera, mieć jakieś dowody w ręku. Wtedy ją przekonam.

- Na mnie możesz zawsze liczyć - Sebastian wypiął uroczyście pierś z kanapy.

- Dzięki, przyda się - Monika rzuciła mu roztargnione spojrzenie. - Tylko ja tu czegoś nie rozumiem. Jeżeli nic go nie łączy z Weroniką, to dlaczego mnie próbował nastraszyć?

- Bo boi się, że odkryjesz coś innego - odpowiedział Sebastian w natchnieniu. Położył się wygodnie na kanapie i zamyślonym wzrokiem mierzył sufit. - Coś dużo poważniejszego niż romans przed ślubem - kontynuował. - Dlatego uważam, że powinnaś szukać dalej. Bo jeśli on się boi, to znaczy, że muszą być ślady jak byki, takie, że nawet ty możesz je odkryć.

- Nawet ja? Dzięki! - Monika nadała się.

- No, nie złość się, moja śliczna. Powiedz mi lepiej, jak to jest: jeżeli Paweł i Weronika nie mają romansu, to co ich ze sobą łączy?

- O! Zaczęło się głową ruszać. Brawo! Ale to faktycznie dobre pytanie. Nie wiem... Może jakieś interesy? Słuchaj, może te, których ujawnienia Paweł tak się boi! - Monika zerwała się z fotela. - Ale jak to sprawdzić?

- Masz tylko dwa punkty zaczepienia: Paweł i Weronika. Pawła będzie trudno śledzić, bo po pierwsze cię zna, a po drugie nie masz samochodu. Zostaje więc ta Weronika. Uważam, że się powinnaś z nią zaprzyjaźnić.

Monika, podekscytowana, przysiadła na kanapie obok Sebastiana.

- Wiesz, że jesteś już drugą osobą, która mi to proponuje? Problem polega na tym, że nie mam czasu. Oni biorą ślub za dwa tygodnie!

Sebastian patrzył na nią z zachwytem. Kiedy tak gestykulowała, a jej ciemnoniebieskie oczy błyszczały ożywieniem,

wyglądała naprawdę ślicznie. Nie namyślając się wiele, ostrożnie przysunął się bliżej. Może uda się ją wreszcie pocałować? Przybliżył twarz do jej twarzy i kiedy już prawie pewien był sukcesu, ona gwałtownie odsunęła się na bezpieczną odległość.

- Odwaliło ci czy co? Wytrzymać z tobą dzisiaj nie można!

- Bardzo ci zależy na tej Beatce, prawda? - przerwał jej.

- Pewnie, że tak! To moja najlepsza przyjaciółka! - wykrzyknęła, jeszcze trochę urażona.

- A mój najlepszy przyjaciel pracuje w Komendzie Głównej. Spisz wszystko, co wiesz o tym facecie, dam to Tomkowi, niech go sprawdzi. Oni tam mają swoje sposoby. Może rzeczywiście się okaże, że ma coś na sumieniu...

- Naprawdę? Zrobisz to? Kochany jesteś!

- Tak, tak, to się nawet da odczuć... - powiedział ponuro i zaczął się zbierać do wyjścia.

- Oj, nie marudź, wiesz, że cię lubię...

- Jakoś mi to nie wystarcza... - westchnął boleśnie, więc go na pożegnanie cmoknęła w policzek.

„Jestem straszna” - pomyślała, zamykając za nim drzwi.

ROZDZIAŁ 16

w zasadzie niewnoszący nic nowego

Beatka z trudem przycisnęła cieniutką bluzeczkę przez głowę. W przebieralni było okropnie duszno i właściwie miała już dosyć tych zakupów, ale musiała przecież skompletować odpowiednią garderobę na miodowy miesiąc. Przyjrzała się krytycznie swojemu odbiciu w wielkim trójskrzydłowym lustrze. Jakoś nie bardzo się sobie podobała w tym karminowym przejrzystym ciuszku. Może dlatego, że to całkiem nie była jej tonacja.

No, ale Pawełek tak lubi ten kolor...

- Beatka! Pospiesz się, do cholery! - rozległ się za drzwiami zniecierpliwiony głos Moniki.- Gorąco tu, zaraz się rozpuszczę, wyłaź!

- Już, już! - odkrzyknęła, zdejmując bluzeczkę.

- Bieliznę jeszcze chciałaś oglądać... - denerwowała się Monika.

Sama kupiła pół godziny wcześniej elegancką kieckę na ślub i zajęło to dokładnie dziesięć minut. I to pomimo tego, że musiała się trzymać kretyńskich wytycznych Pawełka. Ten idiota zarządził, że świadkowie mają być ubrani na jasno, najlepiej w beże, żeby pasować do młodej pary! Idiotyzm! Nie chciała robić przykrości Beci i powstrzymała się od kąśliwych komentarzy. Co to za różnica w końcu, i tak wszyscy się gapią na pannę młodą, na świadków nikt nie zwraca najmniejszej uwagi... Zresztą i tak nie zamierzała się cieszyć tym wydarzeniem i wciąż miała cichą nadzieję, że do ślubu wcale nie dojdzie.

Zastukała niecierpliwie w drzwiczki przebieralni i po chwili ujrzała w nich rozczochraną i czerwoną ze zmęczenia przyjaciółkę, z trudem przytrzymującą brodą górę kolorowych fatalaszków.

Po dalszych dziesięciu minutach, spędzonych na przeglądaniu od nowa całego łupu na ladzie przy kasie, Bacia z ciężkim sercem odłożyła mniej więcej połowę, zapłaciła za resztę i wreszcie wyszły na ruchliwą Chmielną. Objuczone pękami wielkich, kolorowych toreb ruszyły przed siebie, oddychając głęboko rześkim wieczornym powietrzem. Były totalnie wykończone, ale szczęśliwe, bo poczucia satysfakcji po udanych zakupach nie da się przecież porównać z niczym.

Kawałek dalej, w kierunku Nowego Światu, znajdował się sklep z bielizną, o którym myślała Beatka. Jak stwierdziła, nie może przecież jechać w podróż poślubną bez nowego, kuszącego nocnego stroju. Uparcie ignorując podtykane przez Monikę praktyczne sportowe piżamki, Bacia wybrała trzy romantyczne, przejrzyste koszulki. Jedną cukierkowo-różową, drugą żółtą, całą w motylki, i trzecią, zapierającą dech w piersiach, ponętnie czarną. Kupiła też prześliczny, bogato zdobiony koronkami komplet bielizny w odcieniu wyblakłej truskawki.

- Ohyda - skomentowała zakupy wierna przyjaciółka.

Bacia puściła tę nietaktowną uwagę mimo uszu i zaprosiła Monikę na kawę do Bliklego. W progu kawiarni otoczył je natychmiast charakterystyczny, mocny aromat i gwar podniesionych głosów. Usiadły wygodnie na miękkiej kanapie pod oknem, zamówiły po filizance cappuccino i wuzetce.

- Kaloryczna bomba - westchnęła Monika, wbijając łyżeczkę w czekoladową glazurę ciastka, które kelnerka właśnie przed nią postawiła.

Przesiedziały tak prawie godzinę, rozmawiając o głupstwach i śmiejąc się z niczego. Dawno im się tak dobrze nie gadało. Jakichś dwóch przystojniaków, siedzących przy stole obok, przyglądało się im z zainteresowaniem.

- Nie będzie ci tego brakować? - spytała nagle Monika.

- Czego...? - nie zrozumiała Becia.

- Wolności, moja droga, wolności. Już nie będziesz sobie mogła tak bezkarnie ze mną łązić.

- Ależ ja nie idę do klasztoru, wychodzę tylko za męża. Będziemy się spotykać jak dawniej!

- Akurat. Krótka smycz i obroża, zobaczysz...

- Monisiu, ty nie rozumiesz... Ja nie mogę się już doczekać tego ślubu...

- A jak tam przygotowania do przeprowadzki? Kiedy się do niego przenosisz?

- Tak naprawdę, to nie mam dużo do pakowania. Parę drobiazgów i ubrania. Przeniosę się spokojnie po podróży poślubnej.

- No właśnie - zainteresowała się Monika, odsuwając na bok pusty talerzyk po wuzetce. - A można wiedzieć, dokąd jedziecie?

Becia uśmiechnęła się tajemniczo.

- Nie mam pojęcia! Pawełek nie chce mi nic powiedzieć, to ma być romantyczna niespodzianka. Nie mogę się już doczekać... Ciekawe, dokąd mnie zabierze? Może na jakieś... egzotyczne wyspy? Kazał mi koniecznie spakować kostium kąpielowy...

- No cóż, po nim to się wszystkiego można spodziewać - stwierdziła z namysłem Monika, a w jej głosie zabrzmiała lekko ironiczna nuta. - Swoją drogą, to powinnyśmy się zbierać. Dziewiąta dochodzi...

- O Boże! - przeraziła się Beatka. - Już? A ja przecież miałam dzisiaj zapłacić podatek za Czerwińsk! Ostatni dzień!

Monika popatrzyła na przyjaciółkę z politowaniem.

- Brawo! Ten ślub to już ci kompletnie padł na umysł. No nic, można jeszcze iść na Poczta Główną, w końcu to niedaleko... Nie mogłaś wcześniej pomyśleć?

Dziesięć minut później znalazły się w nieprzyjemnym, zalanym sinym światłem jarzeniówek wnętrzu poczty. Maszyna z numerkami wypłuła przygnębiający komunikat: „Osób oczekujących - 32”.

Rzeczywiście - wszystkie miejsca siedzące zajęte były przez smutnych zapominalskich, którzy zgapili się i nie zdążyli załatwić spraw we właściwym czasie. Siedzieli, apatycznie zapatrzeni w migającą czerwonymi cyframi elektroniczną tablicę, zawieszoną wysoko pod sufitem. Właśnie pojawił się na niej kolejny numerek i tęga kobieta w czarnych obcisłych spodniach ze srebrnymi lampasami poderwała się gwałtownie z ławki i podbiegła ciężko do okienka.

Monika, zafascynowana, z trudem oderwała od niej wzrok i puknęła Becie w ramię.

- Siadamy?

Po kobiecie z lampasem pozostało pół wolnej ławeczki. Dziewczyny przysiadły obok siebie. Po chwili panujący wokół bezwład udzielił im się również i zapadły w bezmyślne milczenie.

Nagle, kiedy do okienka zostały już tylko trzy numerki, Becia ocknęła się z odrętwienia i skoczyła na równe nogi.

- Ojejku, przecież trzeba wypełnić druczek!

Zacząła się bez sensu miotać po całym pomieszczeniu i dopiero trzeźwa interwencja Moniki doprowadziła do zdobycia odpowiedniego blankietu od niechętej urzędniczki.

Co z tego, skoro Beatka nijak nie mogła się skupić nad wpisywaną treścią. Kiedy popsuła trzeci kolejny formularz, Monika wyjęła jej z ręki długopis i zarządziła:

- Ty dyktujesz, ja piszę.

Beatka zmęczonym głosem zaczęła podawać dane. Nagle Monika zatrzymała się w pół słowa i wytrzeszczyła na nią oczy.

- Jak, jak mówisz? Jaka gmina? Górki Mazowieckie? To Czerwińsk leży w gminie Górki Mazowieckie?!

- No tak, a co w tym dziwnego? - Beatka wzruszyła ramionami.

- Nic, nic - odparła Monika nieswoim głosem i zaczęła się w zamyśleniu bawić długopisem.

ROZDZIAŁ 17

w którym Monika staje na głowie i w konsekwencji wpada po uszy

Pogoda popsowała się we wtorek koło południa. Najpierw na niebo wylazły chmury, potem zgęstniały, wreszcie wypłuły z siebie rześisty deszcz. Zrobiło się chłodno, mokro i nieprzyjemnie. Monika, stojąc przy oknie wychodzącym na dziedziniec, obserwowała, jak dzieciaki wybiegają ze szkoły, nakrywając głowy czym się da.

- Ale był dzisiaj młyn z tą wizytacją - Sebastian wyrósł obok jak spod ziemi. - Masz coś dla mnie?

- Jasne - Monika podała mu kopertę. - Tylko za dużo to z Beci nie wyciągnęłam, zresztą sam zobaczysz. Ta sierota prawie nic o nim nie wie. Imię, nazwisko, numer buta i to, że lubi sporty ekstremalne. Trochę za mało jak na faceta, z którym się chce spędzić resztę życia, no nie?

- Ja tam ci chętnie podam mój numer buta...

- Nie chcę twojego numeru buta, tylko żebyś pogadał z tym swoim kumplem, może coś gdzieś znajdują... Ale słuchaj! Przy okazji czegoś się dowiedziałam! Tylko jeszcze nie wiem, co to znaczy... Pamiętasz, jak ci mówiłam o tych papierach Pawełka, które mu wyciągnęłam z teczki? Różne pisma i mapki i na każdej stronie pieczętka: Urząd Gminy Górki Mazowieckie. No i wczoraj się dowiedziałam, zresztą przez przypadek zupełny, że to gmina, do której należy Czerwińsk! - Monika aż chwyciła Sebastiana za rękaw bluzy.

Ale on tylko wzruszył ramionami.

- I co z tego? Ten facet ma firmę budowlaną. Może działać wszędzie. Taka gmina jest długa i szeroka, skąd wiadomo, że chodzi o Czerwińsk?

- Ale nie uważasz, że to dziwny zbieg okoliczności? - zdenerwowała się.

- Uwielbiam, jak się złościysz... - rozmarzył się Sebastian.
- Oczy ci wtedy błyszczą jak gwiazdy na niebie...

- Sebastian! - Monika aż tupnęła nogą z wściekłości. - Prześń się wreszcie wydurniać! Czy ty nie rozumiesz, że coś tu śmierdzi? Lepiej byś wymyślił, jak to sprawdzić. Przecież nie zapytam Pawła wprost...

- Jego nie, ale możesz zapytać w tej gminie - podsunął Sebastian, już normalnym tonem. - Jeśli w tych dokumentach były mapki, to zadzwoń z głupia frant do Wydziału Geodezji. Powiedz, że dzwoniisz z firmy Pawbud, od pana Jabłońskiego! Na pewno czegoś się dowiesz. A teraz muszę lecieć. Podwieźć cię, lalczko?

- A czym dziś jesteś?

- Zgadnij....

- No nie, przyjechałeś motorem? - Monika pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Rano było słońce. To co, śmigamy?

Monika wymownie popukała się palcem w czoło.

- Wiesz co, dziękuję. Jakoś sobie poradzę. Śmigaj sam, ja popatrzę.

Sebastian roześmiał się i przesłał jej w powietrzu całusa. Monika pomachała mu ręką i w końcu poszedł w kierunku pokoju woźnych, gdzie zwykle zostawiał kask. Po chwili zobaczyła go przez okno, jak mknie przez kałuże.

- Wariat! - westchnęła, narzuciła na głowę bluzę od dresu i pobiegła w stronę domu.

* * *

- Urząd Gminy w Górkach Mazowieckich, czym mogę służyć?

- Halo, dzień dobry. Chciałabym rozmawiać z Wydziałem Geodezji, z panią... przepraszam, mam bardzo niewyraźnie zapisane nazwisko...

- W Geodezji to mogę połączyć albo z Wiśniewską, albo z Tomaszczyk.

- To poproszę z panią Wiśniewską.

W słuchawce dało się słyszeć ciche klekotanie i po chwili odezwał się inny, zdecydowanie mniej przyjemny głos:

- Geodezja, słucham? Monika wzięła głęboki oddech...

- Pani Wiśniewska?

- Tak, proszę.

W tle słychać było wyraźny szelest folii odwijanej z karnapki.

- Dzwonię z Pawbudu, prezes Jabłoński polecił mi się z panią skontaktować... - zaczęła ostrożnie.

Na szczęście na reakcję nie trzeba było długo czekać.

- Ach, pan prezes?! Dobrze, że pani dzwoni - ożywiła się urzędniczka, zapewne odkładając drugie śniadanie na później. - Wczoraj rano wysłałam resztę tych dokumentów, o które prosił pan prezes. Dotarły już?

Monikę zatkało. I co teraz? Potwierdzić, zaprzeczyć?

- Nie, właśnie miałam spytać...

- Powinny być jeszcze dzisiaj, priorytetem poszło. Chyba że... Proszę momentik poczekać... - stuknęła zamykana suflada - bo ja mam tutaj dwa adresy podane... To znaczy

jeden na wizytówce, ale pan Jabłoński prosił, żeby wysłać pod inny... Strefowa 18a...

„Strefowa 18a, Strefowa 18a” - powtarzała w myślach Monika, szukając w panice czegoś do pisania.

- Tak, ekhm, ekhm - chrząkała przez ten czas do słuchawki. - No więc... Jeśli chodzi o te dokumenty...

- No właśnie - podchwyciła Wiśniewska. - Razem z tymi, które pan Jabłoński odebrał osobiście, to już właściwie komplet. Plus ta ekspertyza geologiczna... Tylko że procedura odralniania gruntów długo trwa, więc jak tylko będą państwo gotowi, proszę dać znać.

Monika znalazła wreszcie ołówek i nabazgrała adres na starym rachunku telefonicznym.

- Tak, oczywiście, nam bardzo zależy na czasie...

- I koniecznie proszę pozdrowić pana prezesa. Niech mu pani przekaze, że róże ciągle stoją. Mam nadzieję, że kiedy się rozpocznie inwestycja, będzie do nas częściej zaglądał. Do widzenia.

- Inwestycja? - wyrwało się Monice, ale pani Wiśniewska już zdążyła odłożyć słuchawkę.

„No, no” - pokręciła z niedowierzaniem głową Monika. „Całkiem niezłe jak na jedną czterominutową rozmowę telefoniczną. A więc Pawełek planuje jakieś większe inwestycje? Ciekawe, jakie papiery mu, cholera, wysłały... I właściwie dlaczego nie do Pawbudu bezpośrednio, tylko na tę Strefową...”

Monika sięgnęła na najwyższą półkę regału przy oknie i wyciągnęła plan miasta.

Strefowa... Strefowa... No, raczej nie w centrum...

Znalazła w skorowidzu nazwę ulicy i numer strony, ale kiedy na nią zajrzała, mina jej trochę zrzędała. To nawet nie były peryferie. Po prostu szczerze pole.

„Zaraz, zaraz, przecież myśmy tam kiedyś były z Beatką” - uświadomiła sobie. „Paweł nas tam zawiózł, żeby się

pochwalić, jak jego firma buduje. To teren Pawbudu!”

* * *

Ulica Strefowa tonęła w mroku i błocie. Na pięciusetmetrowym odcinku paliła się tylko jedna latarnia. Samochód podskakiwał na wybojach, pokrytych kałużami.

- To tam - Monika pokazała palcem Sebastianowi, o którą posesję chodzi. Przejechali powoli obok. Brama prowadząca na teren Pawbudu była okrzęcona grubym łańcuchem, a kłódka zwisająca z boku nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

- No jasne, zamknięte na głucho. Lepiej podjedźmy od tyłu.

Sebastian posłusznie skręcił w prawo. Jechali teraz wolno wzdłuż ogrodzenia budowy. Ta uliczka była, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze ciemniejsza i bardziej błotnista. Co w sytuacji, kiedy planuje się włamanie, można uznać raczej za okoliczności sprzyjające. Nagle Sebastian gwałtownie zahamował.

- Patrz! - pokazał palcem. - Dziura! Monika przykleiła nos do szyby.

- Gdzie? Nic nie widzę!

- No tam, obok drzewa! Wylączył silnik.

- Siedź tutaj - rozkazał stanowczym tonem i wyskoczył z auta prosto w kałużę. Zaklął soczyście, ruszył w kierunku miejsca, gdzie siatka wyraźnie odchyliła się od słupka i zniknęła w dziurze. Pojawił się mniej więcej po dwóch minutach i wsiadł z powrotem do auta.

- Nie jest źle. Tędy lumpy przełazą. Tam dalej jest takie zaciszne miejsce, pełno butelek i śmieci. Znaczy, nie ma psów. Co robimy?

- Ty pilnujesz auta, ja idę.
- Zgłupiałaś? Nie dasz sobie rady! A jak trzeba się będzie włamywać?
- To wtedy kiszka, bo ty sobie też nie poradzisz. Nie mów mi, że masz w kieszeni komplet wytrychów!
- No, nie mam...
- Ale co, jesteś facetem, tak? Facetowi zawsze się wszystko udaje, tak?
- Pewnie, nawet ci zaraz mogę udowodnić... - Sebastian puścił do Moniki oko.
- Dzięki. Lepiej podjedź pod bramę i zagadnij o coś ciecia. Bo jakiś cięć być musi. Najlepiej powiedz, że ci samochód nawala, zresztą wymyślisz coś. - Monika zdecydowanym gestem podciągnęła pod szyję suwak bluzy. - Jakby co, dzwoń. Będę zwięwać.

- Monika, czekaj! Do zabawiania ciecia to lepsza dziewczyna! A ja w tym czasie...

- Sebastian, ty nie wiesz, czego szukać! To ja muszę tam iść. Naprawdę. Poradzę sobie, nie martw się. Jak tylko coś się będzie podejrzanego dziać, to wracam, głupia nie jestem. No, uśmiechnij się, jesteś w ukrytej kamerze. Zawracaj i pod bramę, ale już!

Cmoknęła go przelotnie w policzek i wyskoczyła z auta. W kilku susach dopadła do dziury i wsunęła się do środka. Rzeczywiście, od płotu w głąb działki prowadziła wydeptana ścieżka. Ruszyła nią szybko, rozglądając się czujnie dookoła. Ale na razie wszędzie panował spokój. Ciszę przerywały tylko jej kroki i głośne bicie serca.

Nagle wyszła z krzaków na otwartą przestrzeń. Tuż przed nią zamajaczyły jasne kontury dwupiętrowych bloków. Monika skręciła więc w prawo, w kierunku ulicy Strefowej. Tam, niedaleko bramy, stał biurowy baraczek - kiedy były tu z Pawłem, zostawił je w aucie i wszedł na kilka minut do środka. Rozmawiał z kierownikiem budowy czy kimś takim,

wysokim facetem w błękitnej, drelichowej kurtce, białym kasku i gumiakach. Jeżeli papiery z gminy przysły na ten adres, to baraczek był jedynym miejscem, gdzie mogły się teraz znajdować.

Jeszcze kilka metrów i już była na jego tyłach. Obeszła go naokoło, wychyliła się zza rogu i odetchnęła z ulgą. Dokładnie między baraczkiem a budką ciecia stał zaparkowany ogromny TIR. Zasłaniał wszystko. Monika podkradła się więc pod drzwi i ostrożnie spróbowała, czy są zamknięte. O dziwo, klamka ustąpiła bez trudu. „Niemożliwe” - ucieszyła się i nie zastanawiając się nad konsekwencjami, wślizgnęła się do środka.

Musiała być bardzo ostrożna, bo wewnątrz było ciemno choć oko wykol, a nie chciała zapalać latarki. A nuż Sebastian się nie wywiąże i cięć ruszy na nocny obchód? Lepiej, żeby się nie zaczął zastanawiać, dlaczego w pustym biurze coś błyska. Posuwała się więc po omacku, z wyciągniętymi przed siebie rękami.

W pewnej chwili o mało co nie wpakowała się na krzesło, obwieszone jakimiś szmatami, stojące nie wiadomo dlaczego na środku. Potem natrafiła na coś, co musiało być wysoką szafką z szufladami. Otworzyła ostrożnie pierwszą od góry. W środku były jakieś dokumenty, więc wyciągnęła cały plik. Zamierzała usiąść z tym na podłodze i pooglądać je dyskretnie przy świetle latarki.

Cofnęła się, nadepnęła na coś nogą, straciła równowagę i nagle poleciała do tyłu!

W ułamku sekundy zdążyła sobie wyobrazić, że uderza w coś głową, mdleje i rano znajdują ją pracownicy. Zamachała więc rozpaczliwie rękami, upuściła dokumenty i w tym momencie wylądowała szczęśliwie na czymś miękkim i ciepłym.

To coś poruszyło się pod nią, usłyszała najpierw gniewne jęknienie, a zaraz potem stłumiony męski głos:

- Co jest, do cholery?!

Na wysokości jej oczu zapaliła się mała lampka, oślepiając ją skutecznie, więc dopiero po chwili zorientowała się, że siedzi na niskim polowym łóżku, a obok przeciera zaspane oczy jakiś rozczochrany, obcy facet!

Przez chwilę wpatrywali się w siebie, oboje w szoku. Nagle Monika odzyskała zdolność ruchów. Poderwała się gwałtownie i rzuciła do ucieczki panicznym sprintem.

- Sebek, gazu - krzyknęła, wskakując do auta. - Zwiewamy!

Samochód ruszył z piskiem opon. Sebastian rzucał co chwila wzrokiem we wsteczne lusterko. Po kilkuset metrach zwolnił.

- Spoko, nikt nas nie goni.

Monika odetchnęła z ulgą.

ROZDZIAŁ 18

czyli nieprzyjemnie krótka wizyta brata

Łąka, soczyście zielona i obsypana kwiatami, ciągnęła się aż do linii lasu na horyzoncie. Beata wdychała intensywny, słodki zapach. Było cudownie. Odwróciła się, żeby popatrzeć na dom i sad w dole wzgórza, kiedy nagle w ciszę letniego poranka wdarło się natrętne buczenie dzwonka przy drzwiach.

Obudziła się i, jeszcze trochę nieprzytomna, poderwała z kanapy. „Jejku, Michał!” - uświadomiła sobie. Za oknami było już ciemno, a zegar wskazywał wpół do ósmej. Poprawiła spódnicę, przekrzywioną podczas snu, i pobiegła otworzyć.

- Ach, Michał, no jesteś... Jakieś fatalne ciśnienie dzisiaj - zaczęła się od razu tłumaczyć. - Wróciłam z pracy i zdrzemnęłam się... - urwała, bo nagle się zorientowała, że Michał nie jest sam. Obok niego na korytarzu stał wysoki, tęgi mężczyzna o łysej, błyszczącej czaszce, bardzo czerwony na twarzy. „Skąd ja go znam?” - przeleciało Beatce przez głowę...

- Panie Julianie, moja siostra Beata. A to pan Julian Krzemiński, mój znajomy - Michał dokonał prezentacji, modulując przesadnie głos. Pan Julian skinął głową, nie odzywając się wcale, i obaj weszli do środka.

Becia stała ciągle pod ścianą, nie mogąc się ruszyć ani wydobyć z siebie głosu. Za to Michał, najwyraźniej w świetnym nastroju, z dużą wprawą pełnił honory domu.

- Proszę dalej, nie ma tu co prawda za dużo miejsca... Może pan spocznie - podsunął grubasowi pomarańczowy

fotel Beatki, a sam przystawił sobie krzesło. - Kawy, herbaty? Siostra zaraz przygotuje - zaproponował, oglądając się, żeby sprawdzić, czy Beatka jest obok i słyszy zamówienie.

Beatka, owszem, stała tuż za nim, oparta bokiem o framugę drzwi, żeby nie upaść. Zaszokowana, patrzyła, jak obcy facet rozpiera się w jej ukochanym fotelu, a Michał nadskakuje mu, jak może. „O co chodzi - myślała intensywnie - o co tu chodzi?”

- Ja za dużo czasu to nie mam. Pani siada, interes jest do załatwienia - oznajmił chrapliwie pan Julian i w tym momencie Beatka wreszcie przypomniała sobie ten głos.

Niemożliwe, zmrużyła oczy, przyglądając mu się uważnie. Niemożliwe! Gdyby miał na sobie złoty łańcuch, od razu by go poznała. Przecież to ten facet z bmw, którego widziała w Czerwińsku!

- Michał, pozwól do kuchni - powiedziała słabo i pociągnęła brata za rękaw.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że nie będziesz sam? - spytała rozpaczliwym szeptem, kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku gościa. - I w ogóle kto to jest?!

- Nie uprzedziłem, bo nie byłem pewny, czy on będzie miał czas. Zresztą, co za różnica? Po prostu przyszedł ze mną, bo ma propozycję, która cię może zainteresować. Jest przedsiębiorcą, zajmuje się kupnem i sprzedażą...

- Ale co to za człowiek? Skąd ty go znasz? Mnie się on jakoś nie podoba...

Michał krążył nerwowo między lodówką a zlewem.

- Ty, siostra, to przewrażliwiona jakaś jesteś. Normalny człowiek, może nie ma dwóch fakultetów, ale do czegoś doszedł, na rynku nieruchomości ma bardzo dobrą opinię...

- Na rynku nieruchomości?! - Beatka aż podskoczyła. - Michał, co ty znowu wymyśliłeś?!

- Ciszzej, do cholery - syknął, oglądając się na drzwi. - Nic specjalnego! Tylko próbuję ci do rozumu przemówić. Chodź, posłuchasz, facet ma taką propozycję, że na twoim miejscu to ani przez sekundę bym się nie zastanawiał...

Nie czekając na reakcję siostry, wrócił do pokoju.

- Przepraszam, już jesteśmy. To co, napije się pan herbaty?

Zdenerwowana Beatka niechętnie poszła za nim. Była naprawdę zła. Wczoraj, kiedy się umawiali z Michałem, ani słowem nie wspomniał o tym, po co się do niej wybiera. Chociaż właściwie powinna się była domyślić. Przecież ostatnio uparcie wracał do tematu ziemi. Zamiast sprzedać swoją część, ciągle zwlekał, licząc, że uda mu się jednak namówić siostrę na transakcję. Rzeczywiście, dostałby wtedy pewnie dwa razy więcej za hektar.

- Pani szanowna, byłem ostatnio w Czerwińsku, rozglądałem się po okolicy, ładny kawałek ziemi tam macie. Tak się składa, że wy chcecie sprzedać, a ja chcę kupić, to myślę, że się jakoś dogadamy...

- Proszę pana, nastąpiło nieporozumienie. Ja nie planuję sprzedaży mojej części. W grę wchodzi tylko ta ziemia, która należy do mojego brata. A tę transakcję mogą sobie panowie omówić między sobą, ja chyba nie jestem do tego potrzebna - Beata włożyła w tę przemowę całą stanowczość, na jaką było ją stać, ale pan Julian nie wyglądał na specjalnie zniechęconego.

- Wiem, wiem, brat uprzedzał, ale takiej oferty jak moja jeszcze pani na pewno nie miała.

- Tylko że mnie ona zupełnie nie interesuje. Ja po prostu nie sprzedam mojej ziemi, żeby mi pan dawał za nią

góry złota! Jak mam to jeszcze wyraźniej powiedzieć? I mój brat doskonale o tym wie!

Co za idiotyczna sytuacja! W jej mieszkaniu, na jej fotelu, siedzi jakiś łysy typ, który się upiera, żeby mu sprzedała jej ukochaną ziemię. W dodatku Michał wygląda tak, jakby miał się zaraz na nią rzucić z nożem. I jak się ich teraz pozbyć?

- Przepraszam bardzo, ale ja o ósmej jestem umówiona na mieście... - spojrzała wymownie w kierunku zegara wiszącego na ścianie, który wskazywał dziewiętnastą pięćdziesiąt. Michał musiał interweniować.

- Zrób dla mnie jedno, wysłuchaj chociaż tej propozycji. Przecież to nic nie kosztuje! - zaczął sztucznie spokojnym tonem, ale Beata wiedziała, że jest wściekły jak nigdy. - Potem możesz się zastanawiać, czy ci się to opłaci, czy nie. Wysłuchaj pana Juliana, proszę cię!

- NIE! A teraz, jeśli pozwolisz, naprawdę muszę już iść. Wychodząc, zatrzaśnij drzwi - i nie czekając, aż Michał będzie próbował ją zatrzymać, wybiegła z domu, chwytając po drodze torebkę.

ROZDZIAŁ 19

w którym nareszcie dają dobrze zjeść

Monika po raz kolejny przeciągnęła szminką po ustach. Zero efektu. Rubinowe wino - tak było napisane na spodzie opakowania. Kupując w pośpiechu, złapała właśnie tę, spodziewając się barwy ciemnej i nasyconej, odpowiedniej na wieczorne wyjście. A tu - jakiś mdły różyk.

„Trzeba było, cholera, sprawdzić” - pomyślała. Tylko ni-
by jak, skoro miała jeszcze w planie kupno wieczorowej
kiecki, najlepiej długiej, pantofli i torebki, bo wystąpić z
plecakiem, nawet małym, trochę głupio. Ta bieganina,
przymierzanie, dopasowywanie... Nudy. Męczarnia. Idio-
tyzm.

A cały ten wysiłek tylko dlatego, że Paweł wymyślił jakąś
wytworną narzeczeńską bibkę! No dobrze, przyjęcie, ale po
co ta cała pompa? W kręgach biznesu każdy pretekst dobry,
żeby błysnąć kasą. Wielki pan prezes, myślałby kto... Nie-
smaczna pokazówka, jak wszystko, czego się tknął. Naj-
chętniej by to sobie odpuściła. Tylko że po ostatnich odkry-
ciach po prostu nie mogła. Istniała przecież szansa, że na-
tknie się na tym przyjęciu na coś lub na kogoś, co pomoże
jej wyjaśnić tę całą aferę.

Żeby się nie rzucać w oczy, postanowiła przyjść wy-
strojona odpowiednio do okazji. Na miejscu okazało się, że
bardzo słusznie.

„Ale się odpalili” - pomyślała, przyglądając się niechętnie
rewii mody dookoła. W końcu, zdegustowana, uciekła na
chwilę do garderoby. Wpuszczone w ścianę ogromne lustro
przesłało jej krzepiący obraz ciemnowłosej, uwodzicielskiej

kobiety. Mata Hari. Kobieta szpieg.

Czarna błyszcząca, obcisła kiecka, prawie do kostek, z pęknięciem do połowy uda, czarne szpilki, prześmieszna torebeczka wielkości znaczka pocztowego, też czarna, i cieniutki miódowy szal.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że nawet sama się sobie w tym podoba...

Przyjrzała się raz jeszcze.

„Nie jest ze mną tak źle” - zdążyła pomyśleć, kiedy od strony drzwi doleciał słodki głos Beatki.

- A, to tu się schowałeś, chodź szybciotko, wszyscy już przyszli...

Przyjaciółka zachowywała się dokładnie tak, jak przystało na gospodynię wytwornego przyjęcia - z wdziękiem pilnowała, aby wszystko szło zgodnie z planem. Właśnie przystanąła w drzwiach, niecierpliwie postukując srebrnym sandalkiem.

- Becia, zobacz, jakie z nas fajne babki – Monika przyciągnęła przyjaciółkę do lustra, próbując ją rozruszać. Beata ubrana była w coś niezwykle kobiecego i połyskliwego, w trudnym do określenia pastelowym kolorze.

Monika uśmiechnęła się do ich odbicia. Nie wiedzieć czemu była tego wieczoru w świetnym nastroju. Jakby pomimo wszystko miało ją spotkać coś wyjątkowo miłego.

Objęła Becie w pasie.

- Zapowiada się niezła imprezka.

Beatka delikatnie wyswobodziła się z objęć i odruchowo poprawiła sukienkę.

- Widzisz, jak miło, że Pawełek tak to wszystko zorganizował...

- O tak, faktycznie, wszystko dzięki niemu - przytaknęła Monika, czując, że nie warto wkraczać w tej chwili na grząski

grunt wymiany poglądów na temat gospodarza przyjęcia. Pociągnęła Beatkę za rękę.

- Chodźmy...

Kiedy wkroczyły do holu - przestronnego pomieszczenia, łączącego się z salonem, pełno już tam było wyelegantowanych gości, popijających wino. Ich wieczorowe ubrania wydawały się jeszcze ciemniejsze na tle jasnego, eleganckiego wnętrza. Rzęsiste oświetlenie wydobywało tysiące błysków z beżowej, kamiennej, wypolerowanej posadzki. Dwóch młodych, energicznych kelnerów z tacami kręciło się zręcznie po jej śliskiej powierzchni, pilnując, by wszyscy byli zadowoleni. Kompletnie wariactwo.

- Nie wiedziałam, że będzie tyle osób - wyszeptła zaciekawiona Monika do ucha przyjaciółce.

- Ach, to tylko część znajomych. Współpracownicy i paru stałych kontrahentów. Bardzo sympatyczni. Przekonasz się.

„No, może i się przekonam - pomyślała Monika - ale najchętniej tobym się przekonała o czymś innym... Tylko jak tu wyciągnąć cokolwiek z tych nudnych bufonów? W każdym razie trzeba skorzystać z sytuacji, rozejrzeć się po apartamencie i spróbować coś wywęszyć”.

Becia pociągnęła ją między ludzi, prosto w kierunku Pawła, stojącego pośrodku holu. Roześmiany, otoczony wianuszkami gości, ubrany był w piękny, ciemny garnitur i odważną kombinację kolorowej koszuli i wzorzystego krawatu. Niewątpliwie przyciągał spojrzenia, zwłaszcza kobiety. Teraz właśnie wdzięczyła się do niego jakaś wydekoltowana blondyna z grzywką.

„Jak Becia to wytrzymuje?” - Monika skrzywiła się z niesmakiem. „Te wszystkie obrzydliwe, nachalne baby... No proszę, jeszcze się jakaś ruda przysuwa, jawnie się do niego łąsi, a ten padalec nie reaguje...”

- O! Jesteś, kochanie - Paweł wyciągnął rękę w kierunku narzeczonej, a ruda natrętka niechętnie odsunęła się pół kroku.

Becia wpadła w jego wyciągnięte ramiona jak mysz w pułapkę i odpłynęli oboje w kierunku salonu. Monika została sama.

Poczuła się co najmniej dziwnie. Otyły biznesmen w różowym krawacie, stojący w pobliżu, od paru chwil mierzył ją lepkiem wzrokiem. Monika otuliła się szczerzej szalem. Ale kretyn! Nagle coś ją tknęło: a jeżeli ten kretyn jest zamieszany w brudne interesy Pawła? Może powinna to sprawdzić... Podjęła wysiłek i uśmiechnęła się do niego niepewnie. Grubas rozjaśnił się i zrobił krok w jej kierunku. Zdrętwiała. Zbliżał się niebezpiecznie.

Już rozciągnął mięsiste usta w powitalnym uśmiechu...

Nie wytrzymała i uciekła. Schroniła się w gabinecie, gdzie było pustawo i panował przyjemny półmrok.

- Cholera, chyba nie dam rady. Żadna ze mnie Mata Hari - westchnęła i z ulgą zapadła w głęboki klubowy fotel. - Szkoda, że nie mogę przesiedzieć tu całego tego idiotycznego spędu.

Rozejrzała się wokół. Gabinet urządzony był podobnie jak reszta mieszkania, w przesadnie nowoczesnym stylu. Kamień, metal i drewno wenge. Jej wzrok automatycznie zatrzymał się na jedynym wyróżniającym się elemencie. Za biurkiem, wciśnięta wróg, stała antyczna biblioteczka. Biblioteczka pani Heleny.

Monika zagryzła usta. Ta sprawa była jak układanie puzzli z tysiąca kawałków. Morze, niebo i ani jednej chmurki. Cholerny wielki błękit.

Do gabinetu zajrzał jeden z kelnerów, prosząc na kolację. Monika podniosła się i niechętnie przeszła do salonu.

Wytwornie nakryty stół ciągnął się wzdłuż jednej ze ścian. Wokół kwiatowej kompozycji z białych storczyków, wysokiej na dobre pół metra, poustawiano półmiski wymyślnych potraw - wykwintnie podane ryby, salaterki kawioru umieszczone na lodzie i tace pełne ostryg. A pomiędzy tym wszystkim przyciągające wzrok egzotyczne owoce w przedziwnych kształtach i kolorach.

- Ale się Pawełek szarpnął - mlasnęła Monika i, zaopatrzona w talerzyk i sztućce, ruszyła do boju.

Właśnie nakładała sobie wyjątkowo kłopotliwy kawałek ryby, który nieustannie zsuwał się z widelca, i już prawie udało jej się go przenieść na talerz, kiedy ktoś stuknął ją w łokieć. Rybka spadła z powrotem na półmisek. Niezrażona tym Monika sięgnęła po nią kolejny raz. I znowu, kiedy była bliska sukcesu, ktoś potracił jej rękę. Cholera! Tym razem ryba wylądowała na podłodze, o włos dosłownie omijając skraj jej sukienki.

Monika, mocno rozeźlona, mamrocząc pod nosem niepochlebne epitety, odwróciła się i ujrzała jakiegoś faceta, stojącego do niej tyłem i nachylnego nad stołem. Niewiele myśląc, puknęła go w plecy, aż poderwał się przestraszony.

Odwrócił się w jej stronę z talerzykiem pełnym wędlin w ręku. Wysoki, barczysty, trochę szpakowaty, po czterdziestce. Nawet niezły.

Zdziwiony, wlepił w nią szaroniebieskie sympatyczne oczy.

„Skąd ja znam to spojrzenie” - zastanowiła się zdziwiona Monika.

I nagle przypomniała sobie!!! Facet z budowy!!! Ten, na którym usiadła!!! Zdrętwiała ze strachu. A jeśli ją rozpozna? A jeśli komuś powie? Zażąda wyjaśnień?

„Przepadłam - spanikowałam - zaraz się wyda, że włamałam się do baru!”

Facet przyglądał jej się uważnie i nagle w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia:

- To pani - stwierdził spokojnie i odstawił talerzyk na stół.

- A, Zbyszek, stary, widzę, że zdążyłeś już poznać Monikę - rozległ się nagle obok głos Pawła.

Monika o mało nie zemdląła.

- No, tak, tak, my się już znamy - odpowiedział z namysłem Zbyszek, patrząc na nią siwymi oczami.

Znieruchomiała ze strachu, w oczekiwaniu, co teraz nastąpi.

Paweł klepnął tamtego poufale w ramię.

- Co ty powiesz, a skąd? - zainteresował się, zatapiając jednocześnie w Monice uważne, ciężkie spojrzenie.

Zrozumiała, że musi zareagować i w jakiś sposób przejąć kontrolę nad sytuacją. Inaczej może być źle. Zebrała się w sobie.

- Pan Zbyszek wpadł mi w oko, jak tylko tu weszłam. Obok takiego mężczyzny nie można przejść obojętnie - wy-paliła, patrząc na nich zalotnie. Zdesperowana, uznała tę metodę za najbardziej skuteczną.

I najwyraźniej tak było, bowiem Zbyszek podjął grę tak naturalnie, jakby tylko na to czekał.

- Zawsze do usług, pani Moniko - powiedział i uśmiechnął się miło.

- Co ja widzę: moja najlepsza przyjaciółka i twój najlepszy przyjaciel, jak się cieszę, że się poznaliście - rozległ się wesoły głos Beatki. - Mam nadzieję, że się polubicie. Bo przecież będziecie oboje naszymi świadkami.

- Chyba już się polubili - odezwał się oschle Paweł. - Chodźmy, kochanie, inni goście czekają.

Monika i Zbyszek zostali sami. Zapanowała niezręczna cisza.

„Cholera, całe szczęście, że mnie nie sypnął” - odetchnęła z ulgą. Wołała nawet nie myśleć, co by było, gdyby się wygadał. Przyglądała mu się ukradkiem: stał obok, w prawym ręku trzymał kieliszek wina, a lewą założył za połą tweedowej ciemnej marynarki. On jeden w całym tym nadętym towarzystwie nie był odstawiony jak na bal. Poza tym, robił wrażenie niezwykle spokojnego faceta i ze zdziwieniem poczuła, że już go lubi.

- Świetna ryba. Jadła pani? - spytał nagle, ale ona milczała, trochę zażenowana. Miała dziwną ochotę patrzeć bez przerwy w te jego siwe łagodne oczy.

- Musi pani spróbować. Mogę pani nałożyć?

Monika kiwnęła machinalnie głową i Zbyszek zręcznie nałożył kawałek ryby, tej samej, z która ona tak się męczyła.

- Proszę - podał jej talerzyk i uśmiechnął się ciepło.

ROZDZIAŁ 20

opowiadający o tym, jak miła atmosfera nieoczekiwanie rozpada się z brzękiem

Następnego dnia po przyjęciu u Pawła, w sobotę, dziewczyny spotkały się rano na Dworcu Śródmieście. Umówiły się przed dziesiątą przy kasach, tak żeby kupić bilety i zdążyć na pociąg o dziesiątej dwanaście. Monika spóźniła się najwyżej pięć minut.

- No, jesteś w końcu! A już się bałam, że nie przyjdiesz!
- Bacia, punktualna jak zwykle, powitała przyjaciółkę z nutą pretensji w głosie.

- Nie każdego odwożę na stację limuzyną - wzruszyła ramionami Monika. - Masz dla mnie bilet?

- Oczywiście. I wyobraź sobie, że przyjechałam autobusem. Wystarczy wstać odpowiednio wcześniej...

Z tunelu najpierw pojawił się odgłos, a potem światła nadjeżdżającego pociągu.

- Nieważne - uśmiechnęła się Monika do przyjaciółki. - Zdążyłam, to najważniejsze. Uśmiechnij się wreszcie. Czerwińsk czeka!

* * *

Dom był duży, piętrowy, ze spadzistym, zielonym dachem. Na frontowej ścianie wisiał ogromny szyld z napisem: „Klinika weterynaryjna” i wielkim końskim łbem namalowanym obok. Monika podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek.

Gdzieś ze środka dobiegło brzęczenie i w tym momencie ciszę rozdarł gwałtowny jazgot, dobywający się z wielu psich

gardeł. Szczekanie przez chwilę narastało, potem dało się słyszeć ostre pokrzykiwanie, w końcu zapanował względny spokój, a w drzwiach stanął gospodarz. Na widok Moniki i Beatki oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia.

- No proszę! Kogo ja widzę! Dwie dzielne warszawianki!

Beatka od razu zaczęła tłumaczyć, że przyjechały do Czerwińska rano, wybrały się do miasteczka po zakupy i przy okazji postanowiły wpaść do niego, żeby omówić sprawę kuny. Więc zapytały o drogę do lecznicy i oto są.

Weterynarz słuchał cierpliwie. Dziewczyny były ładne, zabawne i sympatyczne, zwłaszcza ta niska blondynka. Pierwsze spotkanie z nimi wspominał bardzo miło i - co go samego dziwiło - dość często przez ostatnie dwa tygodnie. Nie miał nic przeciwko spędzeniu popołudnia w ich towarzystwie.

- A może by panie wypily u mnie herbatę? Później mogę was odwieźć z powrotem.

Monika popatrzyła pytająco na Beatkę, zajęta układaniem z ręki do ręki plastikowych siatek z zakupami. Właściwie...

- No dobra. Czemu nie? - odpowiedziała szybko, zanim Beatka zdążyła zareagować po swojemu. Zaraz by się zaczęła krygować, że nie chcą przeszkadzać, że innym razem, jakby jakiś inny raz w ogóle wchodził w grę. A ten weterynarz sympatyczny taki i tak się gapi na tę Beatkę jak wół na malowane wrota. - Tylko żeby nas ta sfora nie zjadła...

- Moje pieski? Są już po obiedzie...

Zapraszającym gestem otworzył szeroko drzwi. Korytarz miał białe, nie pierwszej świeżości ściany, obwieszone reklamami psiej i kociej karmy, pod którymi stało kilka starych drewnianych krzeseł. Na małym stoliku leżały stopy

kolorowych ulotek, a w kącie koło okna z wielkiej donicy straszyla wystrzępione liście rachityczna palma.

- Za mało światła - skomentował jej wygląd gospodarz, otwierając drzwi prowadzące na klatkę schodową. - Proszę za mną - polecił. - A psami proszę się nie przejmować, zamknąłem je w drugiej części domu.

Z ciemnego przedpokoju na piętrze weszli do dużej kuchni, która również tonęła w półmroku.

- To te drzewa - wyjaśnił weterynarz, wskazując za okno. - Zaslaniają słońce. Właściwie o każdej porze dnia i roku mam tu piwnicę. Herbaty czy kawy?

Zaprowadził je do salonu i posadził na sztruksowej kanapie w kolorze khaki, wcześniej zrzucając z niej stare koce oblezione psią sierścią i dwa tłuste, obrażone koty. Z parapetu trzeci kot przyglądał im się uważnie żółtymi oczami.

- Niezła menażeria - Monika rozejrzała się ciekawie po pokoju.

- Niech się pani nie boi, krokodyla pod kanapą brak. Choć niedawno dostałem na przechowanie pytona - mężczyzna roześmiał się, widząc wyraz twarzy swoich gości. - No dobrze, oddałem go tydzień temu. Bardzo był miły, miał na imię Gienio. To już lepiej pójde robić herbatę...

Po chwili wniósł tacę i postawił na małym stoliku obok kanapy. Nalał herbatę do filiżanek, rozdał talerzyki, podsunął cukier i ciasteczka, cały czas zabawiając je rozmową. „Jaki on fajny” - pomyślała mimochodem Monika. „I w dodatku, skubaniec, przystojny. Szkoda tylko, że ma to...” Bezwiednie zawiesiła wzrok na szerokiej bliźnie, biegnącej przez cały prawy policzek weterynarza - od kącika oka aż do mocno zarysowanej dolnej szczęki. Musiał zauważyć, że mu się przygląda, bo dotknął lekko palcem szramy i uśmiechnął się.

- Pamiątka z czasów studenckich. Na praktykach w zoo, kiedy przygotowaliśmy rysia do zabiegu, dostał za mało środka usypiającego... Machnął drań łapą... Cud, że nie straciłem oka.

Beatka słuchała z zaciekawieniem, zwinęta w rogu kanapy. Czy jej błyszczały, a na policzkach pojawił się delikatny rumieniec. Wyglądała wyjątkowo ładnie. Ciekawe... Monika przeniosła wzrok na weterynarza i po raz kolejny zauważyła, że przygląda się Beatce z dużym zainteresowaniem. W pewnym momencie wyszedł na chwilę i przyniósł z drugiego pokoju ciepły koc.

- Pani chyba musi być zimno - powiedział, pochylając się nad Beatką i otulając jej nogi. Beatka z wdzięcznością się uśmiechnęła.

„No, no, chyba mu wpadła w oko” - stwierdziła nie bez satysfakcji Monika. „Gdyby nie ten cholerny Pawełek...”

Na jego wspomnienie przeszedł ją nieprzyjemny dreszcz. Wtedy, na przyjęciu... Tak mało brakowało... Cholernie mało... Wpadłaby z kretelem, gdyby nie Zbyszek. Mógł przecież powiedzieć, gdzie się widzieli pierwszy raz. A jednak jej nie wyspał. Typ faceta, przy którym można się czuć bezpiecznie. Kiedy się żegnali, dał jej swoją wizytówkę i poprosił o numer telefonu. Ciekawe, czy kiedyś zadzwoni...

Ocknęła się z zamyślenia i stwierdziła, że jej przyjaciółka omawia z gospodarzem temat kuny. Ustalili właśnie, że Beatka zostawi weterynarzowi klucze do domu babci, a on zajrzy raz czy drugi na strych i spróbuje ustalić, czy małe jeszcze są w gnieździe. Bo jeśli tak, to na razie nic nie mogą zrobić. W pewnym momencie gospodarz zasugerował, że forma „pan”, „pani” brzmi chyba zbyt oficjalnie, jak na tak miły wieczór. Oczywiście, mówiąc to, patrzył na Beatkę, która, o dziwo, ucieszyła się z tej propozycji. Najwyraźniej

świetnie się czuła w jego towarzystwie. Śmiała się i żartowała ze swobodą, na jaką nigdy nie było jej stać przy Pawle. „Od razu inna dziewczyna” - pomyślała Monika.

Nawet się nie zorientowały, kiedy minęła szósta. Za oknami zaczynało robić się ciemno, na talerzu po ciastkach zostały nędzne resztki, a w czajniczku parzyła się trzecia herbata. Monika mogłaby spokojnie zostać dużo dłużej, ale Beatka sprawdziła godzinę, poderwała się nagle i zaczęła przyjaciółkę poganiać do wyjścia.

- Dziękujemy pa... dziękujemy ci bardzo - zająknęła się, nieprzyzwyczajona do bezpośredniej formy. - Musimy już iść. Chciałam jeszcze dziś zrobić kilka rzeczy w domu... Moniczka, zbierajmy się, proszę.

Monika podniosła się niechętnie z kanapy. Gospodarz wstał również.

- No trudno, jak mus, to mus. W takim razie na kolację zaproszę was następnym razem.

Sięgnął na parapet po kluczyki do auta.

- Nie musisz się fatygować, pójdziemy piechotą - zaprotestowała Beatka, odrobinę skrepowana. Andrzej tylko wzruszył ramionami.

- Obiecałem, to odwożę. Nie ma o czym mówić.

Poczekają na niego na chodniku przed kliniką. Kiedy wyprowadził auto z garażu i zahamował z fasonem, Monika szybko wskoczyła na tylne siedzenie, pozostawiając Beatce miejsce koło kierowcy.

- Świetnie, że nas odwozisz - z wdzięcznością poklepała weterynarza po plecach. - Cholernie się nieciekawie zrobiło.

Rzeczywiście, pogoda się popsowała. Kiedy przyszły po południu do miasteczka, świeciło słońce i było na tyle ciepło, że nie wzięły ze sobą kurtek. Teraz ochłodziło się wyraźnie, zerwał się wiatr i na szybie samochodu pojawiły się pierwsze krople deszczu.

Jechali wyboistymi, słabo oświetlonymi ulicami. Po chwili skończyły się zabudowania, a zaczęły ciemne i puste pola. Kiedy skręcili z szosy w polną drogę biegnącą obok domu pani Anieli, lunęło.

- Ale by nas złało, dziewczyno, no sama zobacz... - rzuciła Monika, obserwując przez szybę gnące się pod naporem wichury drzewa. Nagle coś trzasnęło. - Uważaj! - krzyknęła i Andrzej w ostatniej chwili zatrzymał wóz. Tuż przed nimi spadła na ziemię gruba gałąź. Weterynarz wyskoczył na drogę i odciągnął konar. Kiedy wsiadł z powrotem, był przemoczony do suchej nitki.

- Szlag by to! - zaklął wściekły. - Nieźle wieje. Dobrze, że już wyjeżdżamy z lasu.

Auto kołysało się na wyboistej drodze. Dziewczyny, przestraszone, przestały się odzywać, marząc tylko, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu. W końcu zajechali przed ganek. Weterynarz zaparkował jak najbliżej drzwi.

- Przygotuj klucze, żebyście nie stały na tej wicherze - zwrócił się od Beatki, a widząc jej niepewny wyraz twarzy, uśmiechnął się i ścisnął jej dłoń. - Wejście z wami. Zobaczmy, czy ten wiatr nie narobił jakichś szkód.

Przebiegli na ganek. W sieni było ciemno i chłodno, zdecydowanie za chłodno.

- Bacia, co to za lodownia? - zdziwiła się Monika. - Nawet mi nie mów, że zostawiłaś otwarte okno!

Beata zaprzeczyła stanowczo, a widząc niedowierzanie w oczach przyjaciółki, ruszyła w stronę kuchni. Andrzej wyprzedził ją i pierwszy zajrzał do środka.

- Rzeczywiście, zimno - stwierdził. Przesunął dłonią po ścianie, odnalazł kontakt i zapalił lampę. Górne światło wydobycło z ciemności niewielkie wnętrze.

- O Boże - krzyknęła Beata. - Okno!

Szyba była zbita, a cała podłoga zasłana kawałkami szkła. Przez zięjący czernią otwór wpadały do środka deszcz i wiatr. Beatka rzuciła się w tamtą stronę, ale Andrzej przytrzymał ją za ramię.

- Poczekaj, powoli. Pójdę pierwszy.

Obszedł ostrożnie stół, szkło zachrzącało mu pod butami. Wiedział, że to nie mogła być sprawka wiatru - okno było dobrze zamknięte, szyba nie wypadła od uderzenia o ścianę. Rozejrzył się uważnie dookoła. To, czego szukał, leżało obok nogi od krzesła. Cegła. Zwykła cegła, której ostry róg zarysował na czerwono podłogę.

- Wyjdźcie stąd. Najlepiej wsiądźcie do samochodu - rozkazał ostrym tonem. A kiedy Beatka nie zareagowała, potrząsnął nią lekko. - Powiedziałem, do samochodu. Za chwilę do was przyjdę - i popchnął ją w kierunku drzwi. Dziewczyna patrzyła na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

- Ale co się stało? - spytała zdezorientowana. - Ta szyba...

- Idźcie do auta - powtórzył Andrzej i podał Monice kluczyki. - Zabierz ją stąd, proszę.

Kiedy tylko wyszły, natychmiast wyciągnął z kieszeni komórkę.

- Jacek, cześć, Andrzej mówi. Potrzebuję twojej pomocy. Nie prywatnej, służbowej. Musisz przyjechać do domu pani Aleksandry, to ten dom na końcu wsi. Ktoś wybił szybę. Kawałek cegły leży. Nie, nie chcę patrolu, chcę ciebie. Dobra, a kiedy będziesz mógł? To się umówmy za godzinę...

Weterynarz schował telefon i przeszedł z kuchni do pokoju.

- O cholera - zaklął. - Niech to szlag...

Tu szkła było jeszcze więcej. Dwa narożne okna przestały właściwie istnieć. Siła, z jaką rzucono cegły, była tak duża, że w jednym miejscu wyrwało kawałek framugi.

W pomieszczeniu panowało przenikliwie zimno.

Mężczyzna zajrzał do następnego pokoju, ale tutaj, może dlatego, że okna były od frontu, nic się nie stało. Poszedł więc do dziewczyn, do samochodu.

Obie siedziały z tyłu. Beatka, roztrzęsiona, ścisnęła rękę Moniki, która próbowała ją jakoś uspokoić.

- Posłuchajcie - zaczął Andrzej. - To nie był wiatr. Ktoś wybił okna specjalnie. Rozmawiałem przed chwilą z komendantem z Górek, ma przyjechać za godzinę i wszystko obejrzeć. Nie ma sensu, żebyście tu siedziały i czekały. W domu jest za zimno. Nie da się tam spać... Przenocujecie u mnie. Weźcie swoje rzeczy, rozejrzyjcie się, czy nic nie zginęło, i jedziemy. Ja potem tu wrócę i pogadam z komendantem.

- Andrzej, ja nie rozumiem... - w oczach Beaty lśniły Izy.
- Po co ktoś miałby to robić? Po co?

- Oj, kobieto, przestań się mazać! - próbowała ją po swojemu uspokoić Monika. - Wandale, i tyle. Jakies bezmyślne głupki! Nic nie poradzisz.

Beatka rozpląkała się na dobre.

- Wejdz do środka i spakuj rzeczy. Ja z nią zostanę - poleciał Andrzej Monice i wsunął się na tylne siedzenie. Podał Beci paczkę chusteczek, wyciągniętych z kieszeni kurtki. Beatka drżącymi rękami próbowała rozerwać opakowanie. Pomógł jej delikatnie.

- Nie denerwuj się. Ja wiem, że to przykre, ale chyba nie chcieli nic ukraść. To tylko takie wygłupy. Nie płacz już - poprosił i objął ją delikatnie ramieniem. -Wszystko będzie dobrze.

Beatka powoli zaczęła się uspokajać. Nagle otworzyły się przednie drzwiczki wozu.

- No dobra, to chyba wszystko - Monika wrzuciła do auta torbę i plecak. - Możemy jechać.

* * *

Andrzej przygotował im kolację, uprzedził, że zamknięte psy mogą trochę hałasować i pojechał się spotkać z komendantem policji.

- Uszy do góry - Monika przysiadła obok przyjaciółki na brzegu kanapy. - Tak rozpaczasz, jakby ci ten dom spalili. Przecież to tylko kilka szyb! Lepiej, że je wybili teraz, jak tu jesteśmy, przynajmniej ktoś się tym od razu zajmie. A tak, wyobrażasz sobie? Wiatr by tam hulał tygodniami.

Beatka nic nie mówiła, tylko siedziała smętna i zgarbiona, głaszcząc machinalnie czarnego kota, który mruczając, ocierał jej się o nogi.

- Swoją drogą... Z tym Andrzejem to miałyśmy szczęście. Świetny z niego gość. Tak się wszystkim zajął... Wiesz co, Beca, coś mi się zdaje, że ty mu się podobasz.

- Przestań, proszę, co ty opowiadasz? To po prostu jest bardzo miły człowiek. Na pewno każdemu w takiej sytuacji by pomógł - zaprotestowała gwałtownie Beatka. A po chwili dodała, już dużo ciszej: - Dlaczego myślisz, że mu się podobam?

- No wiesz, gapił się na ciebie, aż herbatę po stole rozlewał. Ale ty się do niego tak zabójczo uśmiechałaś, że mu się nawet nie dziwię.

- Oj, Monisia, przestań. Przecież ja nie specjalnie...

- A kto mówi, że specjalnie? Nieważna intencja, ważny efekt. A ty mu, koleżanko, wpadłaś w oko, i tyle. No ale dzięki temu mamy przynajmniej dach nad głową... To która pierwsza do łazienki?

- Idź ty. Ja zadzwonię do Pawełka, muszę mu wszystko opowiedzieć...

- OK. Popatrz, Becia, jak dobrze, że wzięłam ze sobą piżamę. Inaczej płatałabym się tu w samej bieliźnie, a to chyba nie mnie nasz weterynarz chciałby w niej oglądać... Oj, żartowałam przecież...

Monika wygrzebała z plecaka ręcznik i kosmetyczkę i poszła do łazienki. Niewielkie pomieszczenie, wyłożone beżowymi kaflami z ciemnobrązowym dekokrem, było idealnie czyste. „No, no - pomyślała, oglądając lśniąca wnętrze kabiny prysznicowej - nie ma siły, musi mieć sprzątaczkę”. Pod lustrem zauważyła srebrną buteleczkę Hugo Bossa i piankę do golenia Gillette. Przez chwilę w bardzo konkretnym celu myszkowała po pozostałych półkach i szafkach, ale wśród męskich kosmetyków i środków czystości nie natrafiła na żaden ślad kobiecej obecności. Zadowolona, nałożyła na szczoteczkę grubą kreskę pasty Colgate i zaczęła dokładnie szorować zęby.

Super się ułożyło z tym Andrzejem. Miły facet, opiekuńczy, nawet przystojny... Gdyby nie to, że Beatka po uszy zakochana i zaraz bierze ślub, to nie wiadomo, jak by się sprawy potoczyły...

Swoją drogą, biedna ta Becia. Tak ten Czerwińsk kocha, a tu masz. Jacyś chuligani, idiotyczna zabawa. Wcześniej ta twarz w oknie.... Może to zbieg okoliczności, a może... może ktoś chciał ją wystraszyć?

Czy nie lepiej, żeby Beata sprzedała jednak tę ziemię? Podobno znowu ktoś u niej był w tej sprawie, jakiś znajomy Michała. Oczywiście, odmówiła. Beatka jest tak z tym miejscem związana, że nie popuści. Monika знаła ją od lat i wiedziała, że w pewnych sytuacjach potrafi wykazywać dziki upór.

Ale przecież nie ma szans, żeby po ślubie tu zamieszkała. Pawełek się nie zgodzi...

Ktoś delikatnie zapukał do łazienki.

- Monisia, telefon do ciebie.

Monika rzuciła się do drzwi, otworzyła je gwałtownie i wyrwała przyjaciółce aparat z ręki. Niestety, na ekranie zamiast „Zbyszek” zobaczyła napis „mama”. Machnęła ręką na Beatkę.

- Idź się chlapać. Ja mam teraz pół godziny z głowy. Albo i lepiej. Już jestem, mamo. Tak...

Beatka przekręciła klucz w drzwiach łazienki i rozejrzała się uważnie. „Jak tu czysto” - pomyślała z uznaniem. „I jaki porządek”. Położyła ręcznik na szafce i zaczęła dyskretnie przyglądać się kosmetykom, ustawionym na półeczce pod lustrem. Poczowała dziwną ulgę, kiedy okazało się, że są wyłącznie męskie. Czyli ten zapach, który poczuła w samochodzie, gdy Andrzej ją przytulił, to był Hugo Boss? Dla pewności odkręciła butelkę i powąchała zawartość... „Oj” - zreflektowała się nagle. „Co ja robię?” Odstawiła szybko flakonik na miejsce i pochyliła nad umywalką, żeby opłukać twarz zimną wodą.

Jak to miło ze strony Andrzeja, że je zaprosił na noc. Tak się troskliwie nimi zaopiekował... Oczywiście, gdyby Pawełek był w Warszawie, to na pewno on by się wszystkim zajął, ale jak zwykle musiał lecieć na weekend do Berlina... I w dodatku ma wyłączony telefon...

Beci nagle zrobiło się strasznie przykro. Tak rzadko się z Pawłem ostatnio widują. I teraz, kiedy go naprawdę potrzebuje, nie może z nim nawet porozmawiać. Najpierw ta przerażająca twarz w oknie, teraz te wybite szyby... Zupełnie jakby Czerwińsk nie chciał jej u siebie...

ROZDZIAŁ 21

o dramatycznej dla niektórych wizji lokalnej

Beatka obudziła się rano z dziwnym uczuciem. Wszystko okropnie ją swędziało. Zaczęła się drapać tak energicznie, że aż obudziła leżącą obok Monikę.

Przyjaciółka ziewnęła, przeciągnęła się i odwróciła w jej stronę.

- Hej, co się tak wierzisz? - spytała z pretensją, spojrzała na Beatkę i jęknęła. - Cholera, co ci się stało?

Beatka, zapuchnięta i czerwona, popatrzyła na Monikę oczami jak szparki.

- A co, jakoś źle wyglądam? - zdziwiła się.

- Żle? Lepiej idź do lustra się przejrzyć. Tylko uważaj, żebyś Andrzeja gdzieś po drodze nie spotkała...

Beatka, zdenerwowana, odrzuciła koldrę.

- Ojej! - jęknęła na widok stóp pokrytych maleńkimi czerwonymi krostkami. Zerwała się i pobiegła do łazienki. Po mniej więcej dwóch sekundach rozległ się stamtąd rozdzierający jęk.

Monika niechętnie wstała z kanapy i poszła za Becią. Zastąpiła ją siedzącą na brzegu wanny, pogrążoną w czarnej rozpacz.

- Jak ja wyglądam, Monisia! Co mi się stało?

- Pojęcia nie mam, jakaś wysypka, czy co? Chyba nasz gospodarz powinien cię obejrzeć.

- Nie, nie, to na pewno zaraz samo przejdzie. Na pewno. Posiedzę tu sobie chwileczkę...

Monika wzruszyła ramionami.

- Chcesz, to siedź. Ja tam bym się na twoim miejscu Andrzeja zapytała...

- O co? - odezwał się tuż obok tubalny głos. Gospodarz stanął w progu łazienki i zobaczył Beatkę. - Dlaczego nie powiedziałaś, że masz alergię na koty? - zapytał spokojnie.

* * *

- Proponuję ustalić jakiś plan na dzisiaj - weterynarz odsunął się z krzesłem od kuchennego stołu.

Zbliżała się dziesiąta. Właśnie skończyli śniadanie, które wcześniej przygotował. Zauważył przy tym, że dziewczynom bardzo spodobała się jego zaradność w kuchni. No cóż, dla niego było to normalne. A poza tym chciał na nich zrobić wrażenie. Spojrzał uważnie na Beatkę. Po potężnej dawce wapna wyglądała już na szczęście prawie normalnie.

- Musimy, niestety, pojechać na komendę do Górek i złożyć formalne doniesienie. Komendant wszystko wczoraj obejrzał i powiedział, że to wygląda na zwykły chuligański wybrzyk. Jeżeli byli z okolicy, to łatwo ich namierzą. Trzeba też zabezpieczyć dom. Rozmawiałem już ze szklarzem, będzie się mógł za to zabrać najwcześniej we wtorek. A na razie zabiję te dziury dyktą. Powiedzcie, o której chcecie wracać do Warszawy?

- Nie wiem, jakoś tak po południu. Ale może ja powinienam zostać, przypilnować domu? - Beatka spojrzała na Andrzeja niepewnie.

- Nawet o tym nie myśl! - włączyła się energicznie Monika. - Andrzej będzie miał na wszystko oko. Prawda?

- Jasne. Zaden problem. Ty, Beatko, jesteś potrzebna tylko do tego, żeby na policji podpisać protokół. Powinnaś wrócić do Warszawy, ja tu się wszystkim zajmę.

Becia spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Dziękuję - powiedziała po prostu.

* * *

Za dnia wszystko wyglądało inaczej. Po burzliwej nocy rozpozgodziło się, nawet co jakiś czas zza chmur wychodziło słońce. Beatka snuła się po pomieszczeniach, smutna i rozżalona, przestawiając z miejsca na miejsce różne drobiazgi.

- Wiesz co, nie mogę na ciebie patrzeć - Monika, która pomagała Andrzejowi nosić kawałki dykty z samochodu, oparła się o framugę drzwi i obciągnęła na sobie granatową bluzę z kapturem. - Zajmij się czymś, nie łaż tak. Najlepiej weź odkurzacz, ciągle się tu jakieś szkło poniewiera.

- Stłukli babci fotografię...

- Słucham?

- Jedna cegła uderzyła w kredens, a tam stała fotografia babci...

- Beciu! - Monika podeszła do niej i położyła jej dłonie na ramionach. - Proszę! Weź się w garść! Ramkę dasz do szklarza i już. A teraz łap za odkurzacz i do roboty.

W tym momencie Andrzej przyniósł ostatnią partię dykty.

- Nawet nie wiedziałem, że tyle mi tego zostało. W zeszłym miesiącu budowałem kojce dla psów. Monika, przynieś jeszcze skrzynkę z narzędziami, dobrze? Jest pod tylnym siedzeniem.

Beatka przyciągnęła z sieni odkurzacz i zabrała się do sprzątania. Odłamki szkła denerwująco grzechotały w rurze. Wsunęła ją pod stół i w tym momencie silnik zachłusnął się i zaczął pracować na wysokich obrotach. Szybko nacisnęła nogą wyłącznik, wyjęła rurę z węża i spojrzała pod światło. No oczywiście, zatkana.

Westchnęła i zaczęła się rozglądać za czymś, co mogłoby posłużyć do przepychania.

Z sąsiedniego pokoju zajrzał Andrzej.

- Coś się stało? - zapytał czujnie.

- Zatkaliśmy odkurzacz - westchnęła zrezygnowana. Wyjął jej z ręki rurę.

- Czy twoja babcia robiła na drutach?

- Oczywiście! - Beata znikła w pokoju i po chwili wróciła z jednym drutem, zakończonym niebieską, plastikową kulką. - Spróbuj - podała mu.

Andrzej zaczął grzebać drutem w otworze i po chwili wyciągnął zgniecioną kartkę papieru.

- Gdzie jest kosz? - spytał. Beatka wskazała na szafkę pod zlewem. Otworzył ją i już miał wyrzucić papier do śmieci, kiedy przyszło mu do głowy, że dobrze by było sprawdzić, czy to nie jest coś ważnego.

Rozprostował kulkę. Na wyrwanej z zeszytu kartce w kratkę ktoś napisał wielkimi drukowanymi literami: WYNOŚ SIĘ STĄD TY DZIWKO!

Obejrzał się na Beatkę i ukradkiem schował papier do tylnej kieszeni dżinsów. Całe szczęście, że nie zobaczyła. Obrzydliwy dowcip. Ci chuligani musieli to jednak wcześniej zaplanować. To nie był spontaniczny wybryk. Jeżeli napisali tę kartkę...

Pomyślał, że jak tylko odwiezie dziewczyny na dworzec, pokaże znalezisko na policji. Powinni się o tym dowiedzieć.

ROZDZIAŁ 22

w którym robi się naprawę nieprzyjemnie

- Popatrz na to - Andrzej podsunął przyjacielowi kartkę papieru znaną na podłodze w kuchni Beaty.

Jacek Świtek, komendant policji w Górkach, pokręcił z niedowierzaniem głową. Był niski, szeroki w ramionach, miał jasne, rzadkie włosy, łagodną twarz i w wieku czterdziestu dwóch lat zdecydowaną nadwagę. Nie wyglądał na groźnego łowcę przestępców, mimo to w okolicy cieszył się dużym szacunkiem.

- Cholera! Dużo poważniejsza sprawa, chłopie, niż myślałem. Tę kartkę, oczywiście, trzeba oddać do laboratorium... Ciekawe... Przecież, jak mówiłeś, ta dziewczyna prawie tam nie mieszka. Przyjeżdża tylko czasami na weekendy. Dlaczego każą się jej wynosić? Komu by na tym zależało? No nic, czeka nas regularne śledztwo. Będę ją musiał przesłuchać...

- Jacek, ona o tym anonimie nic nie wie.

Policjant popatrzył na Andrzeja ze zdziwieniem.

- Jak to, nie wie? Nie pokazałeś jej?

Andrzej pokręcił przecząco głową.

- Nie. Żebyś widział, jak ona przeżyła wybicie okien... Gdyby jeszcze zobaczyła ten papier... Po prostu nie mogłem jej pokazać.

Jacek przyjrzał się przyjacielowi uważnie. Znał go od dawna i wiedział, że musiał być jakiś istotny powód tak nielogicznego i absurdałnego działania.

- Jak ty to sobie, chłopie, wyobrażasz? Trzeba jej powiedzieć, przecież ja muszę śledztwo prowadzić!

- Nie przesadzaj! - zachnął się weterynarz. - Normalnie będziesz wszystko robił. Popytasz po wsi, dwa dni i będziesz ich miał. Beatka ci nie będzie potrzebna!

- To się jeszcze okaże. A jak się będziesz z nią widział, to jej powiedz, żeby przyjechała złożyć zeznania. I to jak najszybciej.

- Dobra, dobra. Uciekam, późno się zrobiło - Andrzej podniósł się od stołu. - Dzięki za pomoc.

- Trzymaj się, stary, i lepiej uważaj na tę babkę. Coś ty się nią za bardzo przejmujesz.

Andrzej wziął kurtkę z wieszaka i wychodząc, uściśnął przyjacielowi rękę.

- Nie muszę uważać, nie bój się. Ona w przyszłym tygodniu wychodzi za mąż.

* * *

Beatka przeczytała ostatnie zdanie notatki, nad którą siedziała od godziny, i po chwili namysłu wykasowała prawie cały dokument. Nie mogła się jakoś dzisiaj skupić na pracy. „Za tydzień w poniedziałek będę już mężatką” - uśmiechnęła się i czule dotknęła zaręczynowego pierścionka. Był prześliczny - w delikatnym białym złocie lśnił dumnie prawdziwy brylant, otoczony małymi szafirami. Za tydzień na tym palcu będzie jeszcze błyszcząca obrączka...

Wstała od biurka i rozmarzona wyjrzała przez okno na aleję Szucha. Na dworze było szaro i nieciekawie, chmury na niebie nabrzmiewały coraz bardziej i wyglądało na to, że nie obejdzie się bez deszczu, ale nawet taki widok nie mógł jej popsuć humoru. Na pewno do soboty się rozpogodzi! Będzie pięknie, ciepło, słonecznie...

Bo wszystko inne zostało już dopięte na ostatni guzik. Próbowała sobie wyobrazić, jak będą wyglądali przed Pałacem

Ślubów... Ciekawe, czy goście obsypią ich ryżem... Przed sobotą powinna jeszcze raz przymierzyć pantofelki, dawno nie chodziła na takich wysokich obcasach. Co prawda to tylko parę kroków od samochodu... No właśnie, Paweł nie chciał jej powiedzieć, jakie auto zamówił. To miała być niespodzianka... A może... może pojedą do ślubu dorożką?

Z rozmarzenia wyrwał ją dzwonek telefonu komórkowego.

- Beata? - męski głos zabrzmiał znajomo. - Tu Andrzej.
- Andrzej! Jak miło! - naprawdę ucieszyła się, że to on.
- Posłuchaj... - zaczął. - Musisz jak najszybciej przyjechać do Czerwińska...

W jego głosie wyczuła napięcie.

- O Boże! - osunęła się na krzesło. - Co się stało?
- To nie jest rozmowa na telefon. Powiem ci, jak przyjedziesz.

Godzinę później siedziała już w pociągu. „Co się tam mogło stać?” - myślała zdenerwowana. Co się mogło stać? Dlaczego nie chciał jej powiedzieć, o co chodzi? Może złapali tych chuliganów? A jeżeli... O Boże! A jeżeli... było włamanie? Michał miał rację, ostrzegął... Najpierw te szyby, a teraz...

Sięgnęła po telefon i po raz setny w przeciągu ostatniego kwadransa wybrała numer Pawła. Znowu po kilku sygnałach usłyszała: „Przepraszamy, ten numer jest chwilowo nieosiągalny”. Co się dzieje, dlaczego on nie odbiera, dlaczego? Co prawda tym razem miał mieć do załatwienia w Berlinie wyjątkowo dużo spraw, ale mógłby przecież znaleźć chwilkę czasu, żeby do niej oddzwonić. A przez cały weekend uparcie się nie odzywał... Przecież on jeszcze nawet nie wie, co się wydarzyło w sobotę...

Andrzej czekał na dworcu - stał oparty o kiosk Ruchu i uważnie obserwował wysiadających z pociągu. Po chwili zauważył Beatę. Miała na sobie krótki płaszcz w kolorze kości słoniowej, przewiązany niedbale paskiem, i brązowe pantofle na niskich obcasach, a spod beżowego, płóciennego kapelusza wysunęło się kilka kosmyków jasnych włosów. Z przyjemnością przyglądał się jej zgrabnej sylwetce. „Świetna dziewczyna” - pomyślał odruchowo.

- Cześć - uśmiechnął się do niej blade. - Szybko przyjechałaś.

- Mów - powiedziała niecierpliwie zamiast powitania. - Mów natychmiast. CO SIĘ STAŁO?

- Chodźmy, powiem ci w samochodzie - Andrzej ruszył szybkim krokiem w kierunku parkingu.

Kiedy już wsiedli do auta, Andrzej odwrócił się w stronę Beatki, delikatnie wziął jej dłonie w swoje i patrząc jej poważnie w oczy, powiedział:

- Twój dom spłonął.

Bał się, że dostanie histerii, że zacznie płakać i krzyżeć, ale nie. Wcisnęła się w siedzenie i przygryzła pobladłe wargi, a kiedy Andrzej próbował pogłaskać ją po rękę, odsunęła się od niego gwałtownie. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła, bawiąc się tylko bezmyślnie paskiem płaszcza. W końcu odetchnęła głęboko i nie patrząc na Andrzeja, powiedziała cicho:

- Zawieź mnie tam...

Przez całą drogę nic nie mówiła, zaciskała tylko palce na uchwycie torebki, aż jej zbielały kostki. Kiedy wyjechali z lasu na otwartą przestrzeń, poprosiła, żeby się zatrzymał. Widok był przejmujący.

Dom właściwie przestał istnieć. Nad poczerniałym kręgosłupem murów tkwiły zwęglone stropowe belki, a puste oczodoły okien spoglądały martwo na drogę. Wszędzie dookoła wały się nadpalone meble, ubrania, książki.

Podwórko było rozjeżdżone ciężkimi kołami samochodów i pełne kałuż.

- O Boże - jęknęła i po jej policzkach wreszcie poleciały łzy. - O Boże... Nie mogę na to patrzeć...

Bez słowa zawrócił auto i ruszył z powrotem w kierunku wsi.

- Teraz odpoczniesz - zarządził, wprowadzając ją do mieszkania. Usiadła na kanapie i westchnęła ciężko. Andrzej przyniósł z kuchni szklankę wody i dwie pastylki.

- Weź to. Relanium na uspokojenie i zyrtec, żebyś się znowu nie zaczęła drapać - podał jej, połknęła posłusznie. Patrzył, jak podciąga nogi pod siebie i zwija się w kłębek, wtulając w sztruksowe obicie. „O Boże - pomyślał - jaka ona biedna. Niepotrzebnie ją tu ściągałem, niepotrzebnie. Trzeba było pojechać do niej, do Warszawy, tam jej powiedzieć...”

- Andrzej, moja torebka... - poprosiła, rozglądając się bezradnie. Przyniósł ją z korytarza i położył obok niej na kanapie. Wyciągnęła ze środka telefon, więc wyszedł do kuchni, przymykając za sobą dyskretnie drzwi. Kiedy po kilku minutach wrócił, Beata znowu płakała. Objął ją i mocno przytulił. Po chwili poczuł, że koszula na piersi zrobiła mu się mokra.

- On... on... Paweł mówi, że nic się nie stało!!! - szlochała. - Że to był tylko stary dom! Andrzej! Ja... Przecież... I żeby to teraz sprzedać, że nie ma sensu... On nie rozumie, że nie mogę... Nikt tego nie rozumie...

- Ja rozumiem - powiedział cicho, ale Beata, siąkając nosem, nie usłyszała.

- O Boże, muszę zadzwonić do Moniki, powiedzieć jej...
- znowu sięgnęła po komórkę i nerwowo wybrała numer.

- Monisiu, Czerwińsk się spalił! Cały dom, wszystko! Nie wiem... - Beatka nie była w stanie powiedzieć z sensem nawet jednego zdania.

- Daj - Andrzej wyjął jej telefon z dłoni. - Cześć. Poczeka moment.

Pochylił się nad Beatką.

- Spróbuj się zdrzemnąć. Ja z nią pogadam. Wyszedł z pokoju.

- No, jestem. Już słyszałaś. Dom spłonął. Straż przyjechała, jak już się dopalało, nie było co ratować. Za późno zgłoszono. Ktoś przejeżdżał szosą i zauważył... Nie, na pewno nie piorun. Posłuchaj... Znaleźli kanistry. Podpalenie, nie ma wątpliwości. Jeszcze jej tego nie mówiłem... Sama słyszałaś, w jakim jest stanie. I myślę, że na razie... lepiej, żeby nie wiedziała. Słuchaj, czy ten jej narzeczony... Myślisz, że się nią zaopiekuje? No dobra, będę w kontakcie. Chcesz ją jeszcze na chwilę?

Zajrzał do pokoju. Relanium podziałało. Beata usnęła.

* * *

Koło szóstej na dole, w klinice, zabrzączał dzwonek. Psy, zamknięte na noc w boksach na podwórku, rozszczękały się donośnie. Beata ani drgnęła. Spała ciągle na kanapie, przykryta grubym, kraciastym kocem.

- Już, zaraz - mruknął pod nosem Andrzej, biorąc fartuch z wieszaka w przedpokoju - mało skuteczna metoda oddzielenia życia zawodowego od prywatnego. Zwłaszcza że w ośmiu przypadkach na dziesięć i tak zapominał się przebrać. Dzwonek odezwał się znowu, tym razem dłużej i bardziej natarczywie. Zapalił jeszcze światła w gabinecie i poszedł otworzyć.

Przed drzwiami stał wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w eleganckim garniturze, rzadki widok w tych okolicach. Andrzej rozejrzał się odruchowo w poszukiwaniu czworonożnego pacjenta, ale zauważył tylko zaparkowane na chodniku luksusowe auto.

- Dzień dobry - odezwał się nieznajomy zasadniczym, nieprzyjemnym głosem. - Szukam Beaty Jakubowskiej.

- Proszę za mną - powiedział Andrzej i zaprowadził gościa na górę. Kiedy weszli do salonu, mężczyzna od razu skierował się do leżącej na kanapie Beatki.

- Kochanie, obudź się - potrząsnął ją za ramię.

Dziewczyna otworzyła oczy i spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Dałem jej środek uspokajający, będzie po nim jeszcze przez jakiś czas senna - wyjaśnił Andrzej, stojący w drzwiach.

- Pawelek - Beata uśmiechnęła się słabo. - Jak dobrze...

Mężczyzna ostrożnie przysiadł na brzegu kanapy, jakby się bał pobrudzić.

- Ptaszku - powiedział pieszczotliwie i poklepał ją po dłoni. - Jak się czujesz?

- Teraz już lepiej. Andrzej się mną zajął...

- No tak... Jasne. Będziemy już jechać - oświadczył stanowczo i dodał: - Dasz radę, kochanie?

- Oczywiście - Beata odrzuciła koc i zaczęła się wolno podnosić z kanapy. Paweł chwycił ją mocno za łokieć i pomógł jej wstać.

- Dziękuję i żegnam - rzucił oschle w kierunku gospodarza.

- Poczekaj - Beata wyciągnęła rękę do Andrzeja.

- Jestem ci naprawdę wdzięczna.

- Nie ma za co - uścisnął jej drobną, dziecinną dłoń.

- Zadzwoń, kiedy się lepiej poczujesz.

- Dobrze - powiedziała. Spróbowała się nawet uśmiechnąć, ale nie bardzo jej wyszło.

- Idziemy, kochanie - przynaglił Paweł. Objął ją ramieniem i poprowadził w kierunku schodów. W tym momencie Andrzej poczuł ogromną ochotę, żeby go z nich zepchnąć. „Co ona widzi w tym dupku?” - pomyślał, zamykając za nimi drzwi. W korytarzu pozostał intensywny zapach luksusowej męskiej wody kolońskiej.

ROZDZIAŁ 23

czyli Monika angażuje się coraz bardziej, nie tylko w śledztwo

Monika prawie biegła w stronę szkoły pustawą jeszcze o tej porze ulicą. Od poprzedniego popołudnia nie mogła do siebie dojść: Czerwińsk spalony!

Biedna Beca! Kiedy dzwoniła wczoraj, szlochala w telefon i gadała zupełnie bez sensu... Dopiero od Andrzeja Moniki dowiedziała się, co się właściwie stało. Podobno to było podpalenie, a przecież wcześniej ktoś powybił szyby w oknach i podrzucił kartkę z groźbami. Zupełnie nieprawdopodobne! Jak z jakiegoś horroru klasy C! Kto mógł zrobić coś takiego? I, do cholery, po co?

Pisk opon rozległ się o pół metra od niej.

- No jak leziesz, krowo jedna! - z okienka czerwonego daewoo espero wychyliła się niedogolona twarz zdenerwowanego kierowcy. - Na cmentarzu chcesz wylądować?

Monika odskoczyła na chodnik. Jeszcze tego by brakowało... Nie dość, że pech prześladowuje Beatkę...

Ze złością poprawiła osuwającą się szelkę plecaka i skręciła na szkolny dziedziniec. Pech? Ale czy ten pech nie jest czasem wysoki, przystojny i nie ma na imię Paweł? Odkąd pojawił się w życiu Beatki, zaczęły się wokół niej dzieć jakieś dziwne i coraz bardziej podejrzane rzeczy. „To musi mieć ze sobą jakiś związek” - stwierdziła stanowczo, otwierając energicznie drzwi do kantorka. „Tylko jaki?”

Sebastian, piszący coś przy małym stoliku, podniósł głowę i rozjaśnił się na jej widok.

- Cześć, Monia!
- Cześć. Biorę dzisiaj sałę, OK? - Monika powiesiła kurtkę na wieszaku i złapała gwizdek.
- A co ty dzisiaj taka serio?
- Mam parę spraw do załatwienia...
- Może pomogę? Dla ciebie wszystko, przecież wiesz - zadeklarował Sebastian, podnosząc się od stolika. Podeszedł, wyjął jej z ręki gwizdek i troskliwie zawiesił na szyi.
- Wiem. Ale na razie poradzę sobie sama. Dajesz tę sałę?
- Bierz. Na pewno wszystko gra?
- Jak cholera! - i wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

Ustawiła grę w siatkę dziewczynom z II g, usiadła na ławce pod ścianą i spróbowała się uspokoić. Musi koniecznie posunąć śledztwo do przodu, to pewne. I to jak najszybciej. Zaczęła się gorączkowo zastanawiać, jakim teraz pójść tropem. Wyprawa na przyjęcie, po której tyle sobie obiecywała, nie dała praktycznie nic, może poza faktem, że o mało co nie została zdemaskowana. Gdyby nie ten facet, ten Zbyszek... A może... Monika uśmiechnęła się do siebie, zadowolona. Paweł podczas toastów na przyjęciu wspomniiał, że Zbyszek to jego najbliższy współpracownik. No właśnie, idealne dojsście. Wystarczyłoby trochę podpytać i być może byłoby po sprawie. Tylko że to oznaczało prowadzenie z nim jakiejś gry, a nie wiadomo, czy dałaby radę. No właśnie, cholera! Wziął od niej telefon, od piątku minęło już kilka dni... Ciekawe, dlaczego nie zadzwonił? I w ogóle co on sobie o niej myśli? Wygląda na to, że musi się odezwać pierwsza. A dalej się zobaczy.

Swoją drogą, miło byłoby się z nim spotkać. Jakoś nie mogła zapomnieć tych jego szarych oczu... Monika westchnęła i zapatrzyła się przez okno na rozłożyste kasztanowce, rosnące przy szkolnym boisku. Fajny facet i w dodatku

inteligentny. Nieźle się z nim rozmawiało. Szkoda tylko, że krótko. Gdyby Paweł nie odciągnął go tak szybko, mogłaby może już wtedy coś z niego wycisnąć. A tak - stanęła w miejscu. Trop Weroniki nigdzie jej nie doprowadził, potem utknęła na śladzie prowadzącym do Czerwińska. A teraz jeszcze ten pożar i kartka z groźbami... I ciągle, cholera, nie ma czego się uchwycić.

Wyciągnęła telefon z kieszeni dresu. Odwróciła się plecami do boiska, weszła w spis i wybrała numer. Mecz, sądząc z odgłosów, rozkręcił się na dobre. Pokrzykiwania grających dziewczyn odbijały się głośnym echem w przestronnej sali. Przycisnęła mocno telefon do ucha. Po trzech dłuższych sygnałach usłyszała:

- Wierzbicki, słucham...
- Dzień dobry, tu Monika Kwiatkowska... Spotkaliśmy się na przyjęciu u Pawła Jabłońskiego, pamięta pan?
- Oczywiście. Cieszę się, że pani dzwoni. Co słyhać?
- Właściwie... - Monika zawiesiła głos. W słuchawce na moment zapadła cisza.
- Myślałem o pani - powiedział Zbyszek po prostu. Zaskoczona, nie wiedziała przez chwilę, co odpowiedzieć.
- Ja też o panu myślałam - podchwyciła.
- Taaak? - ucieszył się.
- A tak. I tak mi się wydaje, że powinniśmy się spotkać - wypaliła bez namysłu.
- Chętnie. To gdzie i kiedy?
- „Trzeba kuć żelazo, póki gorące” - pomyślała Monika.
- A co pan robi dziś po południu?
- Na razie nic. Czekaam na propozycję...

- Jest taka przyjemna herbaciarnia na Saskiej Kępie... na Francuskiej. Zna pan? Może o osiemnastej?
- Dobrze. Do zobaczenia.

* * *

Monika w pośpiechu przygotowywała poranną kawę. Zrobiło się późno. Z łazienki dobiegał jednostajny szum prysznica. Nadal nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że wczoraj po spotkaniu w herbaciarni Zbyszek został u niej na noc. Tak po prostu. Przecież tego nie planowała. Mieli tylko porozmawiać przy herbacie... Zapatrzyła się w kuchenne okno, za którym szumiały pożółkłe topole.

Trzaśnięcie drzwi od łazienki wyrwało ją z zamyślenia. Nalala kawę, chwyciła tacę i poszła szybko do pokoju. Zbyszek zapinał właśnie koszulę. Stał na środku, a wpadające przez okno ostre poranne słońce otaczało jego wysoką sylwetkę świetlistym konturem. Monika zatrzymała się na progu i zapatrzyła na niego. „W co ja się, cholera, wplątałam” - pomyślała i zadrżała.

Zbyszek odwrócił się i uśmiechnął do niej ciepło.

- Zrobiłaś kawę? Już późno, ale zdążymy wypić razem.

Usiedli naprzeciwko siebie przy małym stoliku pod oknem. Zbyszek w milczeniu wpatrywał się w nią swoimi siwymi łagodnymi oczami. Ona też milczała. O czym tu mówić? Słowa czasami mogą wszystko zepsuć.

W końcu wstał. Odstawił starannie filiżankę i podszedł do Moniki.

- Miłego dnia, Nika - powiedział spokojnie. Potem pocałował ją w czoło i wyszedł.

„Jak on może być taki spokojny?” - zastanawiała się, biegnąc do łazienki. Ona nie mogła sobie dać rady z emocjami, a on po prostu sobie wyszedł, jak gdyby nic się nie stało, nic

między nimi nie zaszło... A może... Może to po prostu nic dla niego nie znaczyło? Może to dla niego normalne, spędzić noc z nieznaną dziewczyną... Może się więcej do niej nie odezwie? Zdenerwowana, wybiegła z domu, w ostatniej chwili łapiąc plecak z krzesła w kuchni. Co za cholerny dzień!

Chociaż nie było tego w planie, na zajęciach zarządziła sprawdzian. Biedne dziewczyny wyciskały z siebie siódme poty, skacząc, czołgając się i wspinając po linie.

Na dużej przerwie, po powrocie do kantorka, z impetem rzuciła dziennikiem o stół i opadła ciężko na krzesło. Po chwili zerwała się i zaczęła bez sensu przekładać piłki lekarskie z miejsca na miejsce. Sebastian, z kanapką w ręku, błądził za nią zdziwionym wzrokiem.

- Co się dzisiaj z tobą dzieje? - spytał w końcu. - Wytrzymać się nie da. Miotasz się jak wściekła. Co cię ugryzło, kobieto?

- Nic, co mogłoby cię zainteresować. Zaraz dzwonek. Lecę na zajęcia.

- Ty przystopuj trochę, śliczna, bo zamęczysz te dzieciaki.

- Pilnuj swojego nosa - rzuciła ostro. Złapała gwizdek, wsadziła go w zęby i tak uzbrojona wkroczyła do sali gimnastycznej na spotkanie z I g. Sebastian wzruszył ramionami, wziął wiązki kolorowych szarf i wyniósł się na boisko.

„Dlaczego się tak wściekam? - zastanowiła się Monika, obserwując spocone dziewczyny, wspinające się z mozołem po drabinkach. - W końcu nic takiego się nie stało. Po prostu kolejny facet mnie zostawił. Chyba powinnam się już przyzwyczaić”.

- No, panny, nie lenić się! Dwa okrążenia żabką! Żwawo!

W momencie kiedy na korytarzu rozległ się ostry dźwięk dzwonka na przerwę, poczuła w kieszeni bluzy wibrujący telefon komórkowy. Wyszarpnęła go gwałtownym ruchem.

- Słucham?! - rzuciła, nie patrząc na ekran.

- Nika? - zabrzmiał ciepły głos Zbyszka. - Co u ciebie? Zobaczmy się dzisiaj?

Monika poczuła taką ulgę, że aż musiała się oprzeć o ścianę.

- Ja... No tak, chętnie...

- Tylko jak to zorganizujemy? Bo ja muszę dziś do późna siedzieć w pracy.

- To może wpadnę do ciebie do biura? - zaproponowała szybko.

- A wiesz, świetny pomysł - ucieszył się. - To bądź około osiemnastej, dobrze? Chyba trafisz? - zaśmiał się cicho.

- Trafie - Monika też się roześmiała. Znowu było dobrze.

* * *

Kiedy stanęła przed bramą budowy, poczuła coś na kształt satysfakcji. No proszę, tym razem wejdzie tu w normalny sposób. O tej porze teren był już prawie pusty, nie licząc przechadzającego się niedbale stróża i dużego, brzydkiego psa, szarpiącego się na łańcuchu. Monika, brnąc przez brudny piach, mozolnie pokonała dystans dzielący ją od biurowego baraku. Otrzeпаła buty na wycieraczkę i zapukała lekko w metalowe, pokryte zaciekami drzwi.

- Proszę! - rozległo się ze środka, więc weszła.

Zbyszek siedział na środku pomieszczenia przy ogromnej desce kreślarskiej. Na jej widok wstał, uśmiechając się szeroko, zbliżył się i objął ją. Przez chwilę było naprawdę

miło. Ale zaraz odsunął Monikę na odległość ramienia i powiedział:

- Nika, poczekasz parę minut? Muszę coś dokończyć.

Usiadła posłusznie na kręconym, skórzanym fotelu przy biurku obok, a Zbyszek zajął się znowu papierami. Minęło parę minut. Monika obserwowała go, bawiąc się niecierpliwie znalezionym na blacie spinaczem. W końcu podniosła się i stanęła Zbyszkowi nad głową.

- Co tam robisz?

- Przeglądam projekt centrum handlowego. Dostałem dziś od architektów.

- Tak? - zapytała bez przekonania Monika. Zbyszek z satysfakcją popukał palcem w rozpięte na desce plany.

- Bardzo ciekawa koncepcja. Nowatorska.

- Naprawdę?

- Tak. Teren jest dosyć trudny, ale jakoś damy radę.

- To nie lepiej budować gdzie indziej? Po co akurat tam? - spytała Monika, choć, prawdę mówiąc, temat nie bardzo ją interesował. Zbyszek uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Bo to idealne miejsce.

- Nie rozumiem - Monika przysiadła mu na kolanach. - Mówiłeś przecież, że teren jest kłopotliwy?

Zbyszek roześmiał się i przyciągnął ją mocno do siebie.

- Zaraz ci wytłumaczę. Ten teren nie jest najlepszy pod budowę, ale właśnie tamtędy ma przechodzić obwodnica Warszawy. Rozumiesz? Cała okolica na tym zyska. Ceny ziemi już mocno tam podskoczyły. Jest tylko pewien problem, bo właściciele nie chcą teraz odsprzedawać swoich działek. Czekają, aż ceny jeszcze wzrosną.

- No, no... A gdzie to jest?
- Pod Warszawą. Blisko Górek Mazowieckich.
- Gdzie?! - poderwała się z jego kolan.
- Obok Górek Mazowieckich. Nie pamiętam nazwy miejscowości...

- A można to jakoś sprawdzić? - spytała podekscytowana.

Zbyszek spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Aż tak cię to zainteresowało?

Monika zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Wyobraź sobie. To co, poszukasz dla mnie tej nazwy?

Przyciągnął ją mocno do siebie.

- A co za to dostanę?

- Wy, mężczyźni, wciąż tylko o jednym - roześmiała się.

- To co, sprawdzisz?

- A mam inne wyjście?... - westchnął Zbyszek i zaczął przeglądać plany przypięte do deski.

Przez chwilę wertował papiery, w końcu popukał w nie palcem.

- O, jest. Nazywa się Czerwińsk.

Monika gwałtownym ruchem odsunęła Zbyszka i pochyliła się nad projektem. Rzeczywiście, nazwa wypisana była drobnym technicznym pismem na dole jednego z arkuszy.

W tym momencie trzasnęły drzwi.

- Co tu się dzieje? - rozległ się ostry głos Pawła.

Monika, przerażona, odskoczyła w tył, a Zbyszek odwrócił się powoli w kierunku przyjaciela:

- Cześć, stary. Przyjechałeś obejrzeć plany centrum?

- Co ona tu robi?! - zapytał szybko Paweł i patrząc na Monikę, zrobił dwa kroki w jej kierunku. Zbyszek spojrział zdziwiony.

- O co ci chodzi?

- A co jest napisane w regulaminie budowy? Obcym wstęp wzbroniony! - powiedział już innym tonem Paweł i nagle roześmiał się. Podszedł do Moniki i pocałował ją w rękę.

- Bardzo miło cię widzieć. Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt? - nadal trzymał jej dłoń, patrząc badawczo w oczy.

Poczuła zapach jego wody po goleniu. Jak wtedy u niej domu... Miała ochotę uciec.

„Co ja mu odpowiem?” - pomyślała spanikowana. W tym momencie Zbyszek przysunął się do niej i powiedział:

- To ja zaprosiłem Monikę.

Paweł spojrzał uważnie na niego i w końcu puścił jej rękę.

- A, to świetnie. Szkoda tylko, że masz tyle pracy. Aha, zapomniałem ci powiedzieć, że jutro rano lecisz do Berlina zamiast Kawczyńskiego. Papiery weźmiesz z sekretariatu.

- Mówiłeś, że polecą Nowacki... - zdziwił się Zbyszek.

- Ale teraz polecisz ty. Zdążysz wrócić akurat na ślub.

- No dobrze. Tylko do tego wyjazdu to się będę musiał trochę przygotować.

Paweł klepnął go z rozmachem w ramię.

- Nic się nie martw, stary. Odwiozę Monikę do domu.

Zbyszek obrzucił go zamyślnym spojrzeniem.

- Tak chyba będzie najlepiej. Nika, głupio mi, ale sama widzisz... - uśmiechnął się do niej przepraszająco.

- Nie ma sprawy - Monika pogłaskała go po ramieniu, a potem złapała swój plecak z obrotowego fotela. Pierwsze oszołomienie minęło, teraz już była tylko wściekła. Nie chciała

narobić Zbyszkowi kłopotów, a ten drań Jabłoński był najwyraźniej na wojennej ścieżce. Co za cholerny pech, że tutaj przylazł... Akurat teraz!

ROZDZIAŁ 24

w którym Monika nie posiada się ze zdumienia

K-Pax, Nie ma róży bez ognia, Miś, Uciekająca panna młoda... Monika przerzucała szybko niewielki stosik płyt DVD, leżący obok odtwarzacza. O, jest. *Dzień świstaka*, ich ulubiony film. Beatka zawsze się przy nim śmieje do łez. Wrzuciła go do plecaka, chwyciła kurtkę i klucze z komody i już miała zatrzaskać za sobą drzwi, kiedy przypomniała sobie, że portmonetkę zostawiła na stole w kuchni. Ostatnio ciągle czegoś zapomniała, to chyba nerwy dawały o sobie znać. Dobrze, że zorientowała się teraz, a nie dopiero w sklepie. Wybierała się do Beatki i miała zamiar kupić po drodze wino i coś słodkiego - Czerwińsk spłonął już cztery dni temu, a ta bidula ciągle była w koszmarnym stanie. Zdecydowanie potrzebowała jakiejś terapii.

Kiedy zbiegała po schodach, na wysokości drzwi pani Heleny przypomniała sobie nagle, że w tym całym zamieszaniu już od dobrych kilku dni nie zaglądała do staruszki. Pod wpływem impulsu nacisnęła dzwonek.

Ze środka, zamiast zwykłego szurania kapci, rozległo się delikatne stukanie i w drzwiach stanęła pani Helena ubrana tak odświętnie i elegancko, że Monika aż się zachłysnęła.

- No nie, ależ pani wystrzałowio dzisiaj wygląda! A z jakiej to okazji? - zapytała wesoło. Starsza pani, najwyraźniej zadowolona z komplementu, poprawiła odruchowo czarny zakieciik.

- Dzień dobry, Monisiu, naprawdę myślisz, że może być? Wybieram się zaraz z Weroniką do notariusza, więc...

W tym momencie z pokoju dobiegł charakterystyczny, dźwięczny sygnał starego czarnego aparatu z laki.

- Och, kochanie, przepraszam, telefon. Zajrzyj jutro, koniecznie! - zakończyła rozmowę i zamknęła trochę zdeorientowanej Monice drzwi przed nosem. Przytłumione stukanie lakierków oddaliło się i ucichło.

„Dziwne...” - pomyślała zaniepokojona Monika. „Do notariusza? Z Weroniką? Ciekawe po co...” Ale nie miała teraz czasu się nad tym zastanawiać, bo zbliżało się wpół do piątej, a obiecała przecież Beci, że będzie u niej koło czwartej. Właściwie wyrobiłaby się bez problemu, gdyby jej nie zatrzymała dyrektorka. Co babie do głowy przyszło, żeby w połowie wrzeźnia omawiać program kwietniowej wycieczki...

W sklepie na szczęście nie było kolejki, a autobus podjechał jak na zamówienie i dosłownie piętnaście minut później Monika zatrzasnęła za sobą rozklekotane drzwiczki starej, śmierzdzącej windy w bloku Beatki. Kiedy nacisnęła szóstkę, kabina drgnęła i niechętnie ruszyła w górę, telepiąc się nieprzyjemnie na boki.

„Co za syf” - wzdrygnęła się Monika. „Ciekawe, za co ta spółdzielnia bierze czynsz?”

Z ulgą wysiadła na szóstym piętrze i zapukała do drzwi mieszkania przyjaciółki. Po dłuższej chwili szcęknęła zasuwu i na progu stanęła Beatka, ubrana w jakiś porozciągany, stary dres.

- Cześć - wyszeptwała raczej niż powiedziała i szurając kapiami, powlokła się z powrotem do pokoju.

„O Boże” - przeraziła się Monika. „Ona wygląda starzej od pani Heleny!”

Zaniosła do kuchni wino, włożyła na razie do lodówki i wróciła do pokoju. Becia, która zdążyła się przez ten czas

ulożone na pomarańczowym fotelu, zajęta była wpatrywaniem się w jakiś bliżej nieokreślony punkt na przeciwległej ścianie. Raczej nie była w najlepszej formie.

- Wszystko spłonęło, wiesz? - wyszeptwała.

Monika ukucnęła obok i objęła ją mocno. Beata rozchlipała się żałośnie.

- Ja... ja w ogóle nie mogę dojść do siebie. W dzień, w pracy, jeszcze jakoś się trzymam, ale jak wracam do domu... Ja wiem, że mam ślub, że powinnam wziąć się w garść... i nie potrafię....

Monika gładziła ją po włosach, zupełnie bezradna.

- Słuchaj, tak nie można! Przecież to był tylko dom! Naprawdę! Nie możesz robić z tego aż takiej tragedii!

Beata odsunęła się od przyjaciółki i popatrzyła na nią z wyrzutem.

- Tylko dom? Tylko dom! Jak możesz?

- Bacia, co ty! - jej reakcja zaskoczyła Monikę.

- Nikt nie rozumie, co ja czuję! - Beata popadła w histeryczny ton. - Ani ty, ani Paweł! Nikt! Głupia romantyczka, tak sobie o mnie myślicie! W końcu to tylko dom. Stary i do niczego. Trzeba było od razu sprzedać, nie byłoby problemów!

Monika, coraz bardziej zdziwiona, podniosła się z podłogi i oparła o okienny parapet.

- Kobieto, co ty wygadujesz? O co ci chodzi z tą sprzedażą?

- Bo Paweł wprost mi powiedział, że teraz to już nareszcie mogę ten cały Czerwińsk sprzedać - wyrzuciła z siebie Beata, zaciskając dłonie na oparciu fotela.

Monika aż się wyprostowała.

- No wiesz co, ale cham! Jak on mógł?

- Monisia! Tak się wszystko dobrze układało, taka byłam szczęśliwa, a teraz... Czuję się, jakby mi ktoś podciął skrzydła...

- Słuchaj! Skrzydła to ty będziesz miała podcięte, jak...

„Jak wyjdiesz za tego dupka” - już miała dokończyć Monika, ale na szczęście ugryzła się w język. Nie będzie kopać leżącego. A właściwie leżącej.

- Dosyć tego mazania, dobrze? Przyniosłam *Dzień świstaka*. Włączamy?

Zgodnie z przewidywaniami ulubiona komedia podziałała jak lekarstwo. Pod koniec filmu i butelki wina Beata nareszcie się rozluźniła.

- Czy ja już ci mówiłam, że jutro mam wolne i na cały dzień idę do spa? Będę się robić na bóstwo. Pawełek mnie namówił. Powiedział, że na ślubie muszę wyglądać kwitnąco... Potem już tylko fryzjer w sobotę... Słuchaj, a jak ty się uczesziesz? Może poszłabyś razem ze mną?

- Nie, dzięki. Już się umówiłam u mojej Małgosi. Zresztą i tak przecież przyjdę w dresie i spózniona.

Beata spojrzała na nią w popłochu i dopiero po chwili zorientowała się, że przyjaciółka żartuje.

- No wiesz co! Po tobie to się wszystkiego można spodziewać. Dobrze, że chociaż świadek jest poważny i można na nim polegać. W dodatku przystojny. Powiedz sama, całym do rzeczy, co? Może się podobać...

Monika zaczęła się nagle z dużym zainteresowaniem przyglądać resztkę wina w kieliszku.

- Hmm... Jeśli chodzi o Zbyszka... to chyba powinnam ci coś powiedzieć...

Przerwała. Zielonkawę oczy Beatki zalśniły zaciekawieniem.

- A co, powiedz!

- No wiesz... - zająknęła się przyjaciółka.

- Monika?!

- Oj, zaraz Monika, Monika! Po prostu, stało się, i tyle - dziewczyna zarumieniła się jak pensjonarka.

- Niemożliwe! - Beatka patrzyła na nią z niedowierzaniem. - To cudownie! Wspaniale! Nawet nie wiesz, jak się cieszę! Kto by pomyślał...

I rzuciła się przyjaciółce na szyję.

* * *

W piątkowy poranek Monikę obudził telefon.

- O cholera - zdenerwowała się. Zegar wskazywał siódmą trzydzieści cztery i nic nie wskazywało na to, żeby się spieszył. Zdaje się, że poprzedniego wieczoru, pod wpływem zmęczenia oraz pewnej ilości wina w organizmie, zapomniała nastawić budzik...

- Halo - rzuciła do słuchawki, zrywając się w panicznym pośpiechu z łóżka. Do rozpoczęcia pierwszej lekcji miała jeszcze dwadzieścia pięć minut. Przy odrobinie szczęścia...

- Cześć, moja piękna! Właśnie jadę do szkoły i zgadnij, co mam w kieszeni! Kopertę pełną informacji o tym twoim Pawełku. Wczoraj wieczorem mi kumpel podrzucił. No i co ty na to?

Monika zamarła z ręką na klamce drzwi do łazienki.

- O rany! Niemożliwe! Nawet nie wiesz, jak się cieszę! Sebuś, cudowny jesteś. Ale nie mogę teraz gadać, sorki. Widzimy się za kwadrans.

Popędziła z powrotem do pokoju i zaczęła grzebać w szafie w poszukiwaniu jakichś czystych dżinsów. Z podniecenia wszystko leciało jej z rąk. A więc jednak! Coś na niego mają! Nareszcie jakieś konkretne informacje, dowody! Będzie miała co pokazać Beatce!

Do kantorka wpadła na dwie minuty przed lekcją.

- Gdzie to masz? - krzyknęła do Sebastiana, który właśnie zmieniał koszulkę. Widząc, jak jest podekscytowana, zamiast jak zwykle się z nią droczyć, machnął tylko ręką w kierunku biurka. Monika precyzyjnie się obok niego i chwyciła w ręce leżącą spokojnie na blacie cienką czerwoną, teksturowaną teczkę.

W tym momencie zabrzmiał dzwonek. Monika jęknęła.

- No dobra, czytaj sobie, zajmę się na razie twoimi pannami - Sebastian mrugnął do niej porozumiewawczo, wziął z wieszaka swój gwizdek i wyszedł, zostawiając ją samą.

Drżącymi palcami próbowała rozsypać tasiemki, aż w końcu straciła cierpliwość i rozerwała je jednym ruchem. Zawartość teczki wysypała się na stół... Monika rzuciła się na nią łapczywie. Zaczęła przerzucać papiery, najpierw powoli i uważnie, potem coraz szybciej i bardziej nerwowo. Jasny gwint, nie tego się spodziewała. Większość dokumentów stanowiły bowiem... kopie mandatów drogowych! No tak, to właściwie nic dziwnego, Paweł lubił brawurową jazdę. Oprócz tego jeszcze tylko doniesienie o jakiejś bójce na budowie prowadzonej przez Pawbud, krótka notka biograficzna i kilka deklaracji skarbowych, to wszystko.

Zawiedziona Monika ze złości aż uderzyła pięścią w stół. Czyli co, jednak jest czysty? Nie ma na niego żadnego haka? Nigdy nie był aresztowany? Nie wchodził w żaden konflikt z prawem? Cholera jasna! Znowu pudło?

Zniechęcona, zaczęła jeszcze raz, już powoli, przeglądać kartki. Wzięła do ręki notatkę, która zaczynała się od słów: „Paweł Jabłoński, urodzony..., zamieszkały..., matka Stanisława Jabłońska, zamieszkała w Ostrowiu koło Jastrzębiej Góry...”

Monika wyprostowała się gwałtownie. Matka? Zaraz, przecież on jest podobno sierotą! Mówił, że się wychował w domu dziecka, a oboje rodzice nie żyją! To jak to MATKA? Przecież jeszcze niedawno, jak rozmawiały o przyjęciu ślubnym, Beata mówiła, że ze strony Pawła nie będzie nikogo, bo on nie ma żadnej rodziny!

Jeżeli to nie jest jakaś pomyłka, to Beata wyjdzie jutro za typka, który ukrywa przed ludźmi własną matkę! Pytanie tylko DLACZEGO ukrywa?

Monika nagle poczuła gwałtowny przypływ energii. Musi, po prostu musi to wyjaśnić, zanim to zakochane cięło wyjdzie za mąż za tego oszusta. No, żeby przyszłej żonie tak nakłamać!

W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do Beatki, ale się powstrzymała. Ksero jakiejś notatki policyjnej to jeszcze nie jest dowód. Zwłaszcza dla zakochanej dziewczyny na dwa dni przed ślubem.

I w tym momencie Monika zrozumiała, że czeka ją wyprawa nad morze.

ROZDZIAŁ 25

podczas którego wszyscy czekają w napięciu na marsz Mendelssohna

Wpadła na peron w ostatniej chwili. „Pociąg Intercity do Gdańska odjedzie z toru drugiego przy peronie pierwszym” - usłyszała komunikat. Zdążyła wskoczyć do najbliższego wagonu i pociąg ruszył. Oparła się o okno w korytarzu, próbując uspokoić oddech.

Nawet dla niej sprint przez cały Centralny, w dodatku z niewygodną torbą przewieszoną przez ramię, był sporym wysiłkiem. W dodatku teraz musiała jeszcze wyruszyć na poszukiwanie konduktora, bo nie zdążyła kupić biletu. Ciekawe, ile będzie drożej?

Od rana wszystko robiła w jakimś niewiarygodnym pośpiechu - najpierw biegiem do szkoły, potem na każdej przerwie pędem do pracowni informatycznej, która, niestety, mieściła się w drugiej części budynku, żeby wejść do Internetu i posprawdzać wszystkie możliwe połączenia do Jastrzębiej Góry. Kiedy już wreszcie skończyła lekcje, Sebastian z rykiem silnika odwiózł ją pod dom. Na spakowanie miała jakieś dziesięć minut, a przecież w tym czasie musiała jeszcze zamówić taksówkę. „Że też ten Sebek musiał mieć akurat dzisiaj zastępstwo i wracać do szkoły” - wściekała się, wyrzucając ciuchy z szafy jak leci. Majtki, skarpetki, szczoteczka do zębów, jakaś pierwsza lepsza bluzka i ciepły sweter, właściwie niewiele więcej było trzeba. W ostatniej chwili zdarła jeszcze z wieszaka kremową, jedwabną kieckę, w której miała występować na ślubie.

„Tak na wszelki wypadek” - pomyślała. Gdyby nie udało jej się wrócić odpowiednio wcześniej... Przewrotny zawsze ubezpieczony i takie tam. Co prawda tuż za drzwiami uświadomiła sobie nagle, że taszczenie ze sobą sukni na ślub jest właściwie bez sensu, bo w końcu po to jedzie na poszukiwanie matki Pawełka, żeby ślubu NIE BYŁO, ale nie miała czasu wracać, żeby ją zostawić.

Konduktora znalazła na szczęście już w następnym wagonie, zgłosiła brak biletu i zaopatrzona w odpowiedni kwitek opadła z ulgą na najbliższe wolne siedzenie. Miała przed sobą prawie cztery godziny drogi i rozmyślania nad tą całą dziwną, niecodzienną sytuacją. Dlaczego Paweł powiedział, że nie ma matki? Dlaczego ją ukrywał? Kim jest ta kobieta? I jaka jest? Co jej powiedzieć, o co zapytać? Chyba powinna wymyślić jakąś wiarygodną historyjkę, bo przecież głupio tak przyjść i zapytać wprost: „Czy pani jest matką Pawła Jabłońskiego?”. Bardzo niezręczna sytuacja...

Był już właściwie wieczór, kiedy wysiadła z autobusu w niewielkiej wsi, oddalonej o parę kilometrów od morza, położonej malowniczo na łagodnym wzgórzu zagubionym wśród łąk. Jeden z dwóch miejscowych sklepów, ten, w którym sprzedawali piwo, był jeszcze ciągle otwarty, weszła więc do środka i zapytała o panią Jabłońską. Ekspedientka, zażywna tleniona pięćdziesięciolatka w fartuchu, który był chyba ostatnio prany na Wielkanoc, przez chwilę próbowała zlokalizować w pamięci nazwisko.

- Musi pani iść drogą w tamtą stronę - machnęła grubą ręką w kierunku, z którego Monika przyjechała. - Taki mały domek, najmniejszy. Wszyscy inni to się tu na kwatery porozbudowywali, tylko Jabłońska nie. Ale sama żyje i w biedzie, to niby za co by miała...

Domek był rzeczywiście bardzo mały i żółty, wciśnięty między dwie odszykowane wille. Rozpoznała go bez problemu. Ale kiedy stanęła przed brązowymi, oblażącymi z farby drzwiami, poczuła w żołądku skurcz strachu. Zapukała najpierw lekko, potem dużo mocniej. Po długiej, denerwującej chwili oczekiwania w korytarzu dało się słyszeć skrzypienie podłogi i chwilę później drzwi powoli się otworzyły.

W progu stała niska siwa kobieta o ziemistej cerze i zmęczonych oczach. Cienkie, zniszczone włosy miała zaczesane do tyłu w skromny koczek. Jedną rękę trzymała na klamce, drugą opierała na lasce. Ta twarz... To podobieństwo...

- Słucham, o co chodzi? - obrzuciła niezapowiedzianego gościa zdziwionym spojrzeniem.

- Czy pani jest matką Pawła Jabłońskiego? - wypaliła bez zastanowienia Monika.

W oczach kobiety pojawił się chłód i... tak, chyba strach. „Idiotka ze mnie” - jęknęła w duchu Monika. „Teraz mnie wyrzuci na zbity pysk. Trzeba było jakoś inaczej zacząć...”

W tym momencie kobieta wyprostowała się z godnością.

- Tak, ten łobuz to mój syn. A o co chodzi?

* * *

Monika, półprzytomna z niewyspania, oparła czoło o zimną szybę wysłużonego autobusu, który, postępując na wybojach, wiózł ją do Gdańska. Było cholernie późno. Dochodziło wpół do jedenastej, a punktualnie o szesnastej trzydzieści powinna się pojawić w Pałacu Ślubów, najlepiej wypindrzona do nieprzytomności. Choć właściwie kiedy przekaze przyjaciółce, czego się dowiedziała, Bacia na pewno

zrezygnuje ze ślubu z tym draniem.

Dlaczego ten autobus tak się wlecze?

Wizyta u matki Pawła nie trwała długo. Widać było, że rozmowa o synu jest dla starszej pani bardzo bolesna. Monika opowiedziała o Beatce, jej związku z Pawłem, zbliżającym się ślubie i swoich podejrzeniach.

- To straszne tak mówić o własnym dziecku, ale on nie potrafi kochać - usłyszała w odpowiedzi. - I nigdy nic nie robi bezinteresownie. Wie pani, on od małego coś stale kombinował, później robił w okolicy podejrzane interesy na coraz większą skalę. A kiedy grunt mu się zaczął palić pod nogami, uciekł do Warszawy. Razem z nim zniknęły pieniądze, które przez lata odkładałam na budowę domu. Duża suma. Od tamtej pory się nie odezwał.

Starsza pani zamyśliła się i zapadła niezręczna cisza.

- Nie, nie zgłosiłam tego na policję, nie potrafiłam - odpowiedziała po chwili na pytające spojrzenie Moniki. - Ale czułam się tak, jakby mi ktoś wyrwał serce. Przecież gdyby poprosił, tobym mu dała... Okradł własną matkę...

Kobieta westchnęła głęboko i powiedziała zmęczonym głosem: - Proszę już iść, muszę się położyć.

Kiedy się żegnały, ucisnęła dłoń Moniki i powiedziała, patrząc na nią z troską w oczach: - I niech pani na niego uważa. On nie lubi, jak mu ktoś wchodzi w drogę.

Monika ostatnim autobusem dojechała do Jastrzębiej Góry i zapukała do pierwszego z brzegu pensjonatu. Potem długo nie mogła zasnąć. Była wstrząśnięta, że jej przecucia jednak się potwierdziły. Jeżeli Paweł nigdy nic nie robi bezinteresownie, to ciekawe, jaki interes chce zrobić na Beatce...

Gnojek śmierdzący. Biedna Becia, jak się wszystkiego dowie...

Tylko że jej komórka przez cały wieczór nie odpowiadała...

* * *

Pomimo tego, że bardzo się starała, nie udało jej się zdążyć na autobus do Gdańska o siódmej czterdzieści - odjechał bezczelnie dwie minuty przed czasem. Następny nie przyjechał w ogóle, a dalej w rozkładzie świeciła godzinna dziura. Ten, do którego wreszcie wsiadła, poruszał się w takim tempie, jakby miał zaraz wydać ostatnie tchnienie. Wyjęła komórkę i po raz kolejny wybrała numer Beatki. Odbierz, kobieto, no odbierz! Dlaczego nawet automatyczna sekretarka się nie włącza? Monika zacisnęła palce na aparacie. Niech szlag trafi telefonię komórkową!

Chwilę potem zadzwonił Zbyszek.

- Kochana! Właśnie wróciłem z Berlina. Strasznie się za tobą stęskniłem! Zobaczmy się?

- Ja też się stęskniłam, ale... Teraz nie bardzo mogę... Dopiero na ślubie. Przepraszam, ale komórka mi zaraz sięądzie. Pa - wyłączyła telefon, coraz bardziej zdenerwowana. No tak, jeszcze jemu będzie musiała powiedzieć. Ale nie teraz. Później. Najważniejsze, żeby wytłumaczyć wszystko Beatce...

Autobus dotarł do miasta resztką sił. Monika rzuciła się sprintem w kierunku dworca, ale kiedy wpadła na peron, zobaczyła już tylko tylne światła pociągu. Kopnęła z wściekłości ławkę i pobiegła sprawdzić rozkład jazdy.

Cholera, cholera, cholera!

Następny pociąg w kierunku Warszawy odjeżdżał za godzinę i na miejscu miał być dopiero o piątej! Monika oparła się o ścianę, kompletnie zrezygnowana.

„A niech to diabli” - pokręciła głową z niedowierzaniem. „Ciekawe, co teraz?”

Sięgnęła do kieszeni po telefon i znowu zadzwoniła do przyjaciółki. „Abonent czasowo nieosiągalny” - usłyszała tym razem. O rany, gdzie ona łązi?!

Powoli ruszyła w stronę okienka informacji kolejowej, choć nadzieja, że uda się znaleźć jakieś połączenie, którym zdąży na szesnastą, była niewielka. Hol dworca wypełniał się pasażerami pociągu, który przed chwilą przyjechał z Warszawy. Dwóch młodych biznesmenów, przechodząc obok Moniki, wymieniało właśnie wrażenia z podróży:

- Nie było źle, ale wracam samolotem - odezwał się ten wyższy.

- Ja tam się boję latać - stwierdził jego towarzysz, niski trzydziestolatek z nadwagą.

- Co ty, stary, szkoda czasu na pociągi...

Dwie minuty później Monika wpadła na postój taksówek.

- Na lotnisko proszę - rzuciła kierowcy, wskakując do auta. - Tylko niech się pan pospieszy!

* * *

- Poczęstuje się pani? - ładna, szczupła stewardesa w granatowym kostiumie podsunęła Monice tackę owocowych cukierków.

- Nie, dziękuję - Monika zaciskała kurczowo dłonie na oparciach fotela. Zdecydowanie nie lubiła samolotów. Gdyby Becia wiedziała, jak się dla niej poświęca...

- Niech pani weźmie - zachęciła stewardesa. - Zmiana ciśnienia powoduje ucisk w uszach. Kiedy się coś ssie, to pomaga.

Więc Monika sięgnęła po cukierek i włożyła go do ust. Był strasznie kwaśny, chyba cytrynowy... W każdym razie najważniejsze, że zdąży. Według rozkładu mieli lądować w Warszawie trzecia trzydzieści. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze...

Ale niestety nie poszło... Bo co z tego, że nad miastem znaleźli się dwadzieścia po trzeciej, skoro przez następne pół godziny krążyli nad lotniskiem, nie mogąc wylądować. Podobno jakiś samolot miał awarię podczas startu i trzeba go było usunąć z pasa. W każdym razie na postoju taksówek Monika znalazła się dokładnie o czwartej.

„Ile mnie to wszystko nerwów kosztuje” - myślała wściekła, rzucając torbę na siedzenie obok. „I pieniędzy, cholera, i pieniędzy. W dwa dni poszło pół szkolnej pensji. Gdyby nie ten aerobik, krucho by było...”

W sobotę ruch na ulicach nie był przesadny i jechało się całkiem przyzwoicie. Spojrzała na zegar na tablicy rozdzielczej. Szesnasta dziesięć. Uspokojona, oparła się o siedzenie i chyba po raz setny tego dnia wybrała numer Beatki.

To, że telefon został nareszcie odebrany, wprawiło ją w osłupienie.

Nie czekając, aż przyjaciółka się odezwie, zaczęła relacjonować podniesionym głosem:

- Bacia, jestem w drodze, musimy koniecznie porozmawiać...

- A o czym to? - usłyszała w odpowiedzi ostry głos Pawła. Zdrętwiała. Zanim zdołała się zebrać w sobie i wykrztusić coś z sensem, on się znowu odezwał.

- Za dwadzieścia minut ślub. Pospiesz się, bo jak się spóźnisz i spieprzysz nam uroczystość, to ci tego nie daruję, rozumiesz?

I wyłączył się.

Monika poczuła nagle strach podchodzący mdłą falą pod samo gardło.

Dziesięć minut później taksówka zatrzymała się przed Pałacem Ślubów. Kilka osób stało na zewnątrz, rozmawiali, ktoś palił papierosa, ale nigdzie nie było widać samochodu młodej pary. „Chyba jeszcze nie przyjechali” - pomyślała Monika i pobiegła sprawdzić w środku. Nacisnęła klamkę ciężkich, masywnych drzwi USC, uchyliła je lekko i zamarła. Hol był wypełniony po brzegi kolorowym, pachnącym i eleganckim tłumem.

Przełknęła ślinę. Cholera, będzie problem...

W tym momencie zauważyła Zbyszka, który stał koło szatni i rozglądał się tak, jakby kogoś szukał. Na samą myśl, że to jej wypatruje, poczuła przyspieszone bicie serca. Pomachała mu i ruszyła szybko w jego kierunku. Rozjaśnił się na jej widok.

- Nika, nareszcie jesteś! Czekam tu i czekam! - przytulił ją mocno. Pocałowała go szybko w policzek i uwolniła się z jego objęć.

- Czy oni już są? - zapytała gorączkowo. - Czy już przyjechali?

- Nie, a co się stało?

- Nic. Zupełnie nic. Tylko muszę jeszcze zamienić słówko z Beatką. Poczekasz tu na mnie?

W tym momencie tłum przy drzwiach zafalował i rozstał się niczym Morze Czerwone przed Izraelitami. Do środka uroczyście wkroczyła młoda para - Beatka w przepięknej, długiej sukni koloru écru, jaśniejąca szczęściem. Miała upięte do góry włosy, misternie poprzątkane kremowymi

drobnymi różyczkami, aw rękę śliczną wiązaną z tych samych róż. Trzymający ją za drugą rękę Paweł ubrany był w elegancki jedwabny garnitur, o dwa tony ciemniejszy od sukni Beatki. Wyglądali olśniewająco.

Monika ocknęła się z chwilowego zapatrzenia i zaczęła przedzierać się w ich stronę. W żołądku czuła supeł strachu, zaciskający się coraz mocniej z każdym metrem pokonywanej przestrzeni. Sytuacja nie była prosta. Co prawda od początku zdawała sobie sprawę, że będzie trudno przeprowadzić tę rozmowę, liczyła jednak na odrobinę intymności. Jak, do cholery, ma powiedzieć to wszystko Beatce pięć minut przed uroczystością i na oczach kilkudziesięciu osób? Najgorsze było jednak to, że pan młody nie odstępował Beci ani na krok. Obejmował swoją pannę młodą w talii i uśmiechał się dumnie. Monika wciągnęła głęboko powietrze...

* * *

Drzwiczki białej limuzyny otworzyły się szeroko. Beatka zebrała delikatnie z siedzenia śliski materiał sukni, uniosła ją w górę i wystawiła prawą stopę, ostrożnie lokując na nierównym bruku wysoką szpilkę ślubnego pantofelka. Wystrojony na tę okazję w prawdziwą, kremową liberię Jasio przytrzymał usłużnie drzwi i natychmiast podał jej rękę.

Kiedy wysiadła z auta, goście zebrani na dziedzińcu zaczęli bić brawo. Poczuli się zupełnie jak księżniczka. Ukochany, uśmiechając się szeroko, podał jej ramię i poszli w kierunku USC.

„Tyle ludzi” - myślała Beatka, uśmiechając się do znajomych i obcych twarzy. Cudownie! A więc jednak! To już dzisiaj zostanie żoną Pawełka... Najcudowniejszy dzień w jej życiu!

Zbliżyła do twarzy bukiet z maleńkich kremowych różyczek. „Prawie nie pachną” - uświadomiła sobie ze zdziwieniem. Mimo to są prześliczne! Zawsze marzyła, żeby mieć bukiet ślubny z róż. Klasycznie, żadnych nowoczesnych pomysłów. Oczywiście, na początku Pawełek nie chciał się zgodzić, jemu najbardziej podobała się koncepcja, żeby miała w ręku zamiast bukietu jedną białą orchideę! Ale jakoś w końcu udało się go uprosić. Naprawdę, z jednym kwiatem czułaby się trochę... dziwnie.

Ciekawe tylko, gdzie jest Monika? Od wczoraj nie dawała znaku życia, a przecież powinna być wcześniej, jest świadkiem... No i miała ją wspierać, bo ten dzień był nie tylko wielkim przeżyciem, ale też stresem. Ogromnym. A na Monice zawsze można było polegać. Gdzie ona się podziewa?

Ustawili się przed zamkniętymi jeszcze drzwiami na salę. Paweł, ciągle się uśmiechając, nachylił się do niej i powiedział szeptem:

- Kochanie, przepraszam, ostatni telefon. Nie gniewaj się. Potem go wyłączam na dwa tygodnie.

Beatka popatrzyła na niego zdziwiona.

- Przecież zaraz wchodzimy - odpowiedziała z niepokojem, ale Paweł już zdążył się trochę odsunąć i odwrócić plecami. Westchnęła tylko. Te interesy...

- Becia!

W jej stronę przeciskała się Monika.

- Monisia! - ucieszyła się Becia i w tym momencie jej wzrok padł na poroziągany, bury sweter, w który przyjaciółka była ubrana, i dzinsy nie pierwszej świeżości. Do tego Monika miała włosy w zupełnym nieładzie i przewieszoną przez ramię torbę podróżną.

„To chyba jakiś żart?” - przemknęło Beatce przez głowę. „Przecież ona ma być świadkiem! Tak ubrana?”

- Monisia?! Jak ty wyglądasz? Co się stało?! Gdzie twoja sukienka? Monisia!!! - Beatka była zdruzgotana.

I nagle przypomniała sobie wszystkie głupie i złośliwe uwagi Moniki o Pawle, jej dogadywanie, że powinna się zastanowić, za kogo wychodzi...

„Ona tak naprawdę nie pogodziła się z tym, że my bierzemy ślub” - pomyślała zdenerwowana Becia. „I chce mi pokazać, że tego nie akceptuje!”

- Beatka, posłuchaj, to bardzo ważne... - Monika złapała ją za rękę i mocno ścisnęła. - Nie możesz za niego wyjść! To oszust! On ma matkę!

Te słowa dotarły do Beci jak przez mgłę. Mgłę złości, rozczarowania, zawodu. „Jak ona mogła” - myślała, z trudem powstrzymując się od płaczu. „Jak mogła? I teraz znowu coś wymyśla, o jakiejś matce...”

- Co ty za bzdury opowiadasz? Jak możesz?! - Becia prawie krzyknęła. - Dlaczego chcesz wszystko zepsuć?!

Wyrwała gwałtownie rękę z uścisku przyjaciółki i odsunęła się do tyłu, wchodząc prawie na stojącego tam Pawelka. Pan młody odwrócił się gwałtownie, chowając telefon do kieszeni. Władczym gestem przyciągnął Beatkę do siebie.

- Co tu się dzieje? - zapytał stanowczo i zaraz dodał wściekłym głosem: - Dlaczego ona nie jest ubrana jak trzeba?

- Nie wiem, Pawelku! - Beatka, z trudem powstrzymując się od płaczu, ukryła twarz na ramieniu narzeczonego. - Tak mi przykro! Przepraszam cię - wyszeptwała. - W dodatku... z nią chyba jest coś nie tak. Twierdzi, że masz matkę!

- Matkę? - Paweł zawiesił na chwilę głos. - Każdy ma jakąś matkę - powiedział z naciskiem pod adresem Moniki, po czym dodał tonem nieznośnym sprzeciwu: - Idź i zrób coś

ze sobą. Inaczej nie chcę cię widzieć na ślubie.

Monika przez chwilę się jeszcze wahała, jakby miała zamiar coś dodać.

- Masz trzy minuty - warknął Paweł i Monika, ociągając się, ruszyła w stronę toalety.

Beatka, rozżalona, patrzyła za przyjaciółką. Jak ona mogła! W takiej chwili! Tak zdenerwować Pawelka!

- Kochanie... - Paweł pociągnął ją lekko w kierunku otwartych teraz na oścież drzwi. Nareszcie!

Weszła za narzeczonym na salę, zaciskając palce na ślubnym bukietcie. Kiedy zajęli swoje miejsca, kątem oka zauważyła, że Monika, co prawda przebrana, ale strasznie blada, usiadła obok Zbyszka na krzesłach dla świadków w pierwszym rzędzie.

Dlaczego ona jej to robi? Może z zazdrości?

Co ona tym razem wymyśliła na Pawła? Że ma matkę? Skąd bierze takie rewelacje? To bez sensu, cały czas kogoś podejrzewać... nie wiadomo nawet konkretnie o co! Przecież Paweł jest sierotą, mówił jej o tym wiele razy! To ich w jakimś sensie jeszcze bardziej do siebie zbliżyło...

Dlaczego Monika powiedziała o tej matce?

Ale nie może o tym myśleć. Nie teraz. Gruby urzędnik z ciężkim złotym łańcuchem na szyi kazał im powstać.

- Czy ty, Beata Jakubowska, bierzesz sobie Pawła Jabłońskiego za męża i ślubujesz mu miłość, wierność i uczciwość małżeńską, oraz że go nie opuścisz aż do śmierci?

Beatka wzięła głęboki oddech i odpowiedziała drżącym ze szczęścia głosem:

- Tak!

CZEŚĆ II

ROZDZIAŁ I

czyli pikantne zwierzenia drania

Lecieli już dobre pół godziny, kiedy wreszcie kapitan pozwolił na odpięcie pasów. Paweł odchylił siedzenie i spróbował rozprostować wreszcie nogi. Bezskutecznie.

Cholerna klasa turystyczna! Gdyby nie musiał w ostatniej chwili zmieniać terminu wylotu... Ale najważniejsze, że się udało. Przebukował bilety na niedzielę i zdążył zabrać Beatę z Warszawy, zanim ta idiotka, Monika, naopowiadała jej więcej rewelacji na jego temat...

Ostrożnie odwrócił głowę i zerknął w lewo. Beata spała spokojnie na fotelu obok, wtulona w miękkie oparcie. Odychała równo i uśmiechała się lekko przez sen.

Wyglądała na szczęśliwą...

W przejściach między fotelami zaczął się normalny ruch. Atrakcyjna, ciemnowłosa stewardesa pochyliła się nad Pawłem, pytając, na co ma ochotę. Szczera odpowiedź nie byłaby raczej mile widziana, poprosił więc tylko o drinka. Podając mu po chwili gotowy napój, spytała z miłym uśmiechem:

- Czy przynieść coś jeszcze? Może orzeszki?

Pokręcił przecząco głową i unosząc kubeczek, mrugnął porozumiewawczo. Roześmiała się, pogroziła mu palcem i podeszła do następnego pasażera. Paweł upił duży łyk whisky, wyjrzał przez okno na ciągnące się w dole kłębowisko chmur i zamyślił się.

Za półtorej godziny wylądują w Zagrzebiu, a potem zabierze Beatę na małą wysepkę, którą dla nich wynajął. Na pewno będzie zachwycona, że tak to... romantycznie zaplanował. Uśmiechnął się chytrze pod nosem: dla niego najważniejsze, że będą tam zupełnie sami. Tylko on i ona, a wokół Adriatyk. Bez telefonu, bez możliwości kontaktu z kimkolwiek. Mógł oczywiście wybrać dowolne miejsce na świecie, ale do tego, co zamierzał, najlepsza będzie właśnie ta chorwacka wysepka.

Chorwacja... Po prostu uwielbiał ten kraj...

Pięć lat temu zrobił tam swój pierwszy duży interes. To było właśnie nad Adriatykiem, w Zadarze. Przymknął na chwilę oczy...

Skwar był wtedy jak cholera. Schronił się przed słonecznym żarem pod markizą małej kawiarenki na nabrzeżu. Miał ochotę na kawę i kieliszek rakii. Przysiadł na ratanowym krześle przy stoliku w głębi tarasu. Czul wyraźnie duży zwitek banknotów, ukrytych bezpiecznie w tylnej kieszeni, który prawie palił go w tyłek przez cienki len spodni.

Niezły zarobek. Cholernie niezły... Rozegrał to nie do końca czysto, ale na szczęście nikt się nie zorientował. Mając tę forszę plus to, co wcześniej zgromadził, mógł wreszcie wypłynąć na szerokie wody, zacząć robić prawdziwe interesy.

Uśmiechnął się pod nosem i odruchowo przecesał palcami krótką grzywkę.

Ciemnowłosa, piekielnie zgrabna kelnerka podawała właśnie obok kawę. Pochyliła się nad stolikiem, a połyskliwa zielona tkanina spódnicy opięła ciasno jej pośladki.

„Niezła laska” - pomyślał.

Nagle zastanowiło go, jakie może mieć oczy. Gdyby miała zielone... Gdyby miała zielone oczy, byłoby cholernie ciekawie...

Dziewczyna skończyła podawać i nagle odwróciła się w jego stronę. Miała piękną twarz. Regularne rysy, intensywnie czerwone namiętne usta, oliwkową cerę.

I skośne, zielone oczy.

- Cholera - zaklął cicho pod nosem - Po co mi to teraz?

Machnął na nią ręką. Podeszła, stanęła blisko i patrząc mu prosto w oczy, wysłuchiwała spokojnie zamówienia. Potem kiwnęła głową i oddaliła się, kołysząc biodrami.

Kiedy kilka minut później przyniosła kawę i alkohol, spytał po włosku o papierosy... Odpowiedziała, również po włosku, przyjemnym, gardłowym głosem, ze świetnym akcentem. Włoszka? Dorabiająca w Zadarze jako kelnerka? Dziwne.

Chrzanić to!

Plącąc, z sutym napiwkim wsunął jej w rękę kawałek kawiarnianej serwetki. Na czerwonej bibułce napisał tylko: „Dziś, 23.00, na placu”. Serwetka zaszeleściła. Dziewczyna uniosła lekko jedną brew, rzuciła mu krótkie, ironiczne spojrzenie i odwróciła się plecami.

Mimo tego był pewien, że przyjdzie.

Wieczorem pojawiła się punktualnie. Ubrana w obcisłą czerwoną sukienkę, nadeszła lekkim krokiem od strony nabrzeża. Chłodny wiatr od morza rozwiewał jej długie, ciemne włosy.

Godzinę później byli już w hotelowym łóżku.

Dziewczyna była wspaniała. Pod każdym, cholera, względem.

Kiedy rano jedli razem śniadanie na zalanym słońcem tarasie nagle spytała go, skąd pochodzi.

- Z Polski - odpowiedział, nalewając kawę.

A ona roześmiała się cicho i najczystsza polszczyznę zaczęła mu opowiadać swoją historię. Okazało się, że jej ojciec był Polakiem. Matka, Włoszka, zmarła na serce przed trzema

laty. Po jej śmierci ojciec rozpił się, zbankrutował i w końcu popełnił samobójstwo. Zostawił po sobie same długi, więc Veronique wyjechała z Wioch. Przyjechała do Chorwacji i pracowała, gdzie się dało, przeważnie jako kelnerka...

Mówiła spokojnym głosem, jakby dotyczyło to kogoś innego, nie jej. Żadnych emocji, żadnych łez... Rzeczywistość przypomina czasami idiotyczne telenowele...

Pomyślał, że mógłby ją stamtąd zabrać... Nie była to oczywiście miłość, ale...

Tydzień później musiał wracać do Polski. Pocałował Veronique na pożegnanie i obiecał, że niedługo wróci. Czekala spokojnie. Nie dzwoniła, nie pisała, nie dopytywała się, kiedy po nią przyjedzie. Świetna dziewczyna.

Przypomniał sobie o niej jakieś pół roku później. Rozkręcał właśnie nowy interes. Plan był zajębiście prosty. Najpierw trzeba było znaleźć staruszkę - samotną, bez żadnej rodziny, bez kłopotliwych spadkobierców. Za to - z wartościowym mieszkaniem w dobrej dzielnicy. Potem wystarczyło podrobić testament i pozbyć się babci w taki sposób, żeby nikt nie nabrał podejrzeń. To nie było trudne. Do tej roboty idealnie nadawał się jego kierowca, Jasio.

Poznali się dwa lata wcześniej, kiedy ten kretyn próbował go obrobić na Długim Targu w Gdańsku. Paweł dogonił go w jakimś zaułku i strzelił w zęby tak, że chłopak zalał się krwią. Skurczybyk był naprawdę hardy - nie chciał dać za wygraną. Walczył ostro, ale w końcu musiał oddać portfel. Chłopak miał dwadzieścia lat, był wysoki, mało-mówny i pozbawiony jakichkolwiek skrupułów. Mógł być cholernie przydatnym narzędziem w czyichś rękach...

Paweł bez wahania zaproponował mu pracę.

Ale do interesu z mieszkaniami potrzebna była jeszcze jakaś sprytna kobieta...

Pomyślał o Veronique. Sprowadził ją do Warszawy i urządził na początek w wynajętej kawalerce. Zaczęli wspólnie działać.

Veronique, czy raczej Weronika, świetnie się wszystkim zajęła. To ona werbowwała pielęgniarki rejonowe, które pomagały w wyszukiwaniu ofiar. Zadziwiające, jak te baby były łatwowierne. Pod pozorem zakupu antycznych mebli, Weronika poznawała coraz to nowe staruszki. Ale tylko te samotne, bez spadkobierców, trafiły do drugiego etapu.

Najpierw trzeba było zdobyć ich zaufanie. Wystarczyło trochę dyplomacji i sprytu... No cóż, Weronika potrafiła być naprawdę miła... Te wszystkie babcie po prostu ją uwielbiały, a ona powoli przejmowała kontrolę nad ich życiem.

Na początek nad zwykłymi, codziennymi sprawami: zakupami, opieką lekarską, opłatami - starsze panie przeważnie nie lubią wystawiania w urzędach.

Potem podpisywały dla niej upoważnienia do gazowni, zakładu energetycznego itd., a w końcu decydowały się przekazać w ręce Weroniki również sprawy mieszkaniowe. Zabierała je wtedy do notariusza, gdzie podpisywały stosowne upoważnienie. A przynajmniej sądziły, że to właśnie robią. W rzeczywistości notariusz podsuwał im do podpisu testament.

Kiedy już wszystko było gotowe, do akcji wkraczał Jasio. Nagła śmierć na serce samotnej staruszki po osiemdziesiątce nikogo nie powinna dziwić...

Rewelacyjny interes.

Wszystko kręciło się znakomicie, a co najważniejsze - Paweł sam bezpośrednio nie musiał maczać w niczym palców. Zawdzięczał to Weronice. Dobrze wiedział, że bez niej

nie szłoby tak dobrze. Jej skuteczność i inteligencja budziły w nim coraz większy podziw.

Była tak odmienna od kobiet, z którymi zetknął się do tej pory. O nic nie pytając, pomagała mu we wszystkim. Cicho, szybko, sprawnie. Nigdy do niczego się nie wtrącała, знаła swoje miejsce. Sprytna dziewczyna.

Kiedy po dwóch latach powstał Pawbud, została jego cichą współpracowniczką. Nie, nie pojawiała się w biurze - ona była przeznaczona do zadań specjalnych. *Mission impossible*.

I ciągle go fascynowała. Taki długi związek nigdy mu się jeszcze nie przydarzył.

Oczywiście, w którymś momencie ich relacja zaczęła się rozluźniać. Ona pewnie miała nadzieję na coś więcej, jak to kobieta. A jemu odpowiadało to, co było. Który facet dobrowolnie nałoży małżeńskie więzy? No właśnie. Bajerował ją więc, coś tam niezobowiązująco obiecywał, żeby tylko utrzymać ten stan.

Gdyby się bardziej upierała... Kto wie? Ale na to była zbyt dumna. Czasem tylko próbowała wzbudzić w nim zazdrość, spotykając się z innymi mężczyznami...

Nie przejmował się tym, bo wiedział, że w gruncie rzeczy kocha tylko jego. I nie wahał się tego wykorzystywać, dzień po dniu... Nie czuł w związku z tym żadnych wyrzutów sumienia. Dlaczego miałby czuć?

Biznes kręcił się świetnie. Tylko że zawsze może być lepiej. A właściwie - więcej. Więcej pieniędzy, więcej wpływów, więcej władzy. Cały czas rozglądał się więc, jak by powiększyć swoje małe imperium. I nagle w zeszłym roku usłyszał o czymś, co go zelektryzowało. To było właśnie to, na co czekał.

Najpierw pojechał się rozejrzeć. Błoto, kałuże, zapyziała wiejska okolica.

Wysiadł z samochodu i podszedł do ogrodzenia. Oparł się o drewniane sztachety niskiego, spróchniałego płotu, okalającego stary sad: a więc to jest ten teren...

Zwykły kawałek mazowieckiego krajobrazu, w okresie przedwiośnia obciążony szczególną brzydotą. Bure, zaniedbane pola, stary, powykręcany sad, a w tle ciemny masyw lasu. Błotnista wiejska droga, pełna brudnych kałuż, prowadząca donikąd. Gdyby nie fakt, że za kilka lat miała niedaleko przebiegać obwodnica, pies z kulawą nogą by się tym nie interesował. A tak wszystkie przyległe tereny stały się nagle piekielnie atrakcyjne.

Ten niepozorny kawałek ziemi przed jego oczami był szczególnie cenny. Za dwa lata miało tu powstać wielkie centrum handlowe, największe w okolicach Warszawy. Turcy już przygotowywali plany i niebawem mieli składać ofertę kupna.

Niewielka część interesującego terenu należała do gminy, ale pozostałe pięćdziesiąt hektarów, te, na które właśnie patrzył, to były grunty prywatne. Gdyby udało mu się pierwszemu kupić ten kawałek ziemi, za jakiś czas mógłby odsprzedać go Turkom. Z zyskiem. Cholernie dużym zyskiem. Ale jeszcze bardziej zależało mu na tym, żeby wejść w ten interes jako deweloper.

Gdyby to jego firmie zlecono projektowanie i budowę...

To dopiero byłby interes... interes jego życia. Zbiłby taką kasę, że mógłby z miejsca przejść na emeryturę i wyjechać w tropiki. Wylegiwać się dzień w dzień na jakiejś zajebistej, egzotycznej plaży, sącząc zimne drinki w towarzystwie opalonej laski o zielonych oczach...

Musiał zdobyć tę ziemię! Za wszelką cenę!

Zerknął na zegarek. Jego najlepszy prawnik, podszycując się pod mało znane biuro nieruchomości, składał

właśnie ofertę kupna rodzeństwu, które niedawno odziedziczyło ten teren. Oni, oczywiście, o niczym nie wiedzieli. Nie powinno być żadnych problemów.

Dwa tygodnie później siedział w kawiarni Na Rozdrożu i obserwował, jak ten sam prawnik, pochylony nad stolikiem, tłumaczy coś dobitnie siedzącej obok szczupłej, dość ładnej blondynce.

Kobieta prawie się nie odzywała, tylko przecząco kręciła głową. W końcu mężczyzna wstał, najwyraźniej zirytowany, zebrał papiery do teczki, pożegnał się oschle i wyszedł. Mijając Pawła, uniósł tylko brwi. Znowu nic. Która to już próba? Chyba szósta... Paweł nie mógł uwierzyć, że taki szczwany lis nie dał rady niepozornej kobiecie. Wyglądała na taką, co do pięciu nie potrafi zliczyć i nigdy nie ma własnego zdania. Zero asertywności. Zwykła... mimoza.

Więc w czym, do cholery, był problem? Dlaczego ta pieprzona idiotka nie chciała sprzedać ziemi? Jej brat zgodził się od razu, niegłupi gość. A przecież, psiakrew, to o jej kawałek chodziło! Ziemią tego brata zainteresował się tylko dla zmydlenia oczu. Co za cholerny pech!

Obserwował ją cały czas uważnie. Siedziała dalej przy stoliku. Zadzwoił jej telefon komórkowy. Odebrała. Rozmawiała przez chwilę, potem wyjęła książkę i zaczęła czytać. Chyba jeszcze na kogoś czekała.

Dziesięć minut później na salę weszła szybkim krokiem wysoka, energiczna brunetka w dresach i z plecakiem na ramieniu i opadła na krzesło obok Mimozy. Zaczęły nawijać, jak to baby.

Brunetka była zamaszysta, nieapetycznie kanciasta i automatycznie wzbudziła w nim odrazę. Z taką nie chciałby mieć nic wspólnego. Gdyby musiał wybierać, to już by wolał tę Mimozę.

Przynajmniej była podobna do kobiety.

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Rzucił na stolik pięćdziesiątkę i nie czekając na resztę, wyszedł.

Zdobycie odpowiednich informacji zajęło mu zaledwie kilka dni. Przeanalizowanie ich i zaplanowanie pierwszego ruchu - niecałą godzinę. W efekcie któregoś marcowego, sobotniego wieczoru pojawił się w gmachu filharmonii, ubrany w swój najlepszy garnitur od Ermenegildo Zegna. Ponieważ doskonale wiedział, co się będzie działo, stanął dyskretnie z boku, skąd mógł bez trudu śledzić całą akcję.

Mimoza nadeszła kilka minut później. Była ubrana w jakąś skromną, jasną kieckę i beżowy, wełniany płaszcz. Mdło i nieciekawie. Ustawiła się grzecznie w kolejce do szatni, gdzie chwilę później zrobiło się jakieś zamieszanie... Paweł wyszedł szybko na zewnątrz, a kiedy wrócił, niósł w rękę najważniejszy rekwizyt tego wieczoru.

- Czy to pani własność? - spytał, podsuwając zdenerwowanej Mimosie kremową, wyszywaną paciorkami torebkę. Spojrzała na niego zaskoczona. Miała wielkie, niewinne oczy w odcieniu przejrzystej zieleni. Ładne. Dostrzegł w nich zdumienie i podziw. Po chwili zaczęła dziękować drżącym z emocji głosem...

Bez trudu udało mu się umówić z nią na kawę w przerwie koncertu. Przecież nie mogła odmówić bohaterowi wieczoru, który cudem odzyskał jej skradzioną torebkę. W dodatku - tak atrakcyjnemu bohaterowi.

Zresztą ona też była niczego sobie. Może trochę za niska, ale za to z naprawdę niezłymi nogami.

Beata Jakubowska, urzędniczka w Ministerstwie Edukacji, lat 31, panna, brat Michał, poza tym żadnej rodziny. I, co najważniejsze, właścicielka ziemi w Czerwińsku. Biedaczka...

Nie miała, oczywiście, pojęcia, że torebkę kilka minut wcześniej gwizdnął z szatni Jasio. W kontekście dalszych planów Pawła taki romantyczny sposób poznania mógł być bardzo użyteczny. Chodziło przecież o to, żeby tę dziewczynę poderwać, owinać sobie dookoła palca, a później jak najszybciej namówić do sprzedaży ziemi. Ta sprawa nie mogła dłużej czekać.

W tym celu Paweł mógł przecierpieć nawet dwugodzinny koncert muzyki Beethovena.

Zgodnie z planem spotkanie na kawę w przerwie koncertu dało rezultaty. Zaczęli się regularnie umawiać. Kwiaty, kino, spacer przy księżycu - kosztowało go cholernie dużo wysiłku, żeby ją na dobre usidlić. Nie przywykł być aż tak miły dla kobiet. To czułe patrzenie w oczy, trzymanie za rączki i wysłuchiwanie jej ćwierkania przyprawiało go o mdłości. Pawełku to, Pawełku tamto... Ale przecież gra warta była świeczki.

Oczarował ją na tyle, że po kolejnych dwóch tygodniach, pewnej burzowej nocy, zostali wreszcie kochankami.

- Mam cię - mruknął, kiedy zasnęła. - Już mi się nie wymkniesz, ptaszku...

Teraz musiał jak najszybciej doprowadzić sprawę do końca. W niecały miesiąc od spotkania w filharmonii zabrał Beatę na narty do Zakopanego. Zamierzał w sprzyjającym momencie poruszyć temat kupna Czerwińska. Nie przewidywał większych trudności - jak zauważył, przeważnie nie miała swojego zdania. Należała do tych kobiet, które robią, co im się każe, i jeszcze są z tego zadowolone.

A jednak - nie udało się.

Napomknął o sprzedaży niby w żartach i nagle napotkał mur. Wycofał się, wolał nie ryzykować. Mogła się przecież spłoszyć.

Patrząc, jak nieudolnie radzi sobie na stoku, zastanawiał się intensywnie, co do cholery popychało tę cichą i spokojną dziewczynę do takiego uporu w sprawie ziemi? To jej przywiązanie do tego obiektywnie nieciekawego skrawka Polski było jakieś nienaturalne. No dobrze, spędziła tam część swojego dzieciństwa... I co z tego? Nie mógł zrozumieć.

On, na przykład, nie czuł żadnej tęsknoty ani za matką, ani za rodzinną wioską. Gdyby tylko miał taką możliwość, sprzedałby natychmiast rodzinną chałupę i włożył pieniądze w swój interes. Sentymenty są zupełnie niepotrzebne.

A w sprawie Beaty musiał zmodyfikować plan. Skoro nie wystarczyło poderwać, trzeba ją będzie rozkochać. I maksymalnie od siebie uzależnić. A kiedy już będzie zapatrzona w niego jak w obraz, zrobi wszystko, co on jej każe. Nawet sprzeda ten swój Czerwińsk.

Więc zaczął, krok po kroku, realizować plan wypłukiwania z niej resztek woli.

- Kochanie - zadzwonił któregoś kwietniowego, sobotniego poranka. - Przyjadę po ciebie za pół godziny. Bądź gotowa. Ubierz się w ten dres, który ci kupiłem.

- Ale Pawełku, o co chodzi? Co będziemy robić? Nie możesz mnie tak zaskakiwać! - zdenerwowała się w pierwszej chwili.

- Oczywiście, że mogę. Szykuj się. Do zobaczenia.

Kiedy nadjechał, czekała już przed wejściem do swojego bloku. Oczywiście, tak jak kazał, ubrała się w dres. Grzeczna dziewczynka.

Miał zamiar zabrać ją na rolki. Po pierwsze dlatego, że sam lubił na nich jeździć, a po drugie - bo ona ich nie znosiła. Przyznała się do tego niechęcący jakieś dwa tygodnie wcześniej i uznał, że nadszedł już czas, żeby to wykorzystać.

Zaczynała go z wolna pociągać ta gra, którą z nią prowadził. I to nie tylko dlatego, że chodziło o kupno ziemi. Człowiek to cholernie dziwne zwierzę...

Po godzinnej jeździe, zmęczona nieudolną walką z prawami grawitacji, spytała, czy mogliby chwilę odpocząć. Usiedli w ogródku pobliskiej kawiarenki. Przyglądał się, jak powoli pila przez słomkę sok pomarańczowy. Kiedy podniosła głowę i popatrzyła na niego, oczy jej błyszczały, a na białych zazwyczaj policzkach pojawiły się rumieńce. Mogła się podobać.

W nagrodę zaprosił ją wtedy na dyskotekę. Co prawda ona nie lubiła hałasu i tego typu muzyki, ale tym akurat nie miał zamiaru się przejmować.

Stale robił jej jakieś prezenty. Przeważnie dość kontrowersyjne. Odważna bielizna, kosztowna biżuteria, seksowne kiecki... A przez cały czas chodziło o jedno: usidlenie jej. Pozbawienie własnej woli. Inwazję w jej życie osobiste.

Punkt zwrotny nastąpił pewnej soboty, kiedy to w mieszkaniu Beaty pojawili się zniecałkowane tragarze z prezentem od niego. Wielkim, nowoczesnym, wściekle pomarańczowym fotelem. Zajebicie odłotowym. Zajebicie drogim. I za cholere nie pasującym do jej tradycyjnie urządzonej kawalerki.

Był naprawdę ciekaw, jak zareaguje na prezent i na taką ingerencję w prywatną przestrzeń życiową. Zadzwoił, żeby się upewnić.

Była bardzo ucieszona. Ustawiła fotel na środku pokoju.

Czy to wtedy pomyślał po raz pierwszy, że mógłby się z nią ożenić?

Potem nadszedł czerwiec. Turcy coraz bardziej naciskali. Jeździł prawie co tydzień do Berlina, żeby dopinać szczegóły transakcji, ale ciągle zamiast aktu własności w kieszeni

miał tylko na głowie ćwierkającą narzeczoną.

Co prawda, sprawy szły całkiem niezłe. Od kiedy poprosił Beatę o rękę, był pewien, że wszystko ułoży się po jego myśli. W odpowiedniej chwili, kiedy zażąda, żeby sprzedała ziemię, ona to zrobi. Na pewno.

Przed kolejnym wyjazdem do Berlina wybrał się do Czerwińska, żeby się trochę rozejrzeć. Sam, oczywiście.

Furtka była zamknięta, ale przecież niski drewniany płot nie mógł stanowić dla niego przeszkody. Przeskoczył przez niego z łatwością, tylko guzik od kurtki zaczepił o sztachetę. Szarpnął się gniewnie i ruszył przez sad w stronę domu. Obszedł budynek dookoła, zaglądając przez przybrudzone szyby do wnętrza. Pieprzona rudera... Co ona w tym widzi? Gdyby miał pod ręką spychacz, z przyjemnością zrównałby wszystko z ziemią.

Splunął z obrzydzeniem na podmurówkę i poszedł z powrotem do samochodu, zaparkowanego w krzakach za drogą. Szkoda czasu. Miał pilną sprawę do załatwienia. Wsiadł do auta i ze schowka wyjął grubo wypchaną kopertę. Włożył ją starannie do wewnętrznej kieszeni kurtki, a potem ruszył ostro. Wybierał się z kolejną wizytą do gminy.

Po powrocie z Berlina był w świetnym humorze. Udało mu się jakoś ugłaskać Turków. Zgodzili się poczekać do października na teren w Czerwińsku, miał więc czas, żeby spokojnie wszystko załatwić, tak jak to sobie zaplanował. W innym razie... Wolał nawet nie myśleć, co musiałby zrobić. Nie żeby Beata była mu jakoś bliska, ale przyzwyczaił się do niej przez te kilka miesięcy i myśl, że miałyby wyduszać od niej Czerwińsk w bardziej zdecydowany sposób, nie była przyjemna.

Nie należy przekraczać granic, jeśli to nie jest konieczne.

W czerwcu zabrał ją na żagle. Koszmarny wyjazd. Po pierwsze Beata większość czasu wisiała za burtą, rzygając jak kot - nudne i obrzydliwe. Po drugie uparła się, żeby zaprosić na weekend tę swoją przyjaciółczkę. Nie wiadomo, po jaką cholere! W efekcie całą sobotę i niedzielę, gdzie się nie ruszył, czuł na sobie badawczy wzrok Moniki.

Organicznie nie trawił tej baby. Zresztą ona też za nim nie przepadała. Siedziała na jego pokładzie, ubrana w jego nieprzemakalną kurtkę, bo swojej zapomniała, żarła jego krakersy, popijając je jego sokiem i jeszcze śmiała wbijać w niego to swoje nieprzyjazne spojrzenie.

Stracony weekend.

Żałował, że zamiast nich na ten wyjazd nie zabrał Weroniki. Z tą dziewczyną można się było dobrze bawić...

No tak, tylko że ona nie odziedziczyła ziemi wartej majątek...

Potem skończyło się lato i przygotowania do ślubu nabrały tempa. Beata wreszcie uległa jego namowom i, choć markotnie, zgodziła się zrezygnować z kościelnego i zamówić pierwszy wolny termin w Pałacu Ślubów.

Paweł zaplanował całą uroczystość z należytych rozmachem - limuzyna, przyjęcie i nocleg w ekskluzywnym hotelu, może nawet pokaz sztucznych ogni - miał zamiar przy okazji zrobić odpowiednie wrażenie na partnerach biznesowych.

Wiedział, że Beata dobrze się w to wkomponuje. Już wcześniej kilka razy robili przyjęcia dla biznesu i świetnie

dawała sobie radę. Byłaby dla niego idealną żoną - gdyby tylko nie upierała się tak głupio z tym Czerwińskim...

Ale był prawie pewien, że po ślubie zmięknie. Z myślą o tym zaplanował podróż poślubną. Daleko od domu i tej wścibskiej Moniki łatwiej będzie ją przekonać...

Wszystko układało się po jego myśli. A potem nagle wyskoczyła ta sprawa...

Czekał przed kawiarnią. Weronika się spóźniła, co wcześniej nigdy jej się nie zdarzało. Pewnie była jeszcze trochę obrażona po tym, jak się na nią wkurzył z powodu biblioteczki. Ale postąpiła cholernie nieostrożnie, dając mu na urodziny mebel kupiony od tej staruszki. Nic nie powinno go łączyć z tą sprawą, szczególnie taki wyraźny dowód rzeczowy. Powiedział jej to ostro i bez ogródek, no i zaczęły się dąsy. A na to w ich robocie nie było miejsca.

Dlatego zamiast siedzieć wygodnie w środku, stał na chodniku przed wejściem. Kupił nawet różę na zajebicie długiej lodydze.

Jakoś musiał ją ugłaskać, była mu teraz cholernie potrzebna.

Pojawiła się w końcu od strony Bagateli. Ubrana w zieloną obcisłą sukienkę, wyglądała wyjątkowo atrakcyjnie. Przeczesał niecierpliwie palcami włosy i zrobił kilka kroków w jej stronę.

- Nareszcie jesteś... kochanie...

Podniósł jej dłoń i ucałował, czego już dawno nie robił. Potem uśmiechnął się ciepło i patrząc jej czule w oczy, wręczył różę. Zadziałało bez pudła. Zmiękła od razu jak wosk.

Władczym gestem objął ją w pasie i pociągnął do wnętrza kawiarni.

Akurat w momencie kiedy usiedli, zaczęła dzwonić jego komórka. Nie odebrał. Chciał, żeby Weronika miała wrażenie, że poświęca jej całą swoją uwagę. Udawał, że słucha z zainteresowaniem, ale jakoś nie mógł się skupić na tym, co do niego mówiła. Cały czas obserwował jej palce. Obracała nimi wielkie czerwone kule koralu, których zakończenie gięło w głębokim dekolcie sukienki...

- No dobrze, kotku - przerwał jej nagle. - Za pół godziny muszę być z powrotem w biurze. Powiedz mi, co z tą starszą od biblioteczki. Jak ci idzie?

- Świetnie. Wszystko pod kontrolą.

- To znaczy? - przechylił zachęcająco głowę.

- To znaczy świetnie - uśmiechnęła się. - Podpisała mi już upoważnienie na załatwianie spraw w gazowni, Stoenie i telefonach. Bardzo mnie lubi.

- OK. Kiedy zajmiesz się testamentem? - wypalił bez ogródek, przyglądając się jej uważnie.

- Jak tylko będzie gotowa. Notariusz już czeka, nie martw się.

Nagle zrobiło mu się wesoło. Wszystko szło zgodnie z planem. Roześmiał się głośno, odchylając do tyłu na krześle. Znowu miał pełną kontrolę.

- Brawo, *bella mia*... Taką cię właśnie lubię - przy sunął się do niej, zajrzał głęboko w zielone oczy i stuknął kieliszkiem w jej kieliszek.

Miał ochotę ją w tym momencie pocałować. Szkoda, że nie będą już razem pracować. Będzie musiał z tym skończyć, kiedy interes z ziemią wypali. Lepiej nie ryzykować bez potrzeby.

Kiedy się pożegnali, sprawdził komórkę. Jedno nieodebrane połączenie. Beata. „Może i lepiej - pomyślał - że nie rozmawiałem z nią przy Weronice”. Ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać, bo w biurze czekali na niego ważni klienci.

Dopiero koło siódmej wieczorem, kiedy zmęczony wszedł do swojego apartamentu, pomyślał, że warto by się odezwać do narzeczonej. Rzucił klucze na kamienny blat stolika w hallu i złapał za telefon.

- Cześć, kochanie, co słychać? Dzwoniłaś? - zaczął wesoło.

Beata odpowiedziała twierdząco, ale od razu wyczuł, że coś jest nie tak. Zaczęła się dopytywać, co robił przez cały dzień. A co ją to, cholera, obchodzi? W końcu wygadała się, że wyszła z pracy wcześniej i widziała go na mieście. Jej oskarżycielski ton mógł oznaczać tylko jedno - że zobaczyła go przed kawiarnią z Weroniką!

Tak go tym zaskoczyła, że skłamał nieudolnie, jak ostatni kretyń. Niech to szlag! Rozłączyła się i chociaż zadzwonił po chwili znowu, nie odbierała. Mało tego, wyłączyła telefon. Stacjonarny też.

Poczuł, że grunt zaczyna mu się palić pod nogami. Co mu do łba strzeliło, żeby umówić się z Weroniką akurat tam, w pobliżu ministerstwa?! Idiotyczna nieostrożność, która mogła go teraz drogo kosztować. Cholera, a wszystko szło tak dobrze...

A jeżeli z nim zerwie?

Gdyby nie to, że miał tego dnia jeszcze jedno bardzo ważne spotkanie, którego nie mógł odwołać, od razu by do niej pojechał. Skrócił je maksymalnie, ale kiedy dotarł wreszcie na Saską Kępę, Beaty nie było już w domu. Na pewno pobiegła do tej swojej Moniki, wypłakiwać się w mankiet. „Spokojnie” - powiedział sobie. „Przejdzie jej. Typowa babska histeria.”

Jednak następnego dnia nadal nie odbierała telefonu. Koło południa zaczął się naprawdę denerwować. Cholera, może powinien zmienić taktykę?

Sprawdził w spisie telefonów. Jest. Bez wahania nacisnął „Połącz”.

Wiedział, że ta dziewczyna nie będzie łatwym przeciwnikiem. Ale musiał spróbować. Nie miał innego wyjścia, bo Beata nadal nie odbierała komórki.

Monika zgodziła się na spotkanie, choć w jej głosie wyczuwał jeszcze większą niechęć niż zwykle. „Nieźle się musiała od Beaty nasłuchać na mój temat” - pomyślał, ale postanowił się tym nie przejmować. Naprawdę była mu potrzebna.

Po drodze, w tej samej co zawsze kwaciarni, kupił czerwoną długą różę.

- Też bym chciała mieć takiego narzeczonego... Co dziennie kwiaty... - sprzedawczyni zatrzepotała rękami.

Uśmiechnął się zdawkowo i wyszedł. Miła dziewczyna, ale zupełnie nie w jego typie.

Od początku wiedział, że nie da rady przeciągnąć tej Moniki na swoją stronę. Miał po prostu zamiar przedstawić swoją wersję wydarzeń. Wiedział, że ona na pewno powtórzy wszystko Beacie. I o to chodziło.

Dlatego wcale się nie przejął jej jawną niechęcią. Spodziewał się tego. Róża nie zrobiła na niej żadnego wrażenia - położyła ją na stoliku i odsunęła jak najdalej od siebie z wyraźnym obrzydzeniem. Siedziała naprzeciwko niego sztywna i najeżona, słuchając niechętnie bajeczki, którą przygotował na tę okoliczność. A on dwoił się i troił, udawał zrozpaczonego, aż w końcu łaskawie zgodziła się namówić Beatę na włączenie komórki.

To już coś.

Kiedy wrócił do biura, zabronił sekretarce łączyć do niego rozmowy. Zamknął się w swoim gabinecie i zasiadł w fotelu ze szklaneczką starej whisky i cygarem w ręku. Musiał się odprężyć. Dopiero po dłuższej chwili sięgnął po telefon i wykręcił numer Beaty.

- Ptaszku, to ja. Możemy porozmawiać?

Owszem, na początku była trochę obrażona, ale szybko doprowadził do tego, że sama zaczęła się przed nim tłumaczyć. Kilka gładkich zdań, banalnych przeprosin i znowu, jak dawniej, jadła mu z ręki. Grzeczna dziewczynka. Tylko jak ją, cholera, przekonać do sprzedaży ziemi?

Dlatego kiedy mu powiedziała, że jedzie na parę dni do Czerwińska, postanowił to wykorzystać. Natychmiast zaproponował, że ją tam podwiezie, a zachwyty w jej głosie upewnił go, że posunięcie było słuszne.

Pożegnał się i natychmiast wezwał do siebie Jasia, żeby mu przekazać dokładne instrukcje...

A potem pojechał po Beatę.

Na widok ogromnego bukietu róż, kupionych po drodze, prawie się popłakała. „No proszę - pomyślał, uśmiechając się do niej czule - oplącało się wydać te parę złotych...” W jej oczach znowu pojawił się wyraz bezgranicznego uwielbienia...

Po przyjeździe na miejsce bez zbędnych skrępowań zostawił ją samą, chociaż dobrze wiedział, co będzie się działo.

- Muszę wracać, rozumiesz, ważne biznesowe spotkanie - powiedział, ale zamiast do Warszawy, pojechał tylko kilka kilometrów dalej, do niewielkiej, stylowej restauracji, którą mijali po drodze.

Był głodny. Zamówił obiad i śledząc wzrokiem młodą, zgrabną kelnerkę kręcącą się po sali, czekał spokojnie na dalszy rozwój wydarzeń.

Właśnie kończył szarlotkę na ciepło, kiedy zadzwonił telefon. Wziął go do ręki i spojrzał na wyświetlacz: Beatka. Uśmiechnął się, odłożył aparat i wrócił do deseru. Na koniec zamówił jeszcze kieliszek dobrego koniaku. Wypił go, nie spiesząc się, potem zapłacił rachunek i wyszedł.

Po dziesięciu minutach znalazł się z powrotem w Czerwińsku. Wysiadł z samochodu i wszedł na ganek. Drzwi były zamknięte, więc najpierw zapukał, a po chwili zaczął uderzać w nie z całej siły pięścią.

Otworzyła dopiero, kiedy usłyszała jego głos, cała zapłakana i roztrzęsiona, tak jak przewidywał. I tak jak przewidywał, powitała go jak bohatera. „Chyba skutecznie zniechęciła się do tego miejsca” - pomyślał, próbując ją jakoś uspokoić.

Kiedy wreszcie przestała histeryzować, pod pretekstem sprawdzenia, czy nikogo nie ma na zewnątrz, wyszedł na dwór. W krzakach za domem czekał zadowolony Jasio.

- Ale miała pietra! Nieźle wyszło, co, szefie? - uśmiechnął się z dumą. Paweł klepnął go przyjaźnie w plecy.

- No nieźle, nieźle. Jesteś pewien, że nikt cię nie widział?

- Głupi nie jestem. Na wzgórzu czekałem. Tamtędy nikt nie chodzi. I widać dom.

- Dobrze, możesz wracać do Warszawy, nie będziesz mi już dzisiaj potrzebny. A tu masz premię - wyciągnął z kieszeni kilka banknotów i wsunął Jasiowi do ręki.

- Dzięki, szefie - rozjaśnił się chłopak. - To do jutra.

Odwrócił się i zniknął w krzakach. Paweł powoli ruszył w stronę domu. „Ciekawe - pomyślał złośliwie - czy po takich doświadczeniach Beata będzie miała dość odwagi, żeby tu samotnie spędzić noc?”

Kolejna wizyta w Berlinie była cholernie męcząca, w dodatku musiał wracać do Warszawy we wtorek bladym świtem - miał przed południem umówionych kilku ważnych klientów. Kiedy tylko samolot usiadł na Okęciu, złapał swoją

ulubioną czarną kabinówkę od Gucciego, uśmiechnął się na pożegnanie do ciemnowłosej stewardesy i szybko wyszedł.

W hali przylotów czekała Weronika z jakimiś pilnymi papierami do podpisania. Nawet o tak wczesnej porze wyglądała znakomicie. Prosto z lotniska pojechali na Kabaty.

- Zostanę w aucie - oświadczyła Weronika i miała rację. Cholerne błoto... Uważnie stawiając stopy, przeciął szybkim krokiem plac budowy. Przed wejściem do baraku przystanął na chwilę, odwrócił się i rozejrzał uważnie. Wszystko wyglądało jak należy.

Miał nosa, żeby zatrudnić do tej roboty Zbyszka, który pilnował wszystkiego, nie zadawał zbędnych pytań i szybko wykonywał polecenia. Porządny facet i niezły architekt.

Poznali się jeszcze w czasie studiów, na jakiejś balandze, i od razu przypadli sobie do gustu. Świetnie się rozumieli, choć byli zupełnie różni. No cóż, podstawową cechą Zbyszka była uczciwość...

Paweł przebrnął właśnie przez pierwszy rok prawa - wydawało mu się wtedy, że przyda mu się to w interesach. Szybko jednak zrozumiał, że tak naprawdę studiowanie to strata czasu, na którą go nie stać.

Kiedy odszedł z uczelni, stracili się z oczu. Dopiero przed trzema laty spotkali się przypadkiem na Nowym Świecie i oczywiście poszli od razu na wódkę. Zbyszek miał wtedy jakieś problemy osobiste, a on sam zabierał się właśnie poważnie za developerkę. Nie namyślając się, zaproponował przyjacielowi pracę u siebie. Oczywiście nie miał zamiaru wtajemniczać go w żadne detale. Po prostu był mu potrzebny zaufany człowiek, który dopilnuje budowy.

Kiedy Paweł wszedł do baraku, przyjaciel siedział zgarbiony przy biurku i coś obliczał. Podeszedł do niego i klepnął go serdecznie w ramię.

- Cześć, stary!

- Witaj, witaj... - Zbyszek odłożył kalkulator. - Świetnie, że jesteś, mam dla ciebie mnóstwo papierów do podpisania. A jak poszło w Berlinie? Poczekają jeszcze na ten teren?

- Będą musieli - Paweł wzruszył w odpowiedzi ramionami i przysiadł na brzegu biurka. - Nie martw się, stary. Pertraktacje z właścicielem są na dobrej drodze.

- Daj spokój, żeby tyle czasu wszystkich przetrzymywać! Uparty osioł!

- O, tak. Ale ja wiem, jak go przekonać. No, dobra, dawaj te papiery - mrugnął porozumiewawczo.

Jeszcze tego samego dnia wybrali się z Beatą zamawiać zaproszenia. Przyjęła ich asystentka szefa firmy. Na jej widok pożałował, że nie jest sam. Miała najwyżej dwadzieścia lat i nogi do szyi. Kiedy usiadła naprzeciwko nich ubrana w mini, które kończyło się tam, gdzie inne spódnice zaczynają, nie mógł oderwać od niej wzroku. „Apetyczna” - pomyślał. „Do natychmiastowej konsumpcji”.

Uśmiechała się do niego zachęcająco, całkowicie ignorując Beatę, i chyba nie chodziło tylko o wzory zaproszeń. Żeby to sprawdzić, poszedł za nią w głąb sali złożyć ofertę. Nie tylko oficjalną. Bez wahania przyjęła od niego wizytówkę z prywatnym numerem telefonu. „Kiedy człowiek wie, czego chce - pomyślał - nawet obecność narzeczonej nie jest przeszkodą”.

Beata była, zdaje się, rozczarowana zaproszeniami, które wybrał, więc żeby ją udobruchać, zaproponował kolację w Tradycji. Nie znosił tego miejsca, kojarzyło mu się z przeszłością,

od której się odciął, ale ona je uwielbiała. Romantyczka, cholera.

Kiedy wsiadali do samochodu, zadzwoniła Weronika. Nie odebrał. Przecież nie będzie rozmawiał przy Beacie o tym, czy już się udało podrobić testament.

A potem mało brakowało i znowu byłaby wpadka...

Dojechali do centrum i kiedy Beata miała wysiadać, zaczął padać deszcz. Paweł nie miał czasu podwozić jej pod samo ministerstwo. Zaproponował więc, żeby sobie wzięła jego parasol z bagażnika. No i znalazła tam parasolkę Weroniki. Cholernie kobiecy gadzet. Na szczęście kłamstwo, że to klientki, przelknęła bez problemu.

Naiwna strasznie. Rewelacyjny materiał na żonę.

Niestety, następne dni pokazały, że nie powinien czuć się tak pewnie. O ile bowiem Beatą mógł sterować, jak chciał, to na jej cholerną przyjaciółkę nie miał żadnego wpływu.

A ona najwyraźniej zaczęła na serio wokół niego węszyć.

W czwartek, kiedy na całe popołudnie wyjechali z Beatą z Warszawy, była u niego w biurze. Kiedy się o tym dowiedział od swojej asystentki, poczuł się dziwnie... Co prawda wykorzystał pierwszą nadarżającą się okazję, żeby ją porządnie postraszyć, i był pewien, że się od niego odczepi, ale nie. Odczekała trochę i zaczęła węszyć dalej.

Śledziła przez kilka dni Weronikę. Na szczęście nieudolnie.

A potem poderwała Zbyszka.

To, prawdę mówiąc, zdenerwowało go najbardziej. Po pierwsze zrobiła to bezczelnie na jego oczach, w jego własnym domu, na przyjęciu, które sam zorganizował, a po drugie - wyjątkowo skutecznie. Zbyszka najwyraźniej wzięło.

Nic dziwnego, od kilku miesięcy, odkąd wyprowadził się z domu po rozwodzie, był przecież zupełnie sam...

To mogło być niebezpieczne. Co prawda do tej pory zawsze mógł liczyć na lojalność przyjaciela, ale kto wie, ile może od niego wyciągnąć ta wścibska zdzira.

I rzeczywiście! Kilka dni później przyłapał ich na przeglądaniu papierów w biurze na budowie! Najwyraźniej nie zasypiała gruszek w popiele.

Nie miał innego wyjścia, musiał ich jakoś rozdzielić. Całe szczęście, że przyszedł mu do głowy pomysł, żeby wysłać Zbyszka w delegację do Berlina. Zdecydowanie nie mógł sobie teraz pozwolić, żeby ta idiotka się zorientowała, o co tak naprawdę chodzi. Musiał zrealizować swój plan. Bez względu na wszystko.

Wykorzystując kolejny pobyt Beaty w Czerwińsku, postanowił ją definitywnie zniechęcić do tego miejsca.

Najpierw jakiś gnojek, opłacony przez Jasia, powybiłszyby. Zrobiło się nieprzyjemnie, zwłaszcza że do tego podrzucił jakieś obelżywe anonimy. A potem Jasio wpadł na jeszcze lepszy pomysł. Podpalenie!

Że też on sam nie pomyślał o tym wcześniej... Przecież to powinno wreszcie załatwić sprawę! Beata nie będzie miała dokąd wracać, zniechęci się i sprzeda wreszcie ten teren...

Nie docenił jednak jej uporu. Owszem, była bardzo przybita, ale nadal nie chciała słyszeć o sprzedaży. W dodatku zaopiekował się nią jakiś cholerny dupek, miejscowy weterynarz. Wyraźnie wpadła mu w oko. Pieprzony wsioch!

Całe szczęście, że szybko ją od niego zabrał. Jeszcze by ją tamten zaczął pocieszać i namawiać do odbudowy tej spalonej rudery...

Im bliżej ślubu, tym Paweł był bardziej zdenerwowany. Beata również. Zwłaszcza że nie mogła się w żaden sposób skontaktować ze swoją przyjaciółką - na wszelki wypadek tak schował narzeczonej komórkę, że przez dwa dni nie mogła jej znaleźć. Ale wolał razem z nią przetrząsać całe mieszkanie w poszukiwaniu telefonu, niż pozwolić, by Monika coś mu w ostatniej chwili nabruździła.

Wreszcie nadszedł wielki dzień. Każdy szczegół był dopięty na ostatni guzik. Wydawało mu się, że przewidział wszystko. Ale...

Kiedy weszli do Pałacu Ślubów i na tle eleganckiego tłumu zobaczył tę idiotkę, Monikę, potarganą, w brudnych dżinsach, porozciągany swetrze i z wojowniczym wyrazem twarzy, zrozumiał, że coś mu się wymknęło spod kontroli. Nie wiedział tylko jeszcze co.

Przeciskając się między gośćmi z narzeczoną u boku, uśmiechając się i kłaniając na prawo i lewo, cały czas czuł na sobie jej wrogie spojrzenie. Gorączkowo się zastanawiał: co ta krowa jeszcze kombinuje, do cholery?

Odpowiedź nadeszła bardzo szybko. Kiedy tylko ustawili się pod drzwiami do sali ślubów, ta zdzira, wykorzystując chwilę jego nieuwagi, wykrzyczała Beacie, że odnalazła jego matkę! Gdyby tylko mógł, udusiłby ją gołymi rękami! Dziwka! Z trudem udało mu się zachować zimną krew. Na użytek zebranych zbagatelizował całą historię i obrócił w żart. A potem podał ramię narzeczonej i wprowadził ją do sali.

- Tak - powiedziała Beata kwadrans później, patrząc mu głęboko w oczy.

* * *

Komunikat kapitana wyrwał go nagle z zamyślenia. Schodzili do lądowania w Zagrzebiu. Pogoda była świetna. W sam raz na podróż poślubną...

ROZDZIAŁ 2

w którym wilk zrzuca owczą skórę

Obudził się pierwszy. Środa. Trzeci dzień pobytu na wyspie.

Przetarł oczy, podłożył jedną rękę pod głowę i zapatrzył się w sufit. Musiał sobie wszystko przemyśleć. Najdalej za dwa tygodnie powinien już mieć Czerwińsk w rękę. Turcy nie będą chcieli dłużej czekać. Ostatnio odgrążali się, że jak się nie pośpieszy, zmienią lokalizację inwestycji. A na to nie mógł przecież, do cholery, pozwolić!

Dlatego przez dwa ostatnie dni przygotowywał starannie grunt pod decydującą rozmowę. Chodził smutny i zamyślny... Miał zamiar wykorzystać czułe serce Beaty.

Nagle naszło go okropne przecucie, że ona się uprze i nie będzie chciała sprzedać tej ziemi. Mimo wszystko. Co wtedy? Cholera, to byłby koniec zabawy. Koniec żartów.

* * *

Zaraz po śniadaniu zabrał Beatę na spacer, potem pływali dwie godziny w Adriatyku. Całe przedpołudnie spędził ze zboląłą miną człowieka, który bezskutecznie stara się zapomnieć o dręczącym go kłopotcie. Jednocześnie uparcie zbywał czułe pytania Beaty o przyczyny złego nastroju. Chciał ją tym maksymalnie zaintrygować.

W końcu nadszedł właściwy moment. Siedzieli po obiedzie w cieniu parasola nad basenem i popijali miejscowe mocne wino. Rozmawiali leniwie o niczym i od czasu do czasu całowali się nad stołem.

W pewnej chwili podniósł kieliszek pod światło, przyjrzał mu się uważnie i nagle spytał:

- Naprawdę chcesz wiedzieć, dlaczego nie mam od paru dni humoru?

- Oczywiście. Powiedz mi, proszę, Pawełku... Może będą ci mogła jakoś pomóc?

- Może... Co prawda wołałbym cię nie martwić podczas miesiąca miodowego, ale... No cóż... mam pewne problemy finansowe.

- Pawełku... tak mi przykro... - Beata była najwyraźniej zaskoczona. - Ale poradzisz sobie z tym, prawda?

- Zawsze sobie radzę. Nie martw się już tym, ptaszku - pogłaskał ją czule po rękę, uśmiechnął się najcieplej, jak mógł, i znowu przybrał smutny wyraz twarzy. Przez chwilę w milczeniu sączyli wino, obserwując dwie kolorowe ważki, fruujące nad basenem.

W końcu Beata nie wytrzymała.

- Pawełku, ale... ja naprawdę martwię się o ciebie.

Musiał mocno przygryźć wargi, żeby nie uśmiechnąć się z satysfakcją.

- Kochanie, nie myśl o tym. To ciebie nie dotyczy.

- Jak to nie? Przecież jesteśmy małżeństwem. Powiedz, czy te problemy są poważne?

- Nie bardzo... - odparł bez przekonania i przybrał tragiczną minę.

- Nie oszukasz mnie! Mów natychmiast, co się dzieje - Beata, przejęta, zerwała się ze swojego fotela. Podbiegła do niego, usiadła mu na kolanach i objęła za szyję, czule zaglądając w oczy.

„Jest dobrze” - pomyślał zadowolony, a głośno powiedział zbolalym tonem:

- Przeinwestowałem i teraz mam kłopoty z płynnością. Spore kłopoty. Oszczędzę ci przykrych szczegółów, ale może dojść do tego, że będę musiał sprzedać Pawbud...

- Co?! Jak to? Pawełku, nie możesz tego zrobić! Musisz ratować firmę! - Beata, zdenerwowana, wysunęła się z jego objęć.

Wyglądała wyjątkowo atrakcyjnie, kiedy tak stała w pełnym słońcu. Przez cienki materiał sukienki przeświecały jej zgrabne nogi i Paweł odruchowo pomyślał, że wołałby w tej chwili robić coś zupełnie innego.

Westchnął ciężko i dramatycznie wyznał:

- Wiesz, kochanie, próbowałem już wszystkiego...

- A kredyt w jakimś banku?! Przecież teraz wszystkim dają!

- Mam duże długi w ZUS-ie. Nie uzyskam zdolności kredytowej.

- Pawełku, ja nie rozumiem, jak mogło do tego dojść - Beata, zdumiona, przysiadła na ogrodowym fotelu.

- Księgowa nie poinformowała mnie w porę. Nieważne, kochanie, nie przejmuj się - powiedział smutnym tonem. Reakcja była natychmiastowa.

- Gdybym tylko mogła ci jakoś pomóc...

- Daj spokój, ptaszku...

- Gdyby był jakiś sposób!

Uznał, że nadszedł już właściwy moment.

- Jeśli naprawdę chciałabyś mi pomóc, chyba jest jedna możliwość...

Beata patrzyła na niego w napięciu.

- Powiedz, Pawełku!

- Nie, Beciu. Nie ma mowy. Zresztą... to ci się nie spodoba.

- Zrobię, co zechcesz, kochany!

„Mam cię” - pomyślał z satysfakcją.

- Mogłabyś sprzedać tę ziemię na wsi... - powie
dział cicho.

Na chwilę zapadła kompletna cisza, którą przerywało tylko dalekie beczenie owiec. Beatka spuściła głowę, nie mógł więc dostrzec jej wyrazu twarzy. Kiedy po chwili spojrziała znowu na niego, w jej oczach zobaczył smutek. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, Paweł poczuł, jak w kieszeni jego szortów wibruje telefon komórkowy.

Oby to było coś ważnego! Cholera... kto to może być?!

- Przepraszam cię na chwilę - wstał i ruszył w stronę domu. Czuł na plecach zdumione spojrzenie Beaty. Jak tylko zniknął jej z oczu, natychmiast wyszarpnął z kieszeni aparat. Dzwonił jego znajomy, stary Chorwat z miasteczka na łądzie. Powiedział tylko kilka słów po włosku, ale Pawłowi włosy zjeżyły się na głowie.

Psiakrew! A był już tak blisko! Tak mało brakowało! Tyle miesięcy, tyle wysiłku na nic!!!

I nagle stało się jasne, co powinien teraz zrobić.

ROZDZIAŁ 3

najbardziej dramatyczny

Powietrze nad basenem drżało z gorąca. Kilka pode-schniętych palm rzucało zaledwie namiastkę cienia, a nagrzane kamienne kafle, którymi wyłożone było patio, paliły w stopy. Nawet woda, ciepła jak zupa, nie dawała żadnej ochłody.

Beatka poprawiła się na leżaku. Podciągnęła wyżej nogi, oplotła je ramionami i oparła brodę na kolanach. Jej skóra, rozpalona słońcem, pachniała intensywnie kokosowym olejkiem do opalania.

Mrużąc oczy, wpatrywała się w otwarte szeroko tarasowe drzwi willi, w których kilka minut wcześniej zniknął Paweł. Było jej przykro, że zostawił ją tak nagle... Gdy tylko w jego kieszeni odezwała się cichym buczeniem komórka, poderwał się i pobiegł w stronę domu. A przecież obiecywał, że podczas tego wyjazdu nie będzie załatwiał żadnych interesów. Właściwie obiecywał nawet, że na cały czas podróży poślubnej wyłączy telefon...

Becia potarła palcami skronie. Czuła zbliżający się ból głowy, jednak nie z powodu upału. To, o co przed chwilą poprosił ją Paweł... Nie myślała, że kiedyś znajdzie się w takiej sytuacji... Była tak oszołomiona nagłą prośbą męża, że zupełnie nie mogła skupić myśli.

Westchnęła ciężko. Nagle jej wzrok przyciągnęła wielka, zielonozłota ważka, unosząca się nad basenem niczym miniaturowy helikopter. Poruszała skrzydłami tak szybko, że prawie nie było ich widać. Dopiero kiedy przysiadła na powierzchni wody, można było zobaczyć, jakie są długie i opalizujące.

„Śliczna” - pomyślała Beatka, opuszczając kolana i pochylając się ostrożnie w jej stronę.

- Jaka szkoda, że nie można z tobą pogadać - szepnęła, pocierając znów palcami skronie i próbując uspokoić rozbiegane myśli. - Jaka szkoda, że na tej wyspie nie można pogadać z nikim...

Żeby się choć trochę odprężyć, zamknęła na chwilę oczy i spróbowała przypomnieć sobie ślub. Czekala na niego przecież tak długo, właściwie - całe swoje dorosłe życie. Powinien to być najszcześniejszy, najwspanialszy na świecie moment, powinna wracać do niego myślami z radością i rozrzewnieniem...

A tymczasem pamiętała wszystko jak przez mgłę, z wyjątkiem jednej chwili, kiedy to Monika w Pałacu Ślubów stanęła i wykrzyczała, że Paweł ma matkę.

Z początku ta informacja wydała jej się żartem, rozpaczliwą próbą niedopuszczenia do ślubu. Ale później, już po weselu, kiedy wracali limuzyną do Warszawy, zaczęła się nad tym zastanawiać. Sposób, w jaki przyjaciółka wypowiedziała te kilka słów... To niesamowite napięcie i determinacja w jej oczach, w całej jej postawie... I dziwna reakcja Pawła, który co prawda obrócił wszystko w żart, ale widać było, jak bardzo się zdenerwował... Więc choć Beata instynktownie próbowała się przed tym bronić, powoli zaczęło do niej docierać, że może jednak Monika miała rację.

„Oczywiście, nawet jeżeli tak, to jeszcze o czym nie świadczy” - powtarzała sobie. Jeżeli Pawełek twierdzi, że wychowywał się w domu dziecka, to na pewno tak było, bo po co miałby kłamać? Może jego matkę pozbawiono praw rodzicielskich, a może... była chora umysłowo? Może Pawełek po prostu się jej wstydzi...

Beatka, zmartwiona, zagryzła mocno usta. Ale jeżeli tak, to nie świadczy to o nim najlepiej...

Im dłużej myślała, tym więcej pytań i wątpliwości się pojawiało. I coraz gorzej z tym wszystkim się czuła. Właściwie najlepiej byłoby zapytać Pawła wprost, poprosić go o jakieś wyjaśnienia, ale... trochę się bała. Bała się, że sprawi mu tym przykrość, bała się jego reakcji, bała się, że on pomyśli, że jest w stosunku do niego nielojalna... A przede wszystkim wciąż miała nadzieję, że on sam poruszy ten temat... Niestety... Nie wspomniał słowem ani o matce, ani o Monice, ani o tym całym zajściu w Pałacu Ślubów.

W dodatku od tamtej pory zachowywał się jakoś dziwnie... Chwilami był zamyślony i nieobecny duchem, to znów zniecierpliwiony tryskał energią i pomysłami. Na przykład na weselu oznajmił jej nagle, że udało mu się załatwić wcześniejszy wyjazd w podróż poślubną.

- Cieszysz się ptaszku, prawda? - szepnął jej do ucha i pocałował czule w szyję. Nie czekając na odpowiedź, uniósł kieliszek i wznosił toast za zdrowie wszystkich zgromadzonych. Potem złapał Beatkę władczo za rękę i już biegli do drzwi, żegnani oklaskami roześmianych gości.

Becia też się uśmiechała, chociaż czuła tylko oszołomienie, nic więcej.

Dlaczego nie ucieszyła się z wcześniejszego wyjazdu? Przecież perspektywa miodowego miesiąca w jakimś nieznanym, egzotycznym miejscu powinna być kusząca... A tymczasem... Owszem, odczuwała dreszcz emocji, ale nie należał on do tych przyjemnych. Jakby się czegoś podświadomie bała... Kiedy jednak na lotnisku dowiedziała się, że lecą na Bałkany, a więc stosunkowo blisko, trochę ją to uspokoiło. W samolocie, zmęczona przeżyciami, uciekła w sen.

Po przybyciu na miejsce, na piękną wysepkę u wybrzeży Splitu, zachwyciła się południową urodą tego miejsca. Jasne skały, powyginane morskim wiatrem drzewa oliwek, szafirowa

toń Adriatyku i oszłamiający zapach kwitnącej obficie o tej porze roku lawendy sprawiły, że zapomniała o tamtym dziwnym uczuciu niepokoju. Było wspaniale! Romantycznie i niezwykle! Pawełek cudownie to wszystko zaplanował!

Szkoda tylko, że nie mogła się swoimi wrażeniami z nikim podzielić. Najbardziej brakowało jej kontaktu z Moniką. Tak nagle się rozstały, nie było nawet czasu, żeby zamienić spokojnie kilka zdań. Wszystko działo się tak szybko - ślub, życzenia, wesele, nagły powrót do Warszawy, szybkie pakowanie... A w dodatku od kilku dni nie mogła znaleźć swojej komórki.

Co prawda Paweł swój telefon, oczywiście, ze sobą zabrał i Beatka pomyślała nawet, że w którymś momencie pożyczycy go na chwilę i zadzwoni do przyjaciółki... Ale kiedy w poniedziałek po śniadaniu zagadnęła go o to, Paweł roześmiał się tylko, złapał ją nagle na ręce i wskoczył razem z nią do basenu. Całe przedpołudnie spędzili w wodzie...

Następnym razem, kiedy we wtorek po obiedzie wróciła do tematu, jej ukochany mąż oświadczył, że teraz chciałby ją mieć tylko dla siebie...

- Kontakty z postronnymi osobami zakazane - tak to żartobliwie ujął, nie naciskała więc dalej. Nie miała ochoty nalegać i psuć atmosfery, bo podświadomie bała się, że w rozmowie z Moniką wypłynęłaby jednak kwestia matki Pawła... A tego tematu wołała na razie unikać. Nie bardzo wiedziała, co ma o tym myśleć, co powiedzieć Monice, o co ją spytać. A naprawdę to czuła strach przed tym, co mogłaby od niej usłyszeć. „Nie ma co się spieszyć, wszystko się wyjaśni, kiedy wrócimy do Polski” - powtarzała sobie. „Po co się teraz denerwować. Po co denerwować Pawła...”

Zwłaszcza że on i tak od momentu przyjazdu na wyspę zachowywał się inaczej niż zwykle.

Teraz już wiedziała, dlaczego. Kiedy, nie patrząc jej w oczy, zaczął przed paroma minutami mówić o problemach finansowych Pawbudu, zrobiło jej się bardzo przykro.

Jej Paweł, jej mądry, pracowity, zaradny mąż, który z niego stworzył taką dużą i prężną firmę, stanął nagle w obliczu bankructwa. Nie mogła tego zrozumieć, ale przede wszystkim - nie mogła do tego dopuścić. Nawet jeżeli wiązałyby się to ze sprzedażą Czerwińska. Nagle poczuła się odpowiedzialna za mężczyznę, z którym zaledwie trzy dni wcześniej wzięła ślub. Do tej pory to on ją wspierał i opiekował się nią, teraz będzie mu mogła udowodnić, jak bardzo jest dla niej ważny. Nawet kosztem utraty miejsca, które kochała tak bardzo.

Zielonozłota ważka, którą wcześniej obserwowwała, przysiadła na chwilę na stojącym nieopodal stoliku... Nagle, spłoszona, poderwała się do lotu. W drzwiach tarasowych stanął Paweł. Potem szybkim krokiem ruszył w stronę basenu i zatrzymał się tuż przed Beatą, zasłaniając jej słońce. Powoli podniosła głowę. Chciała się teraz przytulić do niego i powiedzieć mu, jaką podjęła decyzję, ale głos uwiązł jej w gardle.

- Pa..pawelku... - udało jej się po chwili wykrztusić.
- Po co ci ten nóż...?!

* * *

„Beata Jakubowska” - podpis odcinał się czernią od białego papieru. W drżących palcach ścisnęła ciągle długopis, a z policzków spływały jej łzy.

- Pawelku!! Ja... Nie rozumiem! Dlaczego?!!! To upoważnienie!!! Przecież... Ja już zdecydowałam! Jeśli tak ci zależy, to sprzedamy Czerwińsk!

Pochylił się nad nią i gwałtownym gestem wyrwał jej kartkę spod ręki. Miał obcy, zacięty wyraz twarzy.

Schował pismo do szuflady i chwycił brutalnie Beatkę za ramię.

- Idziemy - syknął, nie patrząc na nią, i pociągnął ją w stronę drzwi. Potknęła się i prawie upadła. Szarpnął ją mocno, aż zabolalo, i wtedy kątem oka dostrzegła, że w drugim ręku Paweł trzyma strzykawkę.

- Pawełku! O co chodzi?! Co ty robisz?

Wykręcając jej ramię do tyłu, wypchnął ją na zewnątrz, w oślepiające słońce i upał.

- Tędy - warknął, kierując ją na ścieżkę prowadzącą do skalistego wybrzeża. - Szybko!!!

- Ja nie rozumiem... Gdzie my idziemy? - Becia poczuła strach podchodzący jej pod gardło nieprzyjemną falą mdłości O Boże - pomyślała przerażona - Monika miała rację!”

CZEŚĆ III

ROZDZIAŁ I

w którym Monika, zamiast się cieszyć, płacze

- Beatko droga, wyglądaliście prześlicznie! - przystojna pięćdziesięcioletnia kobieta w beżowo-czarnym kapeluszu na głowie nachyliła się do panny młodej i cmoknęła powietrze centymetr od jej policzka. - Pawełku, wiesz, wiesz, wiesz! - podała mu napuszoną wiązaną z różowych lilii i przesunęła się dalej, robiąc miejsce dla następnej osoby. Kolejka składających życzenia ciągnęła się przez cały hol.

Paweł, nie odwracając się, wyciągnął rękę i rzucił bukiet do tyłu. Zbyszek złapał go w locie i umieścił na wierzchu stosu, który trzymała oburącz Monika.

- Więcej mi nie dawaj, bo upuszczę - zaprotestowała. - Gdzie to odłożyć?

- Nie wiem. Moment - dołożył zręcznie na sam czubek trzy czerwone róże.

- Auu! - syknęła Monika, która próbowała przytrzymać kwiaty brodą. - Kłuje! - wzdrygnęła się i w tym momencie całe zielsko wyleciało jej z rąk na podłogę. Paweł obejrzał się i spiorunował ją wzrokiem. „Trzeba posprzątać” - pomyślała niechętnie i przykucnęła. W tym momencie komórka w bocznej kieszeni torby zahuczała cicho.

- Tak? - rzuciła do słuchawki, zdziwiona, bo numer, który zobaczyła na wyświetlaczu, z niczym kompletnie jej się nie kojarzył. Czy raczej - z nikim.

- Monika? Tu Anka. Słuchaj, sorki, że cię ścigam komórkowo, ale jest problem. Panią Helenę przed chwilą pogotowie zabrało. Erka. Pojechali na Grenadierów.

Monika z wrażenia straciła równowagę i klapnęła pupą na podłogę.

- Jak to? Co ty opowiadasz? Panią Helenę? Dzisiaj? Teraz? Przecież... przecież ona się świetnie czuła! Jeszcze przedwczoraj...

- Słuchaj, Monika, może byś tam do niej pojechała? W końcu twoja babcia się z nią przyjaźniła... Ona tak cię lubi... Nie wiadomo, czy czegoś nie będzie potrzebować...

- Anka, poczekaj, jak to się stało? Co jej jest?

- Podobno coś z sercem, ale nie wiem dokładnie.

- Dziwne - Monika podniosła się z ziemi i otrzepała sukienkę. - Przecież serce to pani Helena miała jak dzwon!

- Oj, nie wiem, zapytasz lekarza. Swoją drogą, niesamowite... Wyobraź sobie, że to Benek ją znalazł! Poważnie. Wracaliśmy ze spaceru i on nagle zaczął drapać do jej drzwi i piszczeć, za nic się nie dał odciągnąć. Wiesz, jaki on potrafi być uparty. Zadzwoiłam kilka razy i nic. A kiedy sprawdziłam klamkę, to okazało się, że otwarte... Całe szczęście, że coś wyczuł!

- Mówisz, że gdzie ją zabrali? Na Grenadierów?

- Tak. Jakieś piętnaście minut temu. Gdybyś coś potrzebowała wziąć od niej z mieszkania, to klucze są u mnie.

- Dobra, dzięki. Już jadę.

- Daj później znać, co z nią.

- Jasne.

Monika wrzuciła komórkę do torby.

- Zbyszek! Ja się zmywam! - zakomunikowała trochę niewyraźnie, wciągając jednocześnie przez głowę sweter.

Zbyszek nie usłyszał, zajęty odbieraniem kwiatów od następnych gości.

- Hej! - szarpnęła go za ramię. - Zmywam się! Coś mi wypadło. Zadzwoń później.

Popatrzył na nią zdezorientowany.

- Jak to? Przecież... Co się stało?

- Nic, potem ci wytłumaczę. Teraz muszę lecieć. Pa - cmoknęła go w policzek, nabrała powietrza i nachyliła się od tyłu do Beatki.

- Becia! Posłuchaj... - naprawdę było jej strasznie głupio. - Ja... muszę...muszę wyjść na chwilę...

- Słucham? - Beatka popatrzyła na nią zdziwiona. -Jak to? Teraz?

- Pani Helena... Pogotowie ją zabrało. Muszę. Przepraszam cię. Dojadę najszybciej, jak się da.

Beatka pokręciła z dezaprobatą głową, ale nie próbowała jej zatrzymać.

„No nieźle” - pomyślała Monika, przeciskając się do wyjścia. „Podpadłam na całego”.

Hol szpitalny powitał ją chłodnym światłem jarzeniówek i zapachem środków dezynfekujących. Na ławkach pod ścianą obok rejestracji siedziało kilka osób, jakaś salowa popychała wózek z pacjentem. Monika podeszła do okienka i uśmiechnęła się niepewnie do siedzącej w nim młodej pielęgniarki.

- Przepraszam bardzo, tutaj niedawno przywieziono karetkę moją sąsiadkę. Starsza pani, miała jakieś problemy z sercem... Jak ją mogę znaleźć?

- Nazwisko poproszę.

- Kraszewska, Helena Kraszewska...

Kobieta zaczęła przerzucać karty w tekturowym pudełku. Skończyła i zaczęła jeszcze raz, tylko wolniej. Monika nie mogła oderwać wzroku od jej paznokci, krótko obciętych, ale pomalowanych na ostry pomarańczowy kolor.

- Przepraszam na chwilę - pielęgniarka wstała, odsuwając gwałtownie krzesło, i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła.

- Wyjdzie do pani lekarz.

Monika rzuciła torbę na podłogę i oparła się plecami o zimną ścianę. Sweter nie dawał wystarczającej izolacji. Wzdrygnęła się.

Po chwili pojawił się wysoki, młody lekarz w białym fartuchu i białych tenisówkach. Zatrzymał się i zaczął się rozglądać, więc Monika podeszła do niego.

- Jestem sąsiadką pani Kraszewskiej... - zaczęła.

- Proszę pani, jest bardzo źle. Serce. Robimy, co w naszej mocy, ale...

- Czy... czy mogłabym ją zobaczyć? – zapytała wstrząśnięta Monika.

- Nie, teraz to niemożliwe. Jest na OIOM-ie. Może jak się ustabilizuje...

- Dziękuję panu. Ja tu poczekam, więc gdyby była taka możliwość, proszę mnie zawołać, dobrze?

- Oczywiście.

Odszedł, a Monika przysiadła na ławce, drżąc z zimna. Biedna pani Helena. Ale na pewno wyjdzie z tego. Zawsze mówiła, że ma chore prawie wszystko, z wyjątkiem serca. Musiała się czymś zdenerwować... Monika wyjęła z torby telefon komórkowy, żeby sprawdzić godzinę. Już prawie wpół do siódmej. Oni pewnie jakoś tak teraz dojeżdżają do hotelu... Podobno przyjęcie ma być wspaniałe, Paweł wynajął cały budynek, goście będą mogli zanoćować... „Ten to ma gest” - pomyślała niechętnie. „Lubi poszpanować. Limuzynę wynajął jak z filmu, suknię Beci strzelił w najlepszym salonie w Warszawie...”

„On nigdy niczego nie robi bezinteresownie...” - przypomniały się Monice słowa matki Pawła. Ciekawe, jaki miał interes w tym, żeby tak inwestować w Beatkę. A ta... - idiotka,

po prostu idiotka, zamiast przed nim uciekać, gdzie pieprz rośnie, tuli się do niego i ćwierka, że jej przyjaciółka zwa-riowała i wymyśla jakieś historie o jego matce. Przecież za takie coś Monika powinna ją udusić gołymi rękami.

Dobra, trudno. Gdyby była na weselu, próbowałaby jeszcze jakoś z nią porozmawiać, choć pewnie Pawełek stanąłby na głowie, żeby do tego nie dopuścić. Gdyby tam była...

Ale nie jest. I ma inne, też ważne, sprawy na głowie. Może powinna teraz pojechać do mieszkania pani Heleny i przywieźć jej nocną koszulę, jakieś drobiazgi toaletowe...

Czas w holu szpitala na Grenadierów nie płynął, tylko stał w miejscu. Monika, zmęczona nadmiarem wrażeń, zasnęła.

Obudziło ją delikatne szarpanie za ramię. Nad nią stał ten sam młody lekarz, z którym rozmawiała niedawno.

- Tak? - spytała jeszcze zaspanym głosem.
- Bardzo mi przykro. Pani Kraszewska nie żyje.

Monika stuknęła paznokciem w brzeg kubka z herbatą. To był jej ulubiony kubek. Szeroki, czarny, miał naokoło namalowany płatek z kolorowych kredek. Dziesięć lat temu przyciągnął jej wzrok na wystawie małego sklepiku w Wiedniu. Pierwszy raz była wtedy za granicą.

W tym samym sklepiku wypatrzyła też minutnik w kształcie jabłka - kosztował oczy z głowy, ale nie zastanawiała się ani chwili. Pomyślała wtedy, że to idealny prezent dla pani Heleny, która stale zapominała, że coś gotuje, i przypalała garnki jeden po drugim.

Na wspomnienie tego, jak starsza pani jej potem dziękowała, Monika poczuła, że zbiera jej się na płacz.

Na stole przed nią leżała kartka w kratkę, wyrwana z zeszytu, zapisana pochyłym pismem. Dostała ją w szpitalu od lekarza.

„Ja, niżej podpisana, w obecności świadka Anny Dębskiej, zapisuję moje mieszkanie oraz wszystkie moje rzeczy osobiste pani Monice Kwiatkowskiej”.

A na dole drżące litery: Helena Kraszewska.

- Nie zasłużyłam na taki prezent - szepnęła Monika. - Nie zasłużyłam, pani Heleno, naprawdę!

Rękawem swetra wytarła spływającą po policzku łzę. Lekarz powiedział, że staruszka na kilka minut odzyskała przytomność i wtedy zdążyła podyktować testament pielęgniarce.

- Tylko dlaczego umarła tak nagle? - spytała Monika.

- Proszę pani, osiemdziesięcioletnia osoba nigdy nie umiera nagle - usłyszała w odpowiedzi.

- Ale była w świetnej formie. I nie chorowała na serce!

- Przykro mi.

Wieczorną ciszę przerwało brzęczenie telefonu komórkowego. Zbyszek. Nie miała ochoty z nim rozmawiać. Nie teraz. Na pewno świetnie się tam bawią... A Becia narzeczcie ma, czego chciała. Albo raczej to, czego chciał Paweł.

Co za cholerny, cholerny, cholerny dzień.

Kompletnie skołowana, położyła się do łóżka tak jak stała i natychmiast zasnęła.

* * *

Zbyszek zadzwonił znowu w niedzielę koło południa. Tym razem odebrała.

- Słucham...

262

- Nika, kochana, co się stało? Dlaczego nie przyjechałaś? Czekałem jak głupi! Wszyscy czekaliśmy...

- Pani Helena umarła, moja sąsiadka. Była dla mnie jak babcia. Rozumiesz, nie mogłam...

- Tak mi przykro - Monika wyczuła, że Zbyszek nie bardzo wie, jak ją pocieszyć. - Może przyjadę?

- Nie, dzięki - rzuciła ostro. - Po prostu... wolę na razie pobyć sama - dodała już łagodniejszym tonem.

- A jak tam wesele?

- Bez ciebie? Beznadziejne.

- Serio pytam.

- Jak to wesele - jedzenie, alkohol, tańce... Potem pożegnanie państwa młodych...

Monika wyprostowała się gwałtownie i przycisnęła telefon do ucha.

- CO? Jakie pożegnanie?

Usłyszała śmiech Zbyszka.

- Nika, kochanie, czym się tak denerwujesz? Zwyczajnie, po północy młodzi odjechali w podróż poślubną. To chyba normalne.

Monika zaczęła krążyć bez sensu po pokoju. „Niemożliwe” - myślała zdenerwowana. „Niemożliwe!”

- Zbyszek, przecież oni mieli wyjechać dopiero w środę!

- No tak, rzeczywiście. Ale Paweł zarządził, że wyjeżdżają wcześniej. Jakiś problem?

- Nie, może nie... Tylko... zdziwiłam się trochę, to wszystko. Słuchaj, muszę kończyć. Zadzwoń później. Pa.

Szlag najjaśniejszy niech to trafi. Niech GO trafi! Monika aż zacisnęła pięści w bezsilnej wściekłości.

Sprawa z matką Pawła w ogóle nie została wyjaśniona. Co z tego, że powiedziała o wszystkim Beci? Przecież do tej sieroty nic nie dotarło! Za to do Pawełka - i owszem. Pewnie

stąd to nagle przyśpieszenie wyjazdu! Bał się, skurczybyk, że Monika wróci do tematu! Nacisnęła klawisz MENU i wybrała numer Beci.

„Abonent czasowo poza zasięgiem sieci” - usłyszała.

Więc, nie zastanawiając się, zadzwoniła do Pawła.

„Abonent poza zasięgiem sieci...” Cholera jasna!

ROZDZIAŁ 2

mówiący o brzemiennym
w skutki spotkania na lotnisku

Taksówka z trudem przeciskała się przez zatłoczoną o tej porze Trasę Łazienkowską w kierunku Żwirki i Wigury.

„Tam to dopiero będzie korek” - pomyślała Monika zaniepokojona i zerknęła nerwowo na zegarek.

Była cholernie zmęczona. Rano musiała stoczyć regularną bitwę z tą kretynką wicedyrektor, która nie chciała wypuścić jej dwie godziny wcześniej. Nie mogła, idiotka jedna, zrozumieć, że Monika ma do załatwienia kupę formalności po śmierci pani Heleny. W kółko tylko pytała, czy to jest bliska krewna, bo jak nie, to zwolnienie z pracy nie przysługuje.

Dobrze, że zadzwonił telefon i ta mała zajęła się rozmową. Monika wymknęła się z gabinetu i poinformowała po drodze sekretarkę, że musi wyjść w pilnych sprawach rodzinnych.

Później pobiegła do ZUS-u, gdzie kazali jej skompletować potrzebne papiery. A kiedy chciała zdobyć pierwszy i najważniejszy, czyli akt zgonu, zaczęły się schody. Odsyłano ją z jednego gabinetu do drugiego, aż w końcu okazało się, że akt zostanie wystawiony dopiero po... sekcji zwłok. W sytuacji kiedy zmarły przebywał w szpitalu krócej niż 48 godzin, jest to działanie standardowe - dowiedziała się. A ponieważ nie wiadomo dokładnie, kiedy sekcja zostanie wykonana, na razie nic więcej w sprawie pogrzebu zrobić się nie da. Jedno jest pewne, szybko się nie odbędzie.

Do domu wróciła dopiero po piątej, ledwo żywa. Na klatce panował półmrok, więc najpierw nie zauważyła nic szczególnego... Dopiero kiedy otworzyła drzwi, na wycieraczkę upadła zielona koperta...

Była cienka, elegancka i leciutko pachniała, coraz rzadsze zjawisko w epoce maili i esemesów. Oraz w epoce terrorystów, dlatego Monika obejrzała znalezisko bardzo dokładnie i nieufnie wniosła do środka w dwóch palcach. „Od kogo to?” - zastanawiała się gorączkowo, sięgając po nóż. „Bo przecież niemożliwe, żeby Zbyszek się tak wygłupiał...”

Niestety, zawartość koperty nie dała jasnej odpowiedzi. Ze środka wysunął się złożony na pół arkusik papieru w pięknym szmaragdowym kolorze. Ktoś napisał na nim piórem kilka słów: „Dzisiaj, osiemnasta, Okęcie, hala odlotów. KONIECZNIE! W sprawie Pawła Jabłońskiego”. No i jak mogła nie pojechać?

Nie miała co prawda bladego pojęcia, o co chodzi, ale jedno wiedziała na pewno - z zupełnie nieoczekiwanej strony pojawiła się nadzieja na zdobycie jakichś informacji o Pawle.

Nie może pozwolić, by ta szansa przepadła.

Całą drogę w taksówce zastanawiała się usilnie, kim jest ten ktoś... I skąd mógł wiedzieć, że Paweł ją interesuje. Nic oczywiście nie wymyśliła, poza jednym -ta osoba musi ją znać, przynajmniej z widzenia, skoro umawia się w tak zatłoczonym miejscu i nie wymaga żadnego znaku rozpoznawczego. Ciekawe, naprawdę ciekawe...

Przycisnęła nos do szyby - dopiero Raclawicka! Zerknęła na zegarek, cholera, już za pięć szósta! Ale ten gruchot się wlecze! Pochyliła się nagle w stronę kierowcy.

- Panie, nie można szybciej?

266

- Widzi pani, że korek - odparł spokojnie taksówkarz - Nie przefrunę przecież...

No tak, jemu się nie śpieszyło. Z westchnieniem opadła z powrotem na oparcie.

„Cholera, nie mogę się spóźnić! Co za kretyn zostawia taką wiadomość w ostatniej chwili? A może to jakaś pułapka...?”

Taksówka z piskiem opon zatrzymała się przed halą odlotów. Monika rzuciła kierowcy trzydzieści złotych i nie czekając na resztę, pobiegła do wejścia. W hali kłębił się jak zwykle dziki tłum odjeżdżających i odprowadzających.

„Jak się tu znajdziemy...?” - Monika rozejrzała się bezradnie, po czym sprawdziła nerwowo godzinę: jasny gwint, prawie pięć po szóstej... Może ten ktoś już był i poszedł sobie?

A niech to! Stracić taką szansę!

Przysunęła się bliżej do kiosku z pamiątkami i przeglądając się w szybie, szybko poprawiła włosy, z których przed chwilą ściągnęła gumkę.

- Dzień dobry! - usłyszała nagle za sobą damski głos. Odwróciła się gwałtownie i ujrzała przed sobą... Weronkę!

„A ta co tu robi, do diabła? I czego ode mnie chce? Przecież teoretycznie się nie znamy” - zdenerwowała się Monika. „Jeszcze mi spłoszy informatora!”

- Spóźniła się pani - stwierdziła zimnym głosem Weronika i zanim Monika, zszokowana, zdążyła cokolwiek wykrztusić, tamta kontynuowała:

- Przejdźmy do rzeczy. Wyjeżdżam. Nie mam ochoty brać w tym wszystkim dalej udziału. Teraz, kiedy już wiem, że on się ze mną nie ożeni. Rozumie pani? - zmrużyła piękne zielone oczy i zacisnęła umalowane wargi. Przez chwilę wyglądała odpychająco.

Monika przeknęła nerwowo ślinę.

- Wiem, że pani rozumie. Przecież śledziła nas pani. Zresztą nieważne. Proszę sprawdzić to - wyciągnęła rękę i podała złożoną na pół białą karteczkę. Monika chwyciła ją i otworzyła - na środku było napisane tylko jedno słowo, które brzmiało jak łacińska nazwa jakiegoś leku.

- Co to jest...? - spytała, ale Weronika, nie zwracając na nią uwagi, mówiła dalej.

- Naprawdę przykro mi z powodu pani Heleny. Nie chciałam, żeby tak się stało...

- Ale o co chodzi? - Monika złapała ją kurczowo za rękaw zielonego, zamszowego żakietu.

- Żegnam. Zaraz mam lot. Nie próbujcie mnie szukać - Weronika wyszarpnęła rękaw, chwyciła rączkę małej oliwkowej walizki stojącej obok i odwróciła się na pięcie. Ruszyła przed siebie energicznie, stukając wysokimi obcasami zielonych kozaków. Nagle przystanęła, obejrzała się przez ramię i rzuciła szorstkim głosem:

- Nie powinna pani puszczać jej z nim samej.

ROZDZIAŁ 3

opowiadający ze szczegółami, jak Monice włos się jeży na głowie

Kierowca autobusu 188 prowadził z fasonem. Na przystankach hamował tak gwałtownie, że Monika musiała się przytrzymać siedzenia, żeby nie wylądować na podłodze. Ale zupełnie nie zwracała na to uwagi, tak była pochłonięta myślami.

Spotkanie z Weroniką, po którym spodziewała się jakichś odpowiedzi, przyniosło tylko następne pytania. Niepokojące pytania. Dlaczego kazała jej sprawdzać to lekarstwo? O co chodziło z panią Heleną? „Nie chciałam, żeby tak się stało...” Co to, do licha, miało znaczyć? Ale najbardziej uwierały ją słowa, które tamta powiedziała na pożegnanie. Padły na podatny grunt - Monika coraz bardziej denerwowała się pełnym brakiem kontaktu z Becią. A zwłaszcza tym, że nie miała szansy powiedzieć jej wszystkiego, czego się dowiedziała o Pawle. Czuła się fatalnie ze świadomością, że przyjaciółka pojechała gdzieś, nie wiadomo nawet gdzie, z tym... oszustem. A teraz to ostrzeżenie... Niestety, Weronika nie wyglądała na taką, która rzuca słowa na wiatr.

Wysiadła z autobusu przy Grenadierów. Ruszyła szybkim, zamaszystym krokiem w stronę domu, cały czas zastanawiając się gorączkowo, co robić dalej... Nagle zatrzymała się i zawróciła w stronę apteki, którą przed chwilą minęła. W środku był tylko jeden klient, jakiś starszy pan w granatowym płaszczu i z laską. Kiedy zapłacił i odebrał torebkę z lekarstwami, Monika podeszła do okienka i podsunęła

farmaceutce karteczkę, którą dostała od Weroniki.

- Przepraszam panią bardzo, to nazwa lekarstwa, prawda?

Kobieta odchrząknęła.

- No tak, w pewnym sensie...

- Jak to, w pewnym sensie?

- To potas. Ale nie kupi go pani u nas. Jest stosowany tylko w leczeniu zamkniętym.

- Potas? - powtórzyła Monika, kompletnie dezorientowana. - W leczeniu zamkniętym?

- Jest stosowany do wyrównywania równowagi elektrolitowej, na przykład przy odwodnieniach. No i w kardiologii oczywiście. Ale podaje się go tylko w szpitalach, pod kontrolą lekarską - tłumaczyła farmaceutka.

- Dlaczego pod kontrolą? - zapytała odruchowo Monika, której te fachowe informacje niewiele wyjaśniły.

Drzwi apteki otworzyły się i zamknęły. Następny klient, zanosząc się suchym kaszlem, ustawił się w kolejce tuż za Moniką.

- Potas działa na naczynia krwionośne i może spowodować ich gwałtowne zwężenie. Czy pani będzie coś kupowała?

Monika wyczuła w jej głosie lekkie zniecierpliwienie.

- Eee, może poproszę paczkę chusteczek higienicznych.

- Pięćdziesiąt groszy. Coś jeszcze?

Monika sięgnęła do kieszeni dzinsów po garść drobnych.

- A co to tak naprawdę znaczy - to zwężenie naczyń krwionośnych? - zapytała jeszcze, powoli odliczając monety.

- Nagłe zatrzymanie akcji serca - usłyszała zniecierpliwioną odpowiedź.

Monika wyszła na ulicę i poczuła, że robi jej się słabo. Oparła się o ścianę domu i odetchnęła głęboko chłodnym wieczornym powietrzem.

Informacja, którą jej przekazała Weronika, stała się przerażająco czytelna. Jako powód śmierci pani Heleny podano atak serca. Na atak serca zmarła też Apolonia Heller, ta kobieta, do której należało kiedyś mieszkanie Weroniki. Jeżeli rzeczywiście w obu przypadkach użyto potasu... Czy Paweł był w to zamieszany? Na pewno był, inaczej Weronika nie umawiałaby się z nią, nie podsuwała tropu. Wspomniała o ślubie, mogła być zawiedziona... Wszystkie kobiety są takie same. Udają, że obrączka nie jest im do niczego potrzebna, ale przez całe życie marzą tylko o tym, żeby ją włożyć na palec. Pewnie Pawełek obiecywał, że się z nią ożeni. No cóż, zdaje się, że on nie z tych, co dotrzymują obietnic... Może Weronika chciała się po prostu na nim zemścić? Czyli spodziewała się, że Monika poleci z tym na policję?

Wyciągnęła telefon i wybrała numer Sebastiana.

- Cześć, stary, to ja. Znowu będę potrzebowała pomocy tego twojego przyjaciela gliniarza. Sprawa jest taka... - i szybko wyjaśniła mu, o co chodzi. – Zapisz sobie nazwiska: Apolonia Heller, Helena Kraszewska. Niech stanie na głowie! Dzięki, kochany jesteś!

I wyłączyła się z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Skreśliła w Międzyborską i potknęła się o wystającą chodnikową płytkę.

- Cholera, jak tu ciemno - zaklęła pod nosem.

Przechodząc na drugą stronę ulicy, automatycznie spojrzała w lewo. Kątem oka dostrzegła jadący za sobą powoli duży terenowy samochód. „Dupa nie kierowca, zapomniał

włączyć światła” - przeleciało jej przez głowę. W tym momencie auto gwałtownie przyspieszyło. Pokonując krawężnik, wjechało na chodnik i ruszyło prosto na Monikę.

„O Boże, przejedź mnie!” - pomyślała przerażona i rzuciła się do ucieczki wzdłuż niskiego ogrodzenia z desek, ustawionego na czas remontu narożnej kamienicy. W ostatniej chwili, kiedy auto prawie dotykało jej przednim zderzakiem, dopadła końca płotu i uskoczyła w prawo, we wnękę przed następnym budynkiem.

Prawy bok auta minął ją dosłownie o centymetry. Mignęły jej przyciemniane szyby, złotawy lakier i żółta naklejka radia RMF FM tuż nad klamką.

Jednocześnie poczuła ostry, piekący ból w lewej nodze.

Oparła się plecami o chłodny mur i próbowała uspokoić oddech. Nasłuchiwała, ale samochód nie zawrócił. Skręcona kostka bolała jak diabli. Po dłuższej chwili Monika odważyła się wyrzeć na ulicę. Było pusto i cicho, więc pokuśtykała jak mogła najszybciej w kierunku domu.

* * *

Monika podciągnęła koc pod brodę. Leżała na kanapie z okładem z altacetu na nodze. Ból fizyczny powoli ustępował, ale psychicznie czuła się fatalnie. Przed chwilą ktoś próbował ją nieźle nastraszyć i - niestety - to mu się udało. Była zagubiona, zdezorientowana i zła. Zła na siebie, że nie może sobie z tym wszystkim poradzić, i oczywiście zła na Pawła. Bo kto inny mógł za tym stać? Ten samochód to musiała być jego sprawka.

Coraz więcej pytań kłębiło się w jej głowie.

Przecież wydawało się, że żeniąc się, dopiął swego. A mimo to postanowił ją nastraszyć... Nie kładź palca między drzwiami...

- W czym ja mu jeszcze przeszkadzam? - zdenerwowała się. - Czy to możliwe, żeby ślub nie był ostatecznym celem? Czyżby on się bał, że pokrzyżuję mu plany? Ale jakie, do cholery?

Poczuła się nagle strasznie samotna i zatęskniła za Zbyszkim. Jakby było cudownie się w niego wtulić, podzielić wszystkimi wątpliwościami, opowiedzieć, co ten drań Paweł wyprawia... Tylko że przecież oni się przyjaźnią... Ale z drugiej strony Zbyszek głupi nie jest, fakty mówią same za siebie. Wystarczy, że mu opowie o matce Pawła, o Weronice, a przede wszystkim - o tej akcji z samochodem... Prawdę mówiąc, od początku chciała to zrobić, ale jakoś się nie składało... Chyba bała się jego reakcji. A przecież lepiej byłoby mieć go po swojej stronie.

Sięgnęła po telefon i znowu spróbowała dodzwonić się do Beci. Oczywiście, bez skutku.

„Nie powinna jej pani puszczać samej...” - powiedziała Weronka.

A jeżeli Becia jest w niebezpieczeństwie?

- Nie bądź głupia - powiedziała do siebie głośno Monika. - Takie rzeczy dzieją się tylko w filmach. Albo w książkach. Nie na Saskiej Kępie. Nie w twoim życiu.

Zbyszek też nie odbierał telefonu.

- Co za cholerny pech - jęknęła załamana. - Właśnie teraz, kiedy tak bardzo go potrzebuję!

Następną godzinę spędziła, gapiąc się bezmyślnie w telewizor i dzwoniąc na zmianę do Beatki i Zbyszka. Żadne z nich nie odbierało.

W końcu podniosła się z trudem z kanapy i pokuśtykała do przedpokoju, żeby sprawdzić, czy drzwi są dobrze zamknięte. Tak na wszelki wypadek... I poszła spać.

ROZDZIAŁ 4

w którym ostatni element układanki wskakuje na swoje miejsce

Rano noga bolała dużo mniej, opuchlizna trochę zeszała, ale i tak Monika postanowiła iść do lekarza po zwolnienie. Musiała mieć trochę czasu, żeby się z tym wszystkim uporać.

W przychodni na szczęście nie było kolejki. Kiedy siedziała na korytarzu przed gabinetem, zabrzączał jej telefon. Zbyszek!

- Witaj, kochana! Wiem, że do mnie wczoraj dzwoniłaś... Zostawiłem komórkę w biurze, wybacz. Coś się stało?

- Skręciłam sobie nogę i w ogóle... miałam koszmary wieczór.

- To ja już do ciebie jadę - zaniepokoił się Zbyszek.

- Ale ja nie jestem w domu, tylko w przychodni, u lekarza...

Drzwi gabinetu otworzyły się, wyszła pacjentka.

- Następny proszę - dobiegł ostry głos ze środka.

- Zbyszek, muszę kończyć...

- Jasne. A gdzie ta przychodnia?

- Na Ostrołęckiej. Pa!

Lekarz obejrzał kostkę dość pobieżnie, zalecił okłady z al-tacetu i wystawił zwolnienie na tydzień. Dobrze i to. A na korytarzu czekał Zbyszek.

- Jak mnie znalazłeś tak szybko? - ucieszona, przytuliła się mocno do niego.

Pocałował ją w czoło i uśmiechnął się.

- Właśnie wracałem z biura - pojechałem tylko po kómkę, bo dziś mam do załatwienia sprawę w terenie. Jak się czujesz?

Oparła się o niego i wysunęła przed siebie lewą nogę.

- Nie jest najgorzej. Już prawie nie boli... Za to dostałam zwolnienie aż na tydzień! Wyobrażasz to sobie? Nie, ty sobie nie możesz wyobrazić, bo nie uczysz w szkole...

Ruszyli powoli w kierunku wyjścia. Monika czuła ogromną ulgę, że nareszcie Zbyszek jest obok. Miała ochotę cały czas trzymać go za rękę. I bardzo, bardzo potrzebowała z nim pogadać o tym, co się stało wieczorem. Miała nadzieję, że poradzi jej coś sensownego, podpowie jakieś rozwiązanie.

- Długo będziesz w tym terenie? - spytała, kiedy znaleźli się przy wyjściu.

- Pojęcia nie mam.

Pchnął drzwi i przytrzymał.

- Słuchaj... A może ja bym pojechała z tobą? - zapytała nagle Monika. - Pogadamy sobie po drodze...

Ucieszył się.

- Jasne! Świetny pomysł! Tam po drodze jest taka przyjemna knajpa, Biały Dworek czy jakoś tak. Możemy się tam zatrzymać na obiad.

Pomógł jej zejść ze schodów, obejmując mocno w pasie. Gdyby nie to, że przed przychodnią kręcili się ludzie, pocałowałyby go już teraz.

- Poczekaj chwilę, to podjadę.

Patrzyła, jak odchodzi szybkim, zdecydowanym krokiem. Zniknął jej z oczu i po chwili usłyszała nadjeżdżające auto. Zza rogu pojawił się duży terenowy, złoty nissan. Monika drgnęła. Ta sylwetka, ten kolor... Samochód zatrzymał się

przed nią z piskiem opon. Przyciemniana szyba opadła powoli w dół. Zbyszek uśmiechnął się do niej. Jak zahipnotyzowana chwyciła za klamkę, nad którą pobłyskiwała żółcią niewielka okrągła naklejka radia RMF FM.

* * *

- Kochanie, dlaczego nic nie mówisz?

- Jakoś... Noga mnie zaczęła znowu boleć - idiotyczne tłumaczenie, ale nie potrafiła wymyślić lepszego.

Jechali już prawie pół godziny, a Monika ciągle nie była w stanie nic z siebie wykrztusić. Na pytania Zbyszka, zwłaszcza te dotyczące okoliczności skręcenia kostki, odpowiadała półsłówkami. A kiedy przestał pytać, siedziała cicho, miętosząc w palcach brzeg kurtki. Najchętniej wysiadłaby i uciekła... Musiał się czuć bardzo pewnie, skoro przyjechał po nią tym samym autem, którym wcześniej... Nieodrobnie się jej robiło na samą myśl.

Zbyszek zerkał na nią zza kierownicy. „Zdrajca, podły zdrajca” - myślała Monika, wpatrując się uporczywie w krajobraz za oknem. „Jaka ja byłam głupia! Pewnie Paweł mu kazał się mną zainteresować! Od początku to było jedno wielkie oszustwo! Ależ on potrafi udawać! A wydawałoby się, serce na dłoni!”

- Wiesz co, pokażę ci, gdzie będziemy budować. Jestem pewien, że ci się tam spodoba.

Nie odezwała się.

Zbyszek potraktował to jako milczącą zgodę. Skręcili z szosy w węższą asfaltową drogę. Monika poczuła nieprzyjemny skurcz strachu w żołądku. Jechali przez jakieś pustkowiec... Gdyby rzeczywiście chciał jej coś zrobić...

Skręcili znowu, tym razem w wąską polną dróżkę.

- Tam oczywiście jest też normalny dojazd, ale pojedziemy tędy - powiedział Zbyszek.

Samochód wspinał się powoli na niewielkie wzgórze. Miejsce wydało się Monice dziwnie znajome.

Jechali jeszcze kawałek wśród pól i nagle ich oczom ukazał się sad pełen starych, rozłożystych drzew, który ciągnął się w dół aż do miejsca, gdzie jeszcze niedawno stał dom, po którym teraz zostały tylko nadpalone fragmenty ścian. Czerwińsk.

- O Boże - jęknęła Monika.

- No i co ty na to? Kiedy tu byłem ostatnio, dom jeszcze stał...

- O Boże - powtórzyła i zakryła twarz dłońmi.

- Rzeczywiście, straszne, że się spalił. Z drugiej strony... I tak by go trzeba było zburzyć. Jak wejdziemy z inwestycją, wszystko poleci. Aż do linii lasu. Wsiądziemy na chwilę?

- Nie chcę. Jedźmy już stąd - wydusiła z siebie Monika i skuliła się na siedzeniu.

Nagle wszystko stało się jasne. Pawłowi chodziło o ziemię!

Urząd Gminy Górki Mazowieckie mieścił się w okazałym, świeżo wyremontowanym budynku w centrum miasteczka. Zbyszek zatrzymał auto na parkingu, sięgnął na tylne siedzenie po teczkę z dokumentami i otworzył drzwiczki.

- Widzę, że to był kiepski pomysł z tym wyjazdem. Postaram się jak najszybciej wszystko załatwić i wracamy. Chyba jednak powinnaś odpocząć.

Wsiadł. Jak tylko zniknął za drzwiami urzędu, Monika wyciągnęła z kieszeni komórkę i zaczęła dzwonić.

Najpierw do Sebastiana. Nie odbierał. Spojrzała na zegarek. Przerwa dopiero za pięć minut...

Potem do Beci. Tym razem usłyszała w słuchawce meldunek po angielsku. „Abonent czasowo nieosiągalny...”

Poczuła się zupełnie bezradna. Nagle do niej dotarło, że Pawła stać na wszystko. To oczywiste, że teraz będzie próbował zmusić Becie do sprzedaży ziemi. Ta cała podróż poślubna... Pewnie ją zmontował głównie w tym celu.

Tylko co będzie, jeżeli Becia się nie zgodzi? Monika uświadomiła sobie, że to właściwie bardzo prawdopodobne. Ta pozornie delikatna kobietka potrafiła w niektórych sprawach być uparta jak osłica. Więc co będzie, jeżeli się nie zgodzi?

„Nie puszczałabym jej z nim samej...” Zdaje się, że ta Weronika wiedziała, co mówi.

Jeśli Beatce coś się stanie, Paweł po niej wszystko odziedziczy. Legalnie!

Monika przygryzła wargi.

- O Boże - jęknęła - i co teraz? Nie mam pojęcia, gdzie oni są, nie mogę się z nimi skontaktować...

W tym momencie drzwi urzędu otworzyły się gwałtownie i wyszedł z nich Andrzej.

- Co ty tutaj robisz? - zdziwił się na widok Moniki, która wygramoliła się z samochodu i utykając, ruszyła w jego stronę.

- Andrzej, Andrzej, jak się cieszę!

- Co ci się stało w nogę?

- Nieważne! Słuchaj, koniecznie musimy pogadać! - chwyciła go kurczowo za rękaw kurtki.

Wskazał ławeczkę przed budynkiem.

- No to słucham, mów.

Monika pokręciła gwałtownie głową.

- Nie, teraz, niestety, nie mogę... Czekam tu na kogoś... Zadzwoń potem do ciebie. Potrzebuję twojej pomocy. A właściwie nie ja, tylko Becia.

- Coś jej się stało? - zaniepokoił się.
- Nie wiem. Mam nadzieję, że jeszcze nie... Zadzwoń.

Idź już lepiej.

Wróciła do auta. Patrzyła, jak odjeżdża, machając jej ręką na pożegnanie. Jak to dobrze, że go spotkała. Od razu poczuła się o lepiej.

Kiedy po pięciu minutach wrócił Zbyszek, wiedziała już, co powinna zrobić.

- Przepraszam cię, zupełnie nie jestem dzisiaj w formie. Zawieź mnie lepiej do domu, dobrze? Na obiad pójdziemy kiedy indziej.

Zbyszek uśmiechnął się do niej ciepło i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Jasne, kochanie. Nie ma sprawy. Odbijemy sobie, jak już się lepiej poczujesz.

Wyjechali na szosę warszawską.

- Jakoś od kilku dni słabo nam się układa.

Zbyszek rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Nie mogłaś zostać na weselu... Szkoda. Było takie eleganckie. Paweł się naprawdę postarał. Muszę przyznać, że mu trochę zazdroścę. Wyleguje się teraz na słońcu, a ja tu muszę zasuwąć.

Monika nadstawiła uszu.

- A właśnie, dokąd oni pojechali? Egipt, Wyspy Kanaryjskie? - zapytała niby mimochodem.

- No nieee... Paweł wymyślił Chorwację.

- Chorwację? - zaskoczona Monika odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

- Tam jest teraz bardzo przyjemnie. Właśnie trwa sezon na winogrona. A poza tym on zna tamte tereny, bo kiedyś prowadził interesy w Zagrzebiu. Wyobraź sobie, wynajął całą wyspę. Co prawda małą, ale za to są tam tylko we dwoje. Piękny, stary dom z basenem i winnicą - roześmiał się Zbyszek. - Romantycznie, prawda?

Monika patrzyła na niego okrągłymi jak spodki oczami.

- Niemożliwe! Sami, na wyspie? Skąd wiesz? - prawie krzyknęła.

- Bo byliśmy tam z Pawłem w zeszłym miesiącu. To jest na wysokości Splitu. Nie pamiętam, jak się nazywa ta wysepka, ale płynie się na nią z takiej małej wioski, Jablanac. W sumie to szybki dojazd. Lecisz do Zagrzebia półtorej godziny, a potem autostradą drugie tyle i jesteś na miejscu.

„Cholera” - pomyślała Monika. „Ciekawe, gdzie ja wtknęłam paszport”.

ROZDZIAŁ 5

czyli na odsiecz przyjaciółce

Autostrada do Splitu łagodnymi łukami przedzierała się przez góry. Zalesione zbocza mieniły się całą gamą jesiennych barw: od słonecznej żółci brzoź poprzez pomarańczowy beż, czerwień i brąz klonów, aż do ciemnej zieleni nielicznych iglaków. Słońce, zadziwiająco silne jak na tę porę roku, świeciło ostro przez przednią szybę samochodu. Krajobraz jak z folderu biura podróży.

Monika, mrużąc oczy, wyglądała przez okno wypożyczonego w Zagrzebiu samochodu i wydawało jej się zupełnie nieprawdopodobne, że jeszcze wczoraj siedziała w swoim mieszkaniu w Warszawie.

O tym, że jedzie szukać Beci do Chorwacji, zdecydowała nagle, kiedy dowiedziała się, gdzie przyjaciółka spędza miodowy miesiąc. Takie szczegóły jak dotarcie na miejsce czy wytłumaczenie Pawłowi powodów wizyty nie zaprzątały jej uwagi. Wiedziała tylko, że jechać musi. I to jak najszybciej. Powód był bardzo prosty - cholernie bała się o Becie. Gdyby jej się, nie daj Boże, coś stało, Monika nie wybaczyłaby sobie tego do końca życia.

Nie mogła biernie siedzieć w Warszawie i zastanawiać się, czy Pawełek wróci z Chorwacji z podpisanymi papierami sprzedaży ziemi i Beatką całą i zdrową, czy może bez takich papierów, ale za to jako zrozpaczony wdowiec...

Kiedy zaczęła organizować wyjazd, jej pierwszą myślą było, że powinna kogoś ze sobą zabrać. Po pierwsze ze względu na Pawła, po drugie ze względu na Pawła, a po trzecie - ze względu na konieczność podróżowania autem.

Samotne pokonanie prawie trzystu kilometrów po krętych górskich drogach na pewno nie wchodziło w grę.

Proszenie Zbyszka o pomoc byłoby jak bawienie się z oswojoną piranią, więc pomyślała o Sebastianie. Z dwójga złego... Właśnie rozglądała się za komórką, żeby do niego zadzwonić, kiedy zabrzęczała jej w kieszeni.

- Tak, słucham? - rzuciła szybko.

- No cześć. Miałas do mnie dzwonić... Monika o mało co nie upuściła telefonu. Andrzej! Rzeczywiście, zupełnie zapomniała! „Cholera, on byłby najlepszy” - przeleciało jej nagle przez głowę.

Zaczęła mu chaotycznie opowiadać całą historię. Słuchał cierpliwie, a kiedy oznajmiła, że musi natychmiast jechać do Chorwacji na pomoc Beatce, stwierdził spokojnie:

- Dobra, jadę z tobą.

Tak szybka deklaracja mimo wszystko ją zaskoczyła.

- Słuchaj, ja nie wiem, czy mogę cię o to prosić...

- Ależ ty mnie wcale nie prosisz. Sam się zaoferowałem. Żaden problem. A zresztą przyda mi się kilka dni urlopu. Nie byłem na wakacjach od lat.

Monika naprawdę się ucieszyła, podświadomie czuła bowiem, że na niego właśnie może liczyć. No i nie będzie musiała prosić o pomoc Sebastiana, który mógłby sobie zacząć za dużo wyobrażać. Poza tym nie wiadomo, czy w ogóle mógłby z nią lecieć. Mało możliwe, żeby dyrektorka dała mu wolne. Swoją drogą, ta zwichnięta noga przydarzyła się jej w samą porę...

- A dasz radę lecieć jutro rano? - upewniła się jeszcze.

- Bez problemu. Rezerwuj bilety.

* * *

Zbliżali się do celu. Autostrada zaczęła powoli schodzić ku morzu.

„Split 25 km” - przeczytała Monika na wielkiej tablicy i spojrziała na rozłożoną na kolanach mapę, którą kupili po drodze na stacji benzynowej. Powinni wybrać przedostatni zjazd przed Splitem. Rzeczywiście, po chwili pojawiła się tablica: *exit Jablanac 100 m*.

Skręcili i dwa kilometry dalej wyskoczyli na nadmorską jednopasmówkę. Szosa prowadziła brzegiem dość wysokiego urwiska, w dole po prawej stronie połyskiwała turkusowa toń Adriatyku, niezmacona ani jedną falą i usiana na horyzoncie różnej wielkości wysepkami piaskowego koloru. Z lewej strony pastelowym konturem rysowało się popielate pasmo gór, przez które dopiero co przejechali. Było przepięknie.

Po kwadransie dotarli do Jablaneca. Otoczyły ich stare kamienne domy. Monotonie szarych chropowatych ścian ożywiała wyblakła czerwień dachówek i soczysta zieleń pnączy, przewieszających się przez mury ogrodów. Budynki, od lat wystawione na działanie ostrego morskiego powietrza, pokryły się malowniczo ciemnymi zaciekami wilgoci i gęstą pajęczyną drobnych pęknięć. Postrzępione liście nielicznych palm rzucały odrobinę cienia na rozgrzany kamienny chodnik. Wymarzone miejsce na urlop, ale przecież oni nie przyjechali tu odpoczywać.

Zatrzymali się na placyku w centrum miasteczka. Jasne, wyślizgane przez lata kamienie, którymi był wyłożony, były tak nagrzane słońcem, że aż oślepiały. Pośrodku, w cieniu rozłożystego figowca, przysiadło kilku starszych mężczyzn, kopających papierosy i rozmawiających leniwie. Andrzej, który nieźle znał niemiecki, wysiadł z auta i podszedł do nich,

żeby zapytać, jak się można dostać na wyspę. Siwy mężczyzna z brodą, siedzący pośrodku, nie wyjmując z ust papierosa, wytłumaczył mu, jak dojechać do przystani. Tam na pewno znajdą kogoś, kto ich zabierze dalej łodzią.

Ruszyli uliczką, którą im wskazał, tak wąską, że Monika miała wrażenie, że auto zaraz się w niej zaklinuje. Nad nimi, na sznurkach przewieszonych między oknami, suszyły się kolorowe rzędy prania. Po kilkudziesięciu metrach wyjechali nagle na otwartą przestrzeń i ich oczom ukazała się niewielka zatoczka z przystanią. Na falach bujały się przycumowane do krótkich betonowych pomostów rybackie łódki, pomalowane na biało, z szerokimi zielonymi i granatowymi pasami wzdłuż burt, dwie czy trzy nowoczesne motorówki i wielki, ekskluzywny pełnomorski jacht. Po pomostach kręcili się rybacy w wypłowiałych od słońca i wody morskiej ubraniach. Z boku, przed drewnianym barakiem, stały zaparkowane dwie stare, odrapane furgonetki volkswagena, na które właśnie ładowano skrzynie z rybami z nocnego połowu.

Andrzej zaczął barczystego mężczyznę, który niedaleko czyścił pokład swojej łodzi, ubrany w same tylko szorty. Rybak na szczęście znał trochę niemiecki. Podrapał się w zamyśleniu po opalonym torsie, krzyknął coś do stojącego nieopodal chłopaka i w końcu zaprosił ich gestem na pokład.

- To będzie 50 euro.

Andrzej kiwnął głową i pomógł Monice wsiąść do łódki.

Ledwo wypłynęli z zatoczki, zaczęło kiwać. Najpierw lekko, potem trochę mocniej, chociaż nie widać było żadnej fali. Płynęli w milczeniu. Po dwudziestu minutach zobaczyli przed sobą zarys niewielkiej wysepki. W miarę jak się do niej zbliżali, zaczęli rozróżniać szczegóły - skalisty brzeg,

molo dobudowane do skalnej półki, przy którym przycumowana była spora biała motorówka, schody z metalową poręczą i, na samej górze, rysującą się na tle nieba czyją sylwetkę. Kiedy podплыли bliżej, zobaczyli wyraźnie - to był Paweł.

- Cholera, a ten co tu robi? Andrzej, obejmij mnie, szybko - Monika przesiadła się na ławkę obok niego. Jeszcze w samochodzie ustalili, że na użytek Pawła będą udawać zakochanych. Monika nie liczyła za bardzo na to, że uda im się go nabrać, zwłaszcza że ostatnio widział ją w podobnej sytuacji ze Zbyszkiem, ale żaden inny pomysł nie przychodził jej do głowy. Najważniejsze, żeby się jakoś dostać na wyspę i zobaczyć z Beatką.

- On ma tutaj jakiś radar czy co? - zdziwiła się.

- Nie, raczej dali mu znać z przystani, że ktoś do niego płynie. Ciekawe, czy nas wpuści...

- Spróbowałby nie! - fuknęła wściekle.

Podплыli do wąskiego pomostu. Właściciel łodzi wyciągnął rękę po zapłatę.

- Słuchaj, umówię się z nim na powrót. Niezależnie od tego, co tu się będzie działo, jakoś się przecież będziemy musieli stąd wydostać...

Andrzej zwrócił się do mężczyzny i rozmawiali chwilę. Przez ten czas Monika zebrała z dna łodzi swoje rzeczy i spojrzała niespokojnie w górę. Paweł, w intensywnie pomarańczowej koszulce polo i szortach, stał oparty o poręcz schodów. Nie widziała wyraźnie jego twarzy, ale miała wrażenie, że patrzy prosto na nią.

- Dobra, wysiadamy. Wziąłem od niego telefon komórkowy. W razie czego przyplynie po nas.

Andrzej pierwszy wyskoczył na pomost i podał jej rękę. Nie mieli dużo bagażu, mimo to wejście po wąskich, wykutych w skale stopniach nie było łatwe. Zwłaszcza dla Moniki, bo noga jeszcze ją trochę bolała. W dodatku im wyżej,

tym bardziej zaciskał jej się ze strachu żołądek.

- Niemożliwe! - przywitał ich Paweł prawie radosnym głosem. - Ale niespodzianka! Beatka strasznie się ucieszy! - poufałym gestem przyciągnął Monikę do siebie i zwrócił się do Andrzeja. - A my to się chyba skądś znamy...

- Tak, z Czerwińska - uśmiechnął się uprzejmie Andrzej.

- No dobra, a jak tu trafiliście? - Paweł mocniej przycisnął Monikę do siebie. Poczulią się jak zakładnik, ale bała się poruszyć. Zerknęła na Andrzeja. Stał uśmiechnięty, jakby nic nie zauważył.

- Chcieliśmy wyskoczyć na kilka dni gdzieś na słoneczko. No i pomyślałam sobie, że do was wpadniemy. Dzwoniłam nawet do Beci, ale jakoś... nie odbierała.

- Wyłączyliśmy komórki, żeby nikt nam nie przeszkadzał! - Paweł prześlizgnął się gładko nad kwestią telefonów. - A tak z ciekawości, skąd wiedzieliście, gdzie jesteśmy?

- Nie pamiętam. Ktoś wspominał... - odpowiedziała, siłując się na lekki ton, i zaczęła uważnie rozglądać się dookoła. Przy brzegu wyblakłe kępy ziół kurczowo trzymały się skalnego podłoża, a kilka metrów dalej zaczynał się gaj oliwny - drzewka, powyginane morskim wiatrem w przedziwne formy, dawały trochę cienia, w którym znalazło schronienie stado owiec.

- No, a gdzie Beatka?

- Poszła popływać po drugiej stronie wyspy. Zaraz powinna wrócić. Chodźmy do domu, pewnie się chętnie czegoś napijecie...

Paweł puścił wreszcie Monikę i ruszyli wąską, pokrytą drobnymi kamieniami ścieżką, która prowadziła lekko w górę, między drzewami oliwnymi. Po chwili ich oczom ukazał się niewielki, żółto otynkowany dom z białymi okiennicami.

Przed wejściem w dwóch ogromnych donicach rosły agawy o mięsistych, pokrytych jasnym nalotem liściach. Z prawej strony, za niskim żywopłotem z rozmarynu, zauważyli błękitną plamę basenu.

- O! - zdziwiła się Monika. - Basen! To dlaczego Becia poszła pływać w morzu? - wyrwało jej się.

Paweł odchrząknął, zmieszany.

- Widocznie woli słoną wodę. Wejdzmy lepiej do środka.

Monika zatrzymała się jednak przed drzwiami i podała Andrzejowi swój plecak.

- Ja to bym się chciała od razu zobaczyć z Becią. Gdzie ta plaża?

Czy jej się wydawało, czy przez twarz Pawła przemknął grymas wściekłości? Zanim zdążył odpowiedzieć, machnęła ręką w kierunku ścieżki prowadzącej w przeciwnym kierunku niż ten, z którego przyszli.

- Pewnie tędy? To ja lecę, zrobię jej niespodziankę.

I ruszyła szybko, żeby nie mógł jej zatrzymać. Nie mogła się już doczekać, kiedy zobaczy przyjaciółkę. Zwolniła dopiero kawałek dalej, kiedy weszła między porożpinane na wysokich tyczkach winorośle, obwieszane ciężkimi fioletowymi gronami. Znowu zaczęła jej dokuczać noga.

Jakieś dwieście metrów dalej zobaczyła morze. Podeszła bliżej, na skraj wysokiego, kamienistego urwiska. Wąska, niezwykle stroma ścieżka prowadziła w dół, na niewielką plażę.

- Cholera - zaklęła Monika. - Nie dam rady. Becia! - krzyknęła, ile sił w płucach. - Beataaaaa!

Odpowiedział jej tylko szum morza. Błękitne fale dochodziły łagodnie do brzegu, obmywając ciemnożółty, gruboziarnisty piasek. Po prawej stronie, tuż przy skałach, zauważyła kolorową plamę ręcznika.

- Beatkaaa! - krzyknęła jeszcze raz Monika, szukając wzrokiem przyjaciółki.

Przysiadła na kamieniu na szczycie skarpy. Przez chwilę obserwowała gładką powierzchnię morza, ale w zasięgu wzroku nie było nic, co mogłoby przypominać pływaka. „Może jest gdzieś na dole, na plaży, może schowała się za skałą” - zastanawiała się, masując opuchniętą kostkę.

- Beeeecia!

Znowu żadnej odpowiedzi. „Gdzie ona się podziała?” - zaczęła się denerwować Monika. Odczekała jeszcze kilka minut i ruszyła z powrotem w kierunku domu. Słońce poczerwieniało i zbliżyło się do powierzchni wody. Nad wyspę powoli nadciągał wilgotny wieczorny chłód, a zapachy nabierały intensywności. Rosnąca kępami w pobliżu lawenda wydzielala odurzającą woń.

„Becia jak nic popłynęła na drugą stronę wyspy, do przytani” - uspokajała się Monika, utykając ścieżką prowadzącą przez winnicę. Pewnie już siedzi spokojnie przy basenie i popija wino.

Ale przy domu było pusto.

Weszła do środka. W salonie też ich nie znalazła. Zdezorientowana, zajrzała do kuchni, potem do dużej, widnej jadalni położonej po drugiej stronie sieni. Nikogo nie było.

- Beatka?

Łazienka, wyłożona jasnym piaskowcem, z piękną, starą marmurową umywalką, również była pusta. Otworzyła kolejne drzwi. Najwyraźniej prowadziły do piwnicy. Poczowała wilgoć, chłód i... ledwie wyczuwalny zapach perfum, ale w panującym tam półmroku nic nie zauważyła. Cofnęła się więc do holu.

- Hej! Jesteście tam? - krzyknęła w kierunku schodów na górę. Nic, cisza. - Cholera, w chowanego się ze mną bawią czy co? - pomyślała, coraz bardziej zdenerwowana.

Weszła na pierwszy stopień i położyła dłoń na poręczy. Uniosła nogę, żeby wejść wyżej, kiedy od strony sieni dobiegł ją jakiś odgłos, jakby stuknięcie. Odwróciła się gwałtownie.

Sień była pusta.

Znowu stuknęło. Monika zaczęła nasłuchiwać. Stuk... stuk... stuk... - teraz była już pewna. Dziwny dźwięk dochodził zza drzwi piwnicy. Podbiegła do nich znowu i otworzyła gwałtownie. Ten sam półmrok, ten sam zapach i kamienne stopnie prowadzące w dół.

- Halo, jest tam kto?! - zrobiła krok do środka, na podest, i dotknęła ściany w poszukiwaniu kontaktu. W tym momencie bardziej wyczuła, niż usłyszała, że ktoś za nią stoi. Ta woda kolońska... Znała jej zapach... Kiedy zaczęła się odwracać, mocne uderzenie w plecy zważyło ją z nóg. Zachwiała się i upadła do przodu, uderzając czołem w pierwszy stopień schodów. Mignęła jej tylko pomarańczowa plama koszulki polo... Poczowała potworny ból i straciła przytomność.

ROZDZIAŁ 6

w którym kto szuka, ten znajduje...

Monika ocknęła się w kompletnej ciemności. Leżała na zimnej, wilgotnej kamiennej podłodze. Pod policzkiem czuła jej nieregularną, chropowatą powierzchnię. Bolało ją całe ciało, w ustach miała dziwny, słony smak. Krew? Chyba tak...

„O Boże - pomyślała przerażona - co się stało?”

Zaczęła się wsłuchiwać w panującą wokół ciszę. Gdzieś z prawej strony, z pewnej odległości, dochodziło ją rytmiczne poświstywanie. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że to czyjś oddech. Zamarła.

Nagle poświstywanie przeszło w stłumiony kaszel.

- Andrzej? - wyszeptła ostrożnie.

Nie było odpowiedzi. Kaszel zabrzmiał znowu.

Spróbowała wstać. Z trudem podciągnęła pod siebie zdrtwiałe nogi i uklękła. Zaczęła się powoli przesuwac na czworakach w kierunku miejsca, skąd dochodziły odgłosy. Po chwili wyczuła pod ręką twardą podeszwę buta. Wyżej była nogawka dżinsów i... gruby, szorstki w dotyku zwój sznura.

- Andrzej, to ty? - zaczęła szarpać więzy, ale były mocno zaciśnięte.

Mężczyzna poruszył się i jęknął. Jego wykręcone do tyłu ręce również były związane.

- Andrzej, co z tobą? - szeptała, potrząsając nim.

- Powiedz coś...

Zdenerwowana, przesunęła dłonie wyżej i natrafiła na jego twarz. Miał zakneblowane usta, Monika z trudem

wyszarpnęła szmatę. Andrzej zaczął ciężko łąpać powietrze i zaraz zaniósł się kaszlem.

- O Boże! Paweł ci to zrobił, prawda?

Chwilę musiała poczekać, żeby doszedł do siebie. Usiadła tuż przy nim i oparła się o jego nogi. Tak było odrobinę cieplej.

- Jak poszłaś szukać Beaty... zaprosił mnie do domu i... dał jakiegoś drinka. Głupi byłem... Zaraz mi się zaczęło kręcić w głowie... Jakoś się dowlokłem do kanapy... Potem już nic nie pamiętam... - mówienie przychodziło mu z trudem.

- Mnie po prostu zepchnął ze schodów. Kawał sukiny-na! O Boże! - przerwała nagle. - Czy wiesz, co to może znaczyć?

Andrzej jęknął, próbując zmienić pozycję.

- Myślisz, że on...

- Myślę, że on ją zabił - głos Moniki załamał się i rozpląkała się żałośnie.

- Monika, uspokój się, teraz nie możesz się rozklejać. Musimy coś zrobić!

W nagłym przyplywie energii spróbował wstać, zominając, że jest skrepowany.

- Ale co? - wyszeptwała.

- Na początek mnie rozwiąż. Cholerne ciemności. Nie ma tu jakiegoś światła?

Monika zerwała się gwałtownie, ocierając mokre policzki.

- Jest, przy samych drzwiach. Spróbuję znaleźć.

Jednak nie było to takie proste. Dopiero po kilku minutach macania podłogi wokół siebie natrafiła na schody, po których ostrożnie wdrapała się na górę. Gdy wreszcie przekreśliła kontakt, jej oczom ukazała się niewielka piwnica. Andrzej leżał pod jedną ze ścian.

- Od razu lepiej. Pospiesz się, Monika, bo już cały zdrętwiałem - krzyknął do niej.

Zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby przeciąć więzy. W głębi, obok stojaka na wino, dostrzegła stary kredens. Przetrzęsając niecierpliwie szuflady, w jednej z nich znalazła kilka starych noży.

- Daj te ręce - nachyliła się nad Andrzejem.

- Co tak długo - stęknął niecierpliwie. - Cholernie mi niewygodnie.

- Nie kręć się, już kończę.

Pękło ostatnie włókno i mógł wreszcie usiąść, rozcierając obolałe nadgarstki.

- Dobra, resztę zrobię sam.

Po chwili oboje stanęli przed zamkniętymi drzwiami i Andrzej zaczął się szarpać z klamką.

- Powinniśmy zadzwonić po pomoc – stwierdziła Monika, przeszukując bezskutecznie kieszenie.- Cholera, gdzie moja komórka? Ty masz swoją?

Andrzej sprawdził szybko.

- Nie mam. Ten drań nam zabrał. Zresztą nieważne. Jakoś te drzwi przecież otworzę. Przynieś tamten nóż.

Długi, wąski czubek bez trudu zmieścił się w dziurce od klucza i pół minuty później drzwi stanęły otworem.

Dom pogrążony był w zupełnych ciemnościach. Nasłuchiwali przez chwilę, ale wokół panowała idealna cisza.

- Jak myślisz, czy ten sukinsyn gdzieś tu jest? - spytała Monika cicho.

- Nie wiem. Musimy sprawdzić - zerknął na podświetlaną tarczę zegarka. Dochodziła pierwsza. - Albo śpi, albo już dawno zwiął.

- Andrzej, ja się boję... A jeżeli... Becia gdzieś tam leży?

- Nie gadaj głupot. Idziemy. Przekreślił kontakt w sieni.

- Zwariowałeś? A jak on gdzieś się czai?

- Przecież nic nam nie robi, jak jesteśmy razem.

Zapalając światła w kolejnych pomieszczeniach, obeszli ostrożnie cały dom. Nie było nikogo, nie znaleźli też nic, co dałoby im jakikolwiek punkt zaczepienia. Tylko w sypialni natknęli się na wybebeszone szuflady i porozrzucane w pośpiechu rzeczy, tak jakby ktoś się w pośpiechu pakował.

- Dobrze myślałem. Ten skurwysyn nawiał - pokiwał głową Andrzej.

Monika tymczasem przysiadła na łóżku, trzymając w rękach nocną koszulkę Beci.

- Co on z nią zrobił? - spytała załamana.

Andrzej podszedł i pocieszającym gestem położył jej rękę na ramieniu.

- Na razie o tym nie myśl. Musimy odpocząć, rano zastanowimy się, co dalej.

* * *

Monika obudziła się z potwornym bólem głowy. Śniły jej się jakieś koszmary. Usiadła na łóżku, rozejrzała się zaspana dookoła i nagle wszystko jej się przypomniało.

Zerwała się i pobiegła do pokoju obok budzić Andrzeja, ale zastała puste łóżko.

- Andrzejeej! - krzyknęła rozpaczliwie, wybiegając na korytarz. Żadnej odpowiedzi. Zbiegła po schodach, ale na dole też go nie było. Przerazona, opadła na krzesło w kuchni, a potem nagle zerwała się i wybiegła na dwór. Ostre światło słoneczne uderzyło ją prosto w twarz, więc odruchowo przymrużyła oczy. W oddali zobaczyła czyjaś niewyraźną sylwetkę. Zamarła w oczekiwaniu. Po chwili z ulgą rozpoznała Andrzeja. Szedł szybkim krokiem w jej stronę.

- Dobrze, że już wstałaś. Byłem na przystani. Motoczwórka zniknęła.

Monika westchnęła zrezygnowana i oparła się o kamienne obramowanie drzwi.

- To znaczy, że nie mamy jak się stąd wydostać, prawda?

- Nie wiem. Musimy przeszukać wyspę. Chodź, najpierw obejdzimy winnicę.

Ruszyli tą samą ścieżką, która prowadziła na plażę. Po jakichś dwustu metrach skręcili w prawo, wzdłuż ściany z winorośli.

- Zobacz - ożywiła się nagle Monika. - Co to?

Przed sobą, na skraju oliwnego gaju, zobaczyli niewielki pagórek, a w nim stare, prawie czarne drewniane drzwi.

- Chyba piwniczka na wino. Swoją drogą, dziwne, że tak daleko od domu.

Podeszli bliżej. Andrzej ostrożnie położył rękę na prostej mosiężnej klamce. Drzwi otworzyły się, przeraźliwie skrzypiąc. Ze środka doleciał ich zapach stęchlizny i wilgoci. Wąskie kamienne stopnie prowadziły w dół i niknęły w ciemnościach.

- Poczekaj - przytrzymał Monikę za rękę i wyjął z kieszeni paczkę zapalek. - Wziąłem z kuchni - wyjaśnił, zapalił jedną i zaczął ostrożnie schodzić. Monika powoli postawiła nogę na pierwszym stopniu.

Piwnica nie była głęboka. Kiedy znaleźli się na dole i Andrzej zapalił kolejną zapalną, w migotliwym świetle zobaczyli dwa długie, prawie puste stojaki na wino, jakąś skrzynię i kilka beczek ustawionych pod ścianami.

- No tak, łódki to my tu nie znajdziemy - stwierdziła Monika i już miała się zacząć wspinać z powrotem do wyjścia, kiedy nagle zawróciła, tknięta jakimś dziwnym przeżuciem. - Sprawdź, co jest tam dalej.

- Uważaj! - ostrzegł ją Andrzej, który właśnie sprawdzał zawartość skrzyni. - Weź lepiej zapalną.

Drżący płomień wydobył z ciemności następne, prawie puste pomieszczenie. Monika przesuwała się powoli wzdłuż kamiennych ścian, kiedy nagle zahaczyła o coś stopą. Pochyliła się i zobaczyła kawałek brudnego brezentu. W tym momencie zapalka zgasła. Monika, parząc sobie palce, szybko zapaliła następną. Spod płachty coś wystawało...

- Andrzej! - krzyknęła, rzucając się na kolana. - Andrzej! Pomóż!

Razem zaczęli odsuwać ciężki brezent.

- O Boże - jęknęła Monika.

Na ziemi przed nimi leżała Beatka. Nieruchoma, z zamkniętymi oczami, jakby spała.

Andrzej gwałtownie odsunął Monikę na bok i pochylił się nad ciałem. Szybkim ruchem przyłożył dwa palce do szyi Beaty i odetchnął z ulgą.

- Żyje - powiedział drżącym głosem. - Żyje!!!

EPILOG

Monika przycisnęła guzik i elektrycznie sterowana szyba powoli opadła w dół. Wnętrze samochodu wypełnił intensywny zapach wilgotnej ziemi i kwitnących drzew owocowych.

- Ale pięknie... - zachwyciła się. - To mi chciałaś pokazać?

- Niezupełnie... Zobaczysz, jak wyjedziemy z sadu - Becia zmieniła bieg i terenowe auto bez wysiłku wspięło się na strome wzniesienie.

- O cholera! - wyrwało się Monice. W dole przed nimi, dokładnie tam, gdzie kiedyś stał dom babci Oli, tętniła życiem ogromna budowa. Część terenu była już zalana betonem, z którego wyrastał las metalowych prętów, obok koparki ryły kolejne doły pod fundamenty.

- Kiedy zaczęła?

- Dokładnie dwa tygodnie temu - odpowiedziała Becia spokojnie.

Monika zerknęła na przyjaciółkę ze zdziwieniem. Żadnego rozklejania się? Żadnych łez tęsknoty za utraconą ziemią? Zdziwiająca...

- Nie szkoda ci, że Pawłowi udało się sprzedać tę ziemię? - wyrwało jej się.

Beata uśmiechnęła się i odgarnęła do tyłu długie włosy.

- Trochę szkoda, ale przecież życie płynie dalej... - była pogodna i pełna jakiejś nowej wewnętrznej siły. „Bardzo się zmieniła po tym wszystkim” - pomyślała Monika.

W tym momencie na poleczce pod radiem rozdzwoniła się komórka...

- Tak, kochanie, zaraz wracamy - serdeczny ton głosu Beci wskazywał wyraźnie, że dzwoni jej mąż. - Oczywiście, że Monika zostanie na obiad. Tak dawno u nas nie była, że szybko jej nie wypuścimy. Dobrze, Andrzejku, za pół godziny jesteśmy, nic nie będziesz musiał odgrzewać. Pa.

Mrugnęła wesoło do przyjaciółki i rozłączyła się.

- Słuchaj, Moniczka, kiedy to myśmy się ostatnio widziały?

- Ponad miesiąc temu... albo i dłużej... Szykowaliście się wtedy do Bukowiny, pamiętam dobrze, bo w przedpokoju potknęłam się o twoje buty narciarskie...

Beata parsknęła śmiechem.

- I zdaje się, że one ciągle tam stoją! W tym domu jest zdecydowanie za mało miejsca. Zastanawiam się, czy nie poprosić Zbyszka, żeby nam zrobił jakiś ciekawy projekt rozbudowy...

Monika też się roześmiała.

- Pogadaj z nim, oczywiście, może znajdzie trochę czasu. Ale nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ile on ostatnio ma pracy... Cała firma na jego głowie... A do tego szefową ma straszną jędzę...

- Oj, Monisia, przestań... - zaprotestowała Beata, czerwieniąc się lekko. - To nie moja wina, że jest tyle pracy... Mówiłam Zbyszkowi, żeby nie przyjmował wszystkich zleceń, ale on jest taki uparty. Rzuca się jak wariat na nowe projekty. Co ja zresztą mam do powiedzenia? Sama wiesz, tak naprawdę to on jest szefem, a ja tylko właścicielką. Pojawiam się na radzie nadzorczej i to wszystko.

Monika kiwnęła ze zrozumieniem głową.

- On taki właśnie jest... cholernie solidny. Aż do przesady. Wszystkiego musi sam dopilnować, wszystko sprawdzić... Ten typ tak ma. Zresztą chyba dlatego się w nim zakochałam.

Beatka poprawiła się na miękkim skórzanym siedzeniu i odwróciła w stronę przyjaciółki. Odkąd wyprowadziła się z Warszawy, nieczęsto zdarzało im się tak szczerze rozmawiać.

- W takim razie nie rozumiem, jak w ogóle mogłaś pomyśleć, że to on cię chciał wtedy przejechać!

- Ty znowu swoje! On już dawno zapomniał, a ty ciągle do tego wracasz! Przecież już ci mówiłam, że jak zobaczyłam tę naklejkę obok klamki... - Monika uśmiechnęła się na samo wspomnienie. - Wiesz co, naprawdę strach mnie wtedy obleciał. Gdyby nie to, że bolała mnie noga, pewnie bym od razu zwała. I nie wiem, czy byłam bardziej zła na niego, że taki dwulicowy drań, czy na siebie, że tak się dałam nabrać na to jego pocziwe spojrzenie... Skąd mogłam wiedzieć, że to był po prostu samochód firmowy - Zbyszek wziął go rano z parkingu, żeby się do Czerwińska nie tłuc swoim... A tak w ogóle to ciekawe, jaki iloraz inteligencji ma ten cały Jasio - już bardziej znacznego auta nie mógł wybrać!

- Przecież on nie był od myślenia, tylko od wykonywania poleceń Pawełka...

Monika wyciągnęła rękę i uszczypnęła przyjaciółkę w ramię.

- Auu! Co ty robisz? - zdziwiła się Bacia.

- Dlaczego ty ciągle mówisz o nim per Pawełek?!

- Sama nie wiem... Może z przyzwyczajenia?

- To może już czas się odzwyczaić, co? - pokręciła głową

Monika. - A wracając do Jasia, to faktycznie zwykły bandzior od brudnej roboty. Zero inteligencji. Jak go tylko policja przycisnęła, to ze szczegółami opowiedział, jak robił tym biednym staruszkom zastrzyki z potasu. Tylko dzięki temu mogli go zamknąć, bo wcześniej nie mieli na niego dowodów. Ten potas nie zostawia w organizmie żadnych śladów...

Beata zadrżała, choć w nagrzanym słońcem samochodzie panował upał.

- To sądzisz, że gdyby Paweł nie zginął, to ze wszystkiego by się wykręcił?

Monika pokiwała głową.

- Coś ty! Jasio zwałił na niego, ile się dało. Tyle tylko, że raczej by go nie złapali. Z tą kasą, którą dostał za Czerwińsk, mógł się nieźle zakamuflować. I pewnie by mu się udało, gdyby nie spanikował na tej autostradzie... Ile mu jeszcze zostało kilometrów do Berlina? Sześćdziesiąt? Mógł się zatrzymać, zapłacić mandat za przekroczenie prędkości i pojechać spokojnie dalej. Ale pewnie jak zobaczył policyjny samochód, to się przestraszył, że coś na niego mają, i zaczął uciekać. Dwieście dwadzieścia na godzinę, i to w deszczu, nic dziwnego, że go wyrzuciło na zakręcie...

- Słuchaj, musimy jechać - stwierdziła nagle Beatka, przekręcając kluczyk w stacyjce, a w jej głosie pojawiło się napięcie. - Andrzej piecze kaczkę i kazał nam być najpóźniej o trzeciej, bo odgrzewana jest do niczego.

Przez chwilę jechały w milczeniu, omijając szerokim łukiem budowę. Auto toczyło się powoli po nierównej drodze. Nagle Monika rozpoznała miejsce, w którym kilka miesięcy temu zatrzymała się, żeby założyć sweter.

„Tutaj pierwszy raz pomyślałam, że to jakaś kryminalna historia” - przypomniała sobie. „Te pety...” Już miała zażartować na ten temat, ale spojrzała na Beatkę i w ostatniej chwili się powstrzymała. Przyjaciółka była zamyślona i poważna.

Kiedy wyjechały wreszcie na szosę do Czerwińska, Becia odruchowo poprawiła lusterko, a potem westchnęła i powiedziała cicho.

- Ciągle nie mogę się pogodzić z jego śmiercią...

Monika poklepała delikatnie przyjaciółkę po ramieniu.

- Wiem. Ale pomyśl, że dzięki temu odziedziczyłaś Pawbud, zostałaś zamożną bizneswoman i mogłaś wyjść za mąż za Andrzeja...

- Monika! Jak możesz tak mówić! - zachnęła się Beata. - Przecież...

- Przecież co? Kawał był z niego drania, i tyle, a ty ciągle gdzieś tam w duchu próbujesz go usprawiedliwiać. Zglupiałaś?

- Ale wtedy, na wyspie, mógł nas wszystkich wykończyć - wyrzuciła z siebie Beata. - A nie zrobił tego!

- Sugerujesz, przepraszam, że ten drań miał dobre serce? Zglupiałaś?! Po prostu bardzo mu się spieszyło z powrotem do Warszawy, żeby sprzedać ziemię. Zresztą sama mówiłaś, że jak wymuszał na tobie podpis pod upoważnieniem, to ci groził nożem. Zwykły bandyta bez skrupułów, i tyle! Zimny drań! A co, jakbyśmy cię nie znaleźli w tej piwnicy? A jakbyś potrzebowała pomocy lekarskiej? Przecież gdyby ten chłop nie przyjechał do owiec, tobyśmy tam siedzieli trzy tygodnie, a nie trzy dni! Więc przestań się wreszcie nad nim roztkliwiać, dziewczyno. Założę się, że gdyby nie miał innego wyjścia, toby... - Monika poczuła, że się trochę zagalopowała.

- Śmiało, dokończ. Toby mnie zabił, prawda? - Beata zjechała na pobocze i gwałtownie zahamowała. - Przecież ja wiem... Gdybym się nie zgodziła podpisać upoważnienia.... Zaraz pierwszego dnia pokazał mi sprzęt do nurkowania... Kazał mi obiecać, że się będę uczyć... Teraz myślę, że to najprostszy sposób, żeby się kogoś pozbyć. Mało to jest wypadków pod wodą?

Monika znowu pogładziła przyjaciółkę po ramieniu, próbując ją uspokoić.

- Lepiej jedźmy, bo kaczka wystygnie! - zaproponowała dyplomatycznie. - Nie chciałam cię zdenerwować.

- W porządku, to nie twoja wina - uśmiechnęła się blade Beata. - Po prostu pierwszy raz od tamtej pory zaczęliśmy ten temat. I dobrze. Trzeba pochować demony. Teraz dla mnie najważniejszy jest Andrzej i... - położyła dłoń na wyraźnie zaokrąglonym brzuchu - dziecko.

Monika przyglądała jej się przez chwilę uważnie i wreszcie zadała pytanie, które nurtowało ją od kilku miesięcy:

- Słuchaj, Becia, a właściwie... czyje ono jest?

Beatka nacisnęła gwałtownie pedał gazu. Samochód ruszył, wyrzucając spod kół fontanny piachu.

- MOJE! - odpowiedziała stanowczo. - Po prostu moje!

SPIS TREŚCI

GLÓWNI BOHATEROWIE / 7

CZEŚĆ I

Rozdział 1 o zgubnych skutkach absencji w pracy / 11

Rozdział 2, czyli Beatka pogrąża się w otchłani rozpacz / 22

Rozdział 3, który opowiada o tym, jak Monika nieoczekiwanie dostaje różę / 26

Rozdział 4, czyli pojawienie się Heleny, oczywiście nie trojańskiej / 35

Rozdział 5, w którym amplituda nastrojów gwałtownie rośnie / 45

Rozdział 6, mówiący o tym, jak to Beatka wzywa Monikę, a łyśy Kobyłkową / 57

Rozdział 7, czyli daleko idące konsekwencje wizyty na strychu / 66

Rozdział 8, traktujący o poważnych zgrzytach w sielskiej atmosferze / 75

Rozdział 9, czyli zbiegów okoliczności ciąg dalszy / 86

Rozdział 10, w którym przygotowania do ślubu nabierają tempa / 90

Rozdział 11, w którym Monika nareszcie coś odkrywa / 95

Rozdział 12, opowiadający o śmiałej wyprawie na teren wroga / 104

Rozdział 13, czyli próba złapania zielonej jaszczurki / 114

Rozdział 14, w którym, krótko mówiąc, Monika zaczyna się bać / 120

Rozdział 15, czyli o tym, jak Monika zostaje z ogonem jaszczurki w ręku / 131

Rozdział 16 w zasadzie niewnoszący nic nowego / 141

Rozdział 17, w którym Monika staje na głowie i w konsekwencji wpada po uszy / 146

- Rozdział 18, czyli nieprzyjemnie krótka wizyta brata / 154
- Rozdział 19, w którym nareszcie dają dobrze zjeść / 158
- Rozdział 20, opowiadający o tym, jak miła atmosfera nieoczekiwanie rozpada się z brzękiem / 165
- Rozdział 21 o dramatycznej dla niektórych wizji lokalnej / 176
- Rozdział 22, w którym robi się naprawdę nieprzyjemnie / 180
- Rozdział 23, czyli Monika angażuje się coraz bardziej, nie tylko w śledztwo / 188
- Rozdział 24, w którym Monika nie posiada się ze zdumienia / 198
- Rozdział 25, podczas którego wszyscy czekają w napięciu na marsz Mendelssohna / 205

CZĘŚĆ II

- Rozdział 1, czyli pikantne zwierzenia drania / 219
- Rozdział 2, w którym wilk zrzuca owczą skórę / 245
- Rozdział 3 najbardziej dramatyczny / 249

CZĘŚĆ III

- Rozdział 1, w którym Monika, zamiast się cieszyć, płacze / 257
- Rozdział 2, mówiący o brzemiennym w skutki spotkaniu na lotnisku / 265
- Rozdział 3, opowiadający ze szczegółami, jak Monice włos się jeży na głowie / 269
- Rozdział 4, w którym ostatni element układanki wskakuje na swoje miejsce / 274
- Rozdział 5, czyli na odsiecz przyjaciółce / 281
- Rozdział 6, w którym kto szuka, ten znajduje... / 290

EPILOG / 296